ADAM WAJRAK

TO ZWIERZĘ MNIE BIERZE

Biblioteka Gazety Wyborczej

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ADAM WAJRAK

TO ZWIERZĘ MNIE BIERZE

REDAKCJA
Paweł Goźliński

KOREKTA
Emilia Niedzielak

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI
Elżbieta Wastkowska, Magdalena Mamajek-Mich

ZDJĘCIA NA OKŁADCE
Adam Wajrak, Waldemar Gorlewski/AG (zdjęcie autora)

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Elżbieta Wastkowska

ZDJĘCIA
Adam Wajrak, East News (s.190)

PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ
Małgorzata Charewicz-Mostowska

PRODUCENCI WYDAWNICZY
Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU
Katarzyna Kubicka

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA 2013
© copyright by Adam Wajrak 2013

ISBN: 978-83-268-1426-6

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2013

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

SPIS TREŚCI

WSTĘP. Skąd się bierze to zwierzę

MAJ

- Ślimak, ślimak, pokaż rogi
- Dzierzba, czyli maska Zorro
- Szpak agresor
- Nie ma grabu dla muchołówki
- Dzięciołki z dwoma lub trzema mężami
- Puszczyk, czyli uralska rodzinka

CZERWIEC

- Jak z pomocą dzięcioła fotografowałem liski
- Piękna katastrofa
- Sarenka Bambi
- Dzięcioł, który jęczy
- Kukułka też miewa pecha
- Tajemnicza broń antykukułcza
- Broń delikatnego dudka

LIPIEC

- Barowe węże
- Niedźwiedź też człowiek
- Kumak w koleinie
- Zając o stalowych nerwach
- Dlaczego ptaki pukają w okna
- Jeż wędrowniczek
- Świstaki, czyli „Uważaj, mały, to ludzie!”
- Zagadka salamandry

SIERPIEŃ

Zestresowane kozice
Dziki chomik polski
Gniewosz? Jaki gniewosz?
Bocian czarny, czyli źle się dzieje na wschodzie
Zakład o żmiję
Wyczekany grubodziób
Trzecie gniazdo szałaśnika

WRZESIEŃ

Spotkanie z dwunastakiem
Po co drą się rzekotki?
Biedny, bezbronny szwedzki łoś
Foczy bambaryła
Foki czujne jak wilki
W krainie śluzowców

PAŹDZIERNIK

Zaskroniec na spacerze
Kto sadzi dęby?
Rudzik jesienny
Kozica inwalidka
Trznadel i szklana pułapka
Zaczęło się! Zimowa inwazja jemiołuszek

LISTOPAD

Nornice – mistrzowie sztuki przetrwania
Drzewa olbrzymy
Kosmiczne „robale”
Kowalik – twardziel z głową w dół
Jej wysokość mysz leśna

GRUDZIEŃ

Ptak na koniec świata
Dzięcioł siłacz
Jak przywołałem wilki
Niegłupie te sóweczki

STYCZEŃ

Wkurzony jak mazurek
Mądry jeleń nie biega?
Zwierzaki na sankach
Niebieska czapeczka, żółty dziób
Łasica na krawędzi

LUTY

Inżynier z ryjem!
Te norki to katastrofa
Atak krwiożerczych sikorek
Tajemnica rudzielca
Wydra w supermarkecie
Smaczny sen orzesznicy

MARZEC

Modre rozpustnice
Bocian polarnik
Jelenie ciągle mocno śpią
Z dzięcioła żaden lekarz
Gawron jak szympans

KWIECIEŃ

Kupą, mości żurawie
Miejskie śpiewanie
100 mln od bobra
Żubry to mają szczęście
Żaby jak malowane

WSTĘP

SKĄD SIĘ BIERZE TO ZWIERZĘ

„To zwierzę mnie bierze” tylko z pozoru jest moją książką. Oczywiście teksty, które w niej znajdziecie, sam napisałem, a zdjęcia sam zrobiłem. Ale przecież w książce najważniejszy jest pomysł, a on nie był mój. To Wasze dzieło, Drodzy Czytelnicy, a szczególnie pewnej pani, która na spotkaniu autorskim po ukazaniu się drugiego wydania „Kuny za kaloryferem” powiedziała: „»Kuna« jest zbiorem opowieści o zwierzętach, które z wami mieszkały, prawda? Więc dlaczego nie ma jeszcze książki o zwierzakach, które podgląda pan w ich naturalnym środowisku?”. „Zresztą – dodała starsza pani – ja już taki zbiór mam. Wycinam pańskie teksty z »Gazety Wyborczej« i wklejam do zeszytu w kratkę. Dla wnuczka”. Tak powstał prototyp książki, którą trzymacie w rękach. Pomysł więc był nie mój, ale Wasz. Ja tylko dokonałem wyboru tekstów, które w ciągu ostatnich kilku lat ukazały się na stronach naukowych „Gazety” w ramach cyklu „Poczta Teremiski”, potem „To zwierzę mnie bierze”, oraz w „Dużym Formacie”. Niektóre opowieści znacie z „Przewodników prawdziwych tropicieli”, ale w tej książce są one podane w nieco dłuższej i bardziej „naukowej” formie.

Choć tytuł książki brzmi „To zwierzę mnie bierze”, znajdziecie w niej również tekst o drzewach, które – jak wiadomo – zwierzętami nie są, oraz o śluzowcach – dziwnych stworzeniach, które mają w sobie coś ze zwierzęcia, coś z grzyba, ale tak naprawdę nie są ani jednym, ani drugim. Jednak nie mogłem sobie odmówić wyskoków poza granice królestwa zwierząt. Przecież bierze mnie i ciekawi

wszystko, co żyje wokół nas, nie tylko zwierzaki. Poznawanie tego bardzo dziwnego świata to fascynująca przygoda. Dla mnie zbieranie materiałów i pisanie każdego z tych tekstów było właśnie przygodą, którą teraz, Drodzy Czytelnicy – mam nadzieję – przeżyjecie razem ze mną. Ponieważ każdy z tych tekstów kojarzy mi się z jakąś moją przygodą albo zjawiskiem, które dzieje się w świecie przyrody, pogrupowałem felietony według miesięcy, w których moje przygody lub zjawiska miały lub mają miejsce. Niebieskie żaby widuję w kwietniu, małe liski wychodzą przed nory w czerwcu, kozice najbardziej są zestresowane w środku lata, a wielkie drzewa najlepiej wyszukiwać w listopadzie, gdy już nie ma liści i widać, jak są potężne. Tak powstał swoisty kalendarz moich spotkań ze zwierzętami i nie tylko. Dlaczego zaczyna się w maju? Bo w maju książka trafia do Waszych rąk.

Tej książki by nie było, gdyby nie wielu naukowców, którym chciało się ze mną gadać, oraz gdyby nie moje koleżanki i moi koledzy z działu naukowego „Gazety” oraz wydawnictwa Agory, którzy redagowali moje teksty. Szanowni Państwo, Kochane Dziewczyny i Chłopaki, dziękuję bardzo!

Adam Wajrak

MAJ

ŚLIMAK, ŚLIMAK, POKAŻ ROGI

Siedziałem na werandzie i gadałem przez telefon z przyjacielem, aż nagle na liściach malwy zobaczyłem coś niezwykłego. To coś było maleńkie, ale mrugało i migotało w słonecznym świetle, tak jakby mówiło: „Zwróć na mnie uwagę”. Choć nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem, doskonale wiedziałem, co to jest, chociażby

z listu prof. Teresy Pojmańskiej z Instytutu Parazytologii PAN, który dostałem jeszcze w kwietniu.

Wtedy w ramach „Szkoły z klasą" organizowaliśmy BioBlitz, czyli nalot na przyrodę. Uczniowie mieli w określonym czasie i miejscu rozpoznać jak najwięcej gatunków. Pani profesor zaproponowała, żeby zwracać uwagę nie tylko na zwierzaki, lecz także na to, co na nich, a raczej w nich, żyje. „Przyszło mi na myśl, że można by dzieciakom podpowiedzieć, że gdy znajdą ślimaki bursztynki, niech zwrócą uwagę na ich czułki, które mogą być rozdęte i mieć w środku coś pulsującego i zabarwionego w zielone lub brązowe paski i ciapki. To coś, co przypomina żywą gąsienicę, to workowaty odrostek stadium rozwojowego przywry z rodzaju Leucochloridium zawierający mnóstwo larw – metacerkarii" – pisała.

Przez jakiś czas po tym liście bacznie przyglądałem się ślimakom mieszkającym w ogrodzie i napotkanym w lesie, ale nic szczególnego nie zauważyłem. I gdy już zupełnie o tym zapomniałem, parę metrów przede mną zobaczyłem bursztynkę z takimi właśnie czułkami. Po chwili się okazało, że na malwie są jeszcze dwa takie dziwolągi.

Choć bursztynka to maleńki ślimak, bo mający nie więcej niż 2 cm długości, i niczym specjalnym się niewyróżniający, tym razem wyglądał jak przybysz z kosmosu. Dotknięty albo przeniesiony na inny liść, zamiast chwilę poczekać w muszli, natychmiast wyciągał swoje rogi. To dziwne, bo te małe ślimaki są raczej skryte i zwykle chowają się pod spodem liścia.

Teraz jednak ślimakowi zależało na tym, by być dobrze widocznym. A dokładnie nie ślimakowi, tylko siedzącemu w nim pasożytowi, który całkowicie zmienia zachowanie bursztynki. Na przykład ślimak, zamiast chować się przed promieniami światła, wyłazi na słońce. Widoczne oczywiście są głównie czułki – rozdęte

i wydłużone, a przy tym migoczące kolorowymi pasami, bo cysty pasożyta kurczą się i rozkurczają niezwykle szybko pod cienką skórą ślimaka. Po co to wszystko?

Otóż bursztynka jest tylko żywicielem pośrednim. Pasożyt, by dalej się rozwijać, musi dostać się do organizmu ptaka. Tam zmienia się w postać dorosłą. Czułki ślimaka przypominają ptakom smaczne gąsienice – mają je zachęcić do dziobnięcia. I chyba zachęcają skutecznie, bo następnego dnia już nie znalazłem bursztynek z pulsującymi czułkami. Pewnie zostały zjedzone.

Co będzie dalej? Dorosłe przywry złożą jaja, które wraz z odchodami ptaka dostaną się na jakąś roślinę i tam będą czekać na pechową bursztynkę, która je zje. Następnie pasożyt tak pokieruje życiem ślimaka, aby ten został zjedzony, i cykl znów się zamknie.

Choć szkoda mi bursztynek, to pasożyty też nie mają lekko. Udaje im się zarazić tylko niewielką część ślimaków. Widziałem już przecież tysiące bursztynek, które nie migotały i nie mrugały czułkami mającymi udawać gąsienice.

DZIERZBA, CZYLI MASKA ZORRO

Nie wiem, czy zauważyliście, ale wiele zwierząt nosi maski. Oczywiście nie takie jak nasze – zakładane i zdejmowane – lecz rysunek wokół oczu. Takie ciemne maski mają ssaki: tchórze, orki, kozice, i niektóre ptaki, na przykład remizy. Jednak najbardziej

znanymi ptasimi posiadaczami maski, która wygląda niemal dokładnie jak maska Zorro, są dzierzby.

Choć na takich nie wyglądają, to znakomici myśliwi. Małe gatunki, jak na przykład dzierzba gąsiorek, polują na owady, jaszczurki i – bardzo rzadko – małe ptaki. Ale jej większy kuzyn dzierzba srokosz, która w przeciwieństwie do gąsiorka zostaje u nas na zimę, potrafi zabijać spore gryzonie, takie jak norniki polne i północne, oraz ptaki nawet wielkości drozda (czyli nieco od niej większe). W Ameryce został nawet odnotowany wypadek ataku srokosza na pardwę, czyli ptaka przypominającego naszą kuropatwę.

Dzierzby, a w szczególności srokosze, słyną z tego, że nadziewają swoje ofiary na kolce krzewów, a czasami również na kolce różnych ogrodzeń wyposażonych w drut kolczasty. To zarówno spiżarnia, jak i znak dla samic, jakimi myśliwymi mogą być ich przyszli partnerzy, oraz coś w rodzaju sztućców. Dzierzby, choć są genialnymi myśliwymi o mocnych dziobach, mają dość słabe łapki. Dlatego właśnie do przytrzymywania ofiary w trakcie rozdzierania jej na kawałki służą im kolce.

Jednak dzierzby mają jeszcze coś – wspomniany wyżej pasek przez oczy. Czasami brązowy jak u samic i młodych gąsiorka, czasami szary jak u młodych srokoszy, wreszcie czarny jak u dorosłych srokoszy. A po co tym ptakom taka ozdoba? Na pewno nie po to, by wyglądać zawadiacko albo chronić swoją tożsamość jak słynny bohater filmowy.

Teorii, po co zwierzętom maski, jest cała masa. Niektóre mówią o tym, że chodzi o zamaskowanie oczu i uchronienie ich przed atakami drapieżnika. Inne twierdzą, że u zwierząt polujących może chodzić o to, by ofiara nie widziała dokładnie, w którą, a raczej, czy dokładnie w jej, stronę patrzy myśliwy. Niedawna publikacja

w renomowanym piśmie „Behavioral Ecology" proponuje inne wyjaśnienie.

Prof. Reuven Yosef z Uniwersytetu Ben Guriona w Izraelu oraz naukowcy z Poznania – dr Piotr Zduniak z Zakładu Biologii i Ekologii Ptaków Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza oraz prof. Piotr Tryjanowski z Instytutu Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego – postanowili przyjrzeć się polującym w ostrym słońcu Ejlatu (najbardziej wysunięte na południe miasto Izraela) dzierzbom białoczelnym, które podobnie jak nasze srokosze i samce gąsiorka mają czarny pasek przez oczy.

– Może głupio się przyznać jako naukowcowi, ale na trop naprowadziła nas stara indiańska legenda mówiąca, że malowanie się wojowników, szczególnie w okolicach oczu, nie tylko miało przestraszyć wrogów czy miało znaczenie rytualne, ale chodziło również o to, by lepiej on widział – mówi prof. Tryjanowski. Otóż światło odbijające się wokół oczu, gdy patrzymy pod słońce, może utrudniać nam patrzenie i zakłócać obraz. A malowanie na ciemny kolor temu odbiciu zapobiega albo je bardzo ogranicza.

By sprawdzić indiańską legendę, naukowcy wymyślili prosty eksperyment.

Dzierzby polują z zasadzki. Siedzą na jakimś krzaku, czubku drzewa lub kablach linii energetycznych i gdy tylko zauważą ofiarę, spadają na nią z góry. Co ciekawe, bardzo często jest to atak pod słońce. Chodzi o to, że gdyby dzierzba polowała ze słońcem, to zanim doleciałaby do ofiary, ta zostałaby spłoszona przez jej cień. Patrzenie pod słońce wymaga jednak ciemnej maski, która pochłania światło wokół oczu i zapobiega jego odbijaniu się i zakłócaniu tego, co dzierzby widzą.

By to sprawdzić, naukowcy pomalowali czarne maski części obserwowanych dzierzb białoczelnych na biało nieszkodliwą dla

nich farbą. Jednocześnie obserwowano dzierzby z oryginalnymi czarnymi maskami.

Okazało się, że te z białymi natychmiast odwróciły się plecami do słońca. Bardzo też spadła ich skuteczność łowiecka. – Ciekawe było to, że w miarę wykruszania się i znikania białej farby z czarnych masek dzierzby na powrót odwracały się w stronę słońca, a ich skuteczność łowiecka znacznie się poprawiała – opowiada dr Zduniak. Indiańska legenda całkowicie się więc potwierdziła. – Zresztą chodzi nie tylko o Indian. Recenzent naszej pracy zwrócił nam uwagę, że na ciemno pod oczami malują się również piloci myśliwców. Robią to też zawodnicy futbolu amerykańskiego, a snajperzy malują twarze zapewne nie tylko po to, by były one mniej widoczne – mówi dr Zduniak.

To niejedyna rola maski. Naukowcy przypuszczają, że może też być ważnym sygnałem przy dobieraniu się ptaków w pary. Samiec o bardzo czarnej masce jest bardziej pożądanym kandydatem na męża niż taki, którego maska albo wyblakła, albo jeszcze się nie zaczerniła. Wiadomo – skoro lepiej poluje, tym większa szansa, że wykarmi samicę i pisklęta. Ale żeby mieć czarną maskę, trzeba dobrze syntezować ciemne barwniki, a to wymaga wysiłku od organizmu. Im lepszy myśliwy, który nie ma kłopotu ze zdobywaniem pokarmu, tym łatwiej mu to przychodzi.

Z drugiej strony wygląda na to, że im czarniejsza maska, tym lepiej i łatwiej się dzierzbom poluje. – Może tu zachodzić bardzo ciekawe ewolucyjne sprzężenie zwrotne – podsumowuje prof. Tryjanowski.

SZPAK AGRESOR

Postanowiłem zrobić nowe zdjęcie dzięcioła białogrzbietego (zapewne zauważyliście, że cały czas publikujemy zdjęcie samicy przy dziupli – to jedyne dobre, jakie mam).

Wykonanie takiego zdjęcia nie jest łatwe, bo dzięcioł białogrzbiety przy dziupli jest cichutki jak trusia, a poza tym jego

dziuple zwykle są szalenie wysoko. Pierwsza w kolejce była dziupla odnaleziona przez Michała Androsiuka. Niestety, tu się spóźniłem – dzięciołów już nie było. Mogły wylecieć, ale mogły też dobrać się do nich drapieżniki, na przykład kuna. – W latach, w których brakuje gryzoni, kuny potrafią zniszczyć większość lęgów dzięciołów białogrzbietych – wyjaśnił mi prof. Tomasz Wesołowski z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Na szczęście od dr Doroty Czeszczewik z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach dostałem informację o kolejnej dziupli. Znajdowała się na zrobionym przez bobry rozlewisku zwanym martwym lasem. To magiczne miejsce pełne jest dzięciołów. Jak sama nazwa wskazuje, martwy las jest pełen martwego drewna. Dzięcioły mają gdzie szukać pokarmu i gdzie wykuwać dziuple. Poza tym ten las – strefa ochronna gniazda orlika krzykliwego – chroniony jest prawem i bez specjalnego zezwolenia nie można tu wchodzić. Bałem się, że dzięcioły znów mi wylecą. Codziennie chodziłem i z szosy się przyglądałem, co się dzieje w dziupli. Dorosłe ptaki co kilkanaście minut przylatywały z pokarmem w dziobie i znikały w dziupli. To mnie uspokajało. Skoro dorosłe wchodzą całe do dziupli, to młode jeszcze są małe.

Dzięki uprzejmości białostockiej Dyrekcji Ochrony Środowiska zezwolenie otrzymałem w ekspresowym tempie. Natychmiast pognałem do dzięciołów, ale przy dziupli nie działo się nic. Byłem przekonany, że to przerwa w karmieniu. Nagle stało się coś, co sprawiło, że zbaraniałem. Z dziupli wyjrzał szpak, potem przyleciał drugi. Szpaki wyraźnie krzątały się przy nowym domu. Byłem przekonany, że to kuna zjadła mi dzięcioły, a szpaki po prostu zajęły pustostan. Opowiedziałem to białowieskiemu przyrodnikowi Arkowi Szymurze. – To nie kuna. To szpaki – odpowiedział Arek. Dwóch jego znajomych dzień wcześniej

obserwowało, jak szpaki walczą z dzięciołami o dziuplę. Walka polegała na znoszeniu materiału i zabudowywaniu młodych dzięciołów białogrzbietych. Szpaki po prostu je zarzuciły, czym się dało, gdy rodzice latali po pokarm. W pewnym momencie dzięcioły zobaczyły, że nie mają czego bronić. Młodych nie było widać, ucichło też ich wołanie. Szpaki wygrały.

Sympatyczny szpaczek takim draniem? Okazuje się, że tak, i nawet 30-40 proc. lęgów dzięcioła białoszyjego, który jest tylko nieco mniejszy od białogrzbietego, może być niszczonych przez szpaki. Tak naprawdę jednak nie powinienem się dziwić. To bezwzględna walka o dobre miejsce na wychowywanie młodych. Poza tym w lesie zagospodarowanym przez człowieka dziupli zawsze będzie brakować. Nam może się wydawać, że ptakom wystarczy pozostawienie kilku dziuplastych drzew na hektar. Z punktu widzenia ptaków wcale tak nie jest.

NIE MA GRABU DLA MUCHOŁÓWKI

Muchołówki białoszyje mają tu, w puszczy, ciężkie życie. Jaja i pisklęta mogą im wyjeść kuna, koszatka, dzięcioł, a nawet mysz leśna. Jakby tych kłopotów było mało, my, ludzie, uznaliśmy, że graby, w których się gnieżdżą, to „niepożądany” gatunek drzewa.

Tydzień temu zobaczyłem pierwszego samca muchołówki białoszyjej (to maleństwo przylatuje do nas aż z Afryki Wschodniej). Skakał sobie z gałęzi na gałąź, wymachiwał skrzydełkami i popiskiwał. W wiosennej zieleni wyglądał ze swoim kontrastowym biało-czarnym ubrankiem niezwykle elegancko. To właśnie to upierzenie, a dokładnie biała plamka na czole, decyduje o tym, jak atrakcyjny jest samiec. Co ciekawe, nie w każdym roku jest ona tej samej wielkości. Taki rozchwytywany ojciec z wielką plamką, który wychował sporo młodych, musi w końcu odpocząć. Dlatego w kolejnym roku plamka się zmniejsza.

Nie o tym, jak muchołówki dobierają partnera, chciałem jednak pisać, ale raczej o ich kłopotach z dziuplami. Otóż muchołówki są ptakami tak małymi i tak bezbronnymi, że wyjeść im jaja lub pisklęta może dosłownie każdy, nawet wspomniane wcześniej myszy leśne. Te ostatnie są szczególnym zagrożeniem i gdy zdarza się „gryzoniowy" rok i w lesie jest ich dużo, muchołówki tracą, jak wynika z badań ornitologów z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach, nawet 80-90 proc. lęgów.

Gdy gryzonie mają kryzysową sytuację, muchołówki powoli odbudowują swoją liczebność. W najlepszych latach w Białowieskim Parku Narodowym zagęszczenie tych małych ptaszków może wynosić aż 22 pary na 10 ha.

Niektórych drapieżników muchołówki mogą unikać. Na przykład dzięciołów. Dzięcioł duży, gdy natrafi na gniazdo muchołówki, od razu potraktuje pisklęta jak nieco większe „robale", które zwykle wydłubuje spod kory. Dlatego muchołówki wolą nie zakładać gniazd w dziuplach dzięciołów, bo te często odwiedzają swoje stare domostwa. Muchołówki lubią dziuple naturalne – takie, które powstały po odpadnięciu gałęzi, albo takie w szczelinie, którą wydrążył mróz. Czasami mają one duże otwory, ale przynajmniej

dzięcioły do nich rzadziej zaglądają. To dla muchołówek pewna szansa. Takie dziuple tu, w Puszczy Białowieskiej, najczęściej powstają w lipach i grabach. I właśnie w dziuplastych grabach najczęściej można znaleźć gniazdo muchołówki. Według ornitologów z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach ponad 80 proc. muchołówek zakłada gniazda w drzewach tego gatunku. Oczywiście dziuple nie pojawiają się w młodych i cienkich grabkach, ale w drzewach mających grubość pnia wynoszącą około 50 cm.

Choć grab jest gatunkiem drzewa, które znakomicie się samo rozsiewa i którego – wydawałoby się – jest w puszczy pełno, to jednak w jej wycinanej i niechronionej części grubych grabów jakoś nie widać. Powód jest prosty. Z punktu widzenia gospodarki leśnej grab jest gatunkiem „niepożądanym". Twarde, często poskręcane drewno grabowe nadaje się na opał, ale nie na deski. Dlatego graby są wycinane, „by zrobić miejsce" gatunkom uznanym za „cenne" i „pożądane", czyli takie, których drewno można łatwo sprzedać, bo nadaje się na deski, belki oraz meble. Ta walka z grabem odbija się na muchołówkach. Badania przeprowadzone na transektach wykazały, że na 1 km Białowieskiego Parku Narodowego muchołówka białoszyja jest spotykana niemal trzy razy częściej niż w części niechronionej. Ten mały ptaszek to kolejny dowód na to, że gospodarka leśna jedynie szkodzi unikalnej przyrodzie puszczy.

DZIĘCIOŁKI Z DWOMA LUB TRZEMA MĘŻAMI

Nic nie robiąc sobie z mojej obecności, dzięciołek spokojnie przeszukiwał pnie wierzb, które porastają rów przed naszym domem. „Pnie” to przesada – nie mają one więcej niż 10 cm w obwodzie. Dla dzięciołka to były jednak pnie, bo jest on

maleństwem, najmniejszym europejskim gatunkiem dzięcioła. Waży nie więcej niż 26 g, mniej niż wróbel.

Wśród obserwatorów ptaków panuje przekonanie, że te dzięciole krasnoludki wybierają cienkie gałęzie i pnie, które nie wzbudzają zainteresowania ich dużych kuzynów. Jednak widywałem już dzięciołki, które skrupulatnie przeszukiwały także całkiem grube pnie. Od większości innych dzięciołów różni je na pewno to, że często w ogóle nie zwracają uwagi na człowieka. Większy brak zainteresowania nami przejawia chyba tylko dzięcioł trójpalczasty.

Sądząc po czerwonej czapeczce, jaka zdobiła głowę obserwowanego przeze mnie ptaka, miałem do czynienia z samcem. Samice takiej ozdoby nie mają, ale i bez niej są niezwykle ciekawe. Otóż u wszystkich naszych dzięciołów obydwoje rodzice zajmują się młodymi przez cały czas ich przebywania w dziupli. U dzięciołków jednak nie dotyczy to wszystkich par. Jak wynika z badań przeprowadzonych w Niemczech i Szwecji, do kilkunastu procent par dzięciołków to pary poliandryczne, czyli takie, w których samica zakłada rodzinę przynajmniej z dwoma samcami. Inaczej mówiąc, samica kursuje między dziuplami, dzieli czas między dwa domy, wysiadując jaja, a później karmiąc pisklęta do spółki z dwoma mężami. Jedna z samic miała nawet trzech partnerów.

Rodzinne zachowania dzięciołków są na tyle ciekawe, że przyjrzeli im się niemieccy „modelarze” – tak nazywa się w biologicznym slangu naukowców, którzy za pomocą modeli matematycznych opisują zjawiska przyrodnicze. Odkryli, że poliandria jest dla dzięciołków bardzo korzystna, na przykład jest sposobem na nadmiar samców. Poza tym wykazali, że wpływa na minimalną bezpieczną liczbę osobników populacji – czyli taką, przy której ryzyko wymarcia w ciągu stulecia jest mniejsze niż 5 proc. Dla gatunków monogamicznych to minimum wynosi 410

ptaków, ale gdy część samic ma przynajmniej dwóch partnerów – od 220 do 290 ptaków. To ważne, bo dzięciołki żyjące w lasach łęgowych we współczesnym świecie mogą być bardzo łatwo podzielone na małe populacje, być może nawet zbyt małe, by im pomogło to wielomęstwo.

Z danych „European Bird Census Council" wynika, że w Europie żyje pięć razy mniej dzięciołków niż w latach 80. ubiegłego wieku. W Polsce ich jednak przybywa, jak podaje Monitoring Pospolitych Ptaków Lęgowych. Z dzięciołkiem jest więc podobnie jak z kryzysem – parafrazując słowa premiera Donalda Tuska, można rzec, że jesteśmy zieloną plamą wzrostu na tle czerwonej Europy spadków. Problem polega na tym, że nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje i jak długo to potrwa. Przynajmniej jeśli chodzi o dzięciołka.

PUSZCZYK, CZYLI URALSKA RODZINKA

Gorąco, ciężki plecak i strome podejście, których w Bieszczadach nie brakuje, trochę mnie wykończyły. Na zalesionym grzbiecie zrzuciłem plecak. I nagle, kurczę, uwierzcie mi, zobaczyłem ten kształt! Już tłumaczę, o co chodzi. Chodzi o sowę.

Jeżeli chcecie znaleźć sowę w gęstym lesie, to nie ma co się rozglądać za sową. Nie ma sensu szukać czegoś z cętkami, szarego lub brązowego, czyli ptaka z dużą głową, uszami, czymś, co przypomina ludzką twarz z parą świdrujących oczu. Tak nie znajdziecie żadnej sowy.

One zlewają się z otoczeniem. Wyglądają jak kawałek kory, pień, zeschły liść, ale na szczęście dla nas, tropicieli, mogą się znaleźć w sytuacji, gdy to maskowanie na nic, gdy wyglądają szalenie nienaturalnie i zupełnie się z otoczeniem nie zlewają. Tak dzieje się wtedy, gdy usiądą na cienkiej gałązce.

A lubią to robić. Wtedy na nic ich talenty kamuflażowe, bo po prostu nigdy nie jest tak, że od cieńszej gałęzi odrasta grubsza. Mało tego, rzadko jest tak, że ta gruba rośnie pod kątem prostym do góry, prawdziwa gałąź zawsze jest trochę pochylona. A sowa siedzi prosto!

Powoli zacząłem podchodzić do tego czegoś, co było najprawdopodobniej sową.

Po sekundzie byłem pewien, że jest to puszczyk uralski. W Bieszczadach to podobno najpospolitsza sowa. W Polsce już taka pospolita nie jest. Żyje tylko na południu w górach i na północnym wschodzie. Tuż przy granicach. Nie wszędzie, bo w Puszczy Białowieskiej, gdzie mieszkam, jej nie ma.

Chciałem ją spotkać, bo to trzecia co do wielkości po puchaczu i puszczyku mszarnym sowa żyjąca w naszym kraju. Puszczyk uralski może ważyć od pół do półtora kilograma i mieć rozpiętość skrzydeł dochodzącą nawet do półtora metra. Kilogram to niezbyt dużo? Jak na sowę to bardzo dużo. Najbardziej znana sowa, czyli zwykły puszczyk, który przez zwykłych ludzi opisywany jest jako „ogromna sowa", waży pół kilograma i ma rozpiętość skrzydeł

dochodzącą nierzadko do metra. Wszystkie sowy zresztą wydają się większe, niż są, bo dużo na nich piór i puchu.

Puszczyk uralski powinien wydawać się ogromny. Ale kształt, który siedział na cienkiej gałązce tuż przy pniu jodły, wcale taki wielki nie był. Po chwili wiedziałem dlaczego. To był puchaty młody. Nie przypominał tych znanych przeze mnie z książek młodych, które są szare. Był czarny. Ale nie kolor zaprzątał mi teraz głowę. Skoro jest tu jeden młody, to na pewno są jeszcze inne oraz... ich wielcy rodzice. – No, maluszku, gdzie jest twoja rodzina? – zapytałem młodego i jakiś diabeł mnie podkusił, żeby zahukać. Pomyślałem, że może jakiś dorosły odpowie lub nawet przyleci, i zahukałem, a raczej zabuczałem nisko jak puszczyk uralski.

Znacie takie uczucie, kiedy zrobicie coś głupiego i jak dotrze do Was, że jest to głupie, jest już za późno? Tak było wtedy. Zahukałem i zanim zrozumiałem, co zrobiłem, poczułem na plecach wzrok. Odwróciłem się i zrobiło mi się zimno. Kilka metrów przede mną, na wysokości twarzy, siedziała wielka samica. Była nastroszona i pochylona w moją stronę. Wyglądała na naprawdę wkurzoną. Każdy miłośnik ptaków wie, że puszczyki uralskie słyną z tego, że atakują w obronie młodych. Nie ma znaczenia, czy mają przed sobą orła, lisa, niedźwiedzia, czy człowieka. Wielgachnymi pazurami starają się trafić w głowę.

Na głowie miałem tylko czapeczkę. Musiałem przekonać samicę, że to buczenie to była pomyłka i nie zagrażam młodemu. Powoli, bez gwałtownych ruchów, cichutko się wycofałem.

Nie myślcie tylko, proszę, że puszczyki rzucają się z pazurami na ludzi, bo są złe albo wredne. Ich młode przez pewien czas są puchatymi stworkami, które zamiast zgrabnie latać i lądować na gałęzi, spadają na ziemię i później z trudem próbują się wygramolić wyżej i wyżej. Gdyby nie samice gotowe bronić

maluchów przed każdym wrogiem, niechybnie zostałyby zjedzone. Taka obrona to wielkie poświęcenie, bo taki człowiek albo nawet orzeł jest większy od puszczyka uralskiego i można łatwo w konfrontacji stracić życie.

A samce? No cóż, ojcowie nie są zwykle tacy dzielni i gotowi do poświęceń.

Samica przestała przejmować się moją obecnością i ruszyła na polowanie. Siadała nisko, na wysokości 2 m, i jak zaklęta wpatrywała się w ściółkę. Próbowała, a gdy zmieniała miejsce zasadzki... to leciała, leciała bezszelestnie w tej gęstwinie, między grubymi bukami i strzelistymi jodłami, jak duch, jak wielki szary motyl. Mówię Wam, nie widziałem w Bieszczadach piękniejszego widoku...

W pewnym momencie straciłem ją z oczu. Po paru minutach usłyszałem dziwny odgłos, jakby ktoś się głośno bawił olbrzymim suwakiem. „Ziip, ziip" – dochodziło z małej stromej dolinki. Tak trafiłem pod wielki stary buk, omszały i pełen hub. Buk miał złamany czub. W tym miejscu zrobiła się wielka naturalna dziupla, a z tej dziupli wyglądał mały puszczyk uralski. Kolejny siedział już na gałęzi poza dziuplą. A tuż obok siedziała samica i je wołała.

Ale fart. Trafiłem na moment, gdy młode opuszczają dziuplę i wchodzą w okres, który w naszym ludzkim życiu odpowiada wiekowi nastoletniemu. Potrafią latać, ale nie za dobrze, są ciekawskie, ale nie znają świata. Czyli mogą robić głupoty i muszą znajdować się pod czujnym okiem rodziców. Usiadłem w bezpiecznej odległości, aby móc dobrze rozejrzeć się po okolicy. I nagle niespodzianka.

Tuż przede mną siedział szary młody, a za chwilę coś pisnęło mi nad głową. Zbaraniałem. Tuż nade mną siedział czarniutki młody i z zaciekawieniem się na mnie gapił.

Kurczę, co to jest? Dwa młode czarne i wyglądają jak kosmate diabełki, a trzy szare, srebrne, niczym puchate aniołki? Może to jakaś mieszana rodzina? Puszczyka uralskiego z czymś innym? Tylko z czym? Wszystko się wyjaśniło, gdy przyleciał samiec, przekazał samicy upolowaną żabę i usiadł na cienkiej gałązce przy pniu jodły. Był brunatny, prawie czarny. Wyjaśniło się więc: część młodych była szara, bo szara jest mama, a część czarna – jak tata.

Czarny tata latał gdzieś na dalekie wyprawy. Zdobycz zawsze przekazywał samicy i to ona karmiła młode. Dopóki nie zrobiło się zupełnie ciemno, siedziałem z uralską rodzinką i czułem się jak w bajce. Puchate maluchy gramoliły się na drzewa, spadały i znów się wspinały. A rodzice uwijali się przy nich, starając się każdego sprawiedliwie obdzielić myszką. W końcu nadeszła noc i musiałem zabierać się na dół.

Moje puszczyki spotkałem w maju. Ale to nie znaczy, że nie możecie zobaczyć w czasie wakacyjnej wędrówki takiej rodzinki. Młode są z rodzicami około trzech miesięcy. Latem zapewne są całkiem spore i mało puchate. W zeszłym roku buki zrzuciły całe masy orzeszków, a to oznacza, że w tym roku jest w Bieszczadach pełno gryzoni. Puszczyki mają się więc wyjątkowo dobrze i na pewno niejedna liczna rodzina lata po tych górach. Pamiętajcie tylko, żeby wypatrywać dziwnego pionowego kształtu na cienkiej gałązce.

CZERWIEC

JAK Z POMOCĄ DZIĘCIOŁA FOTOGRAFOWAŁEM LISKI

Wczesną wiosną kilkaset metrów od naszego domu, koło wielkiego świerka tuż przy leśnej drodze, ktoś zaczął prace ziemne. Co parę dni pojawiała się nowa nora, a przy niej góra świeżo wykopanego piasku. Nie było wiadomo, kto jest głównym

inwestorem, bo na piasku widziałem tropy jenota, innym razem lisa oraz borsuka. W końcu jednak jenoty sobie poszły, borsuk zajął się inną norą 100 m dalej, a kompleks nor pod świerkiem opanowały lisy.

W puszczy, gdzie polują na nie myśliwi, właściciele kur nienawidzą, a wilki potrafią ukatrupić, lisy są szalenie ostrożne. To nie takie lisy jak w Warszawie, Poznaniu czy innym dużym mieście, które za dnia potrafią wejść do ogrodu i wyjeść psu karmę z miski lub pogonić kota. Nasze lisy unikają niepotrzebnych kontaktów, bo może się to dla nich źle skończyć.

Tymczasem ja marzyłem o zrobieniu zdjęć małym liskom. Na początku czerwca już powinny wychodzić z nory. Mało jest tak fotogenicznych zwierzaków jak małe lisy. Od końca maja, kiedy młode powinny wychodzić z domu i poznawać świat, odwiedzałem norę. Czaiłem się przy niej godzinami, a liski zobaczyłem tylko raz, przez kilka sekund, gdy było bardzo, bardzo ciemno. Na mój widok czmychnęły do nory. Nic nie dały godziny czekania w specjalnym maskowaniu spryskanym sprayem udającym zapach jelenia. Liski nie wychodziły.

Ale przecież muszą kiedyś wystawiać głowy – na przykład wtedy, kiedy do nory przychodzi matka albo ciotka. Tak jest, ciotka, bo lisy mogą mieć piastunki, zwykle są to młode samice z poprzednich lat, które pomagają matce wychować młode. Przychodzi ciocia lub mama i przynosi coś smacznego – przy norze znalazłem resztki po jakichś gryzoniach, młodym droździe, kawałek sarny (zapewne ukradzionej jakiemuś rysiowi, bo nie sądzę, by lis mógł zabić dorosłą sarnę).

Matka nie zostaje długo, bo biegnie dalej polować, ale dla lisków jej pojawienie się to gwarancja, że nie ma nieprzyjaciół w okolicy i chwilę można się przy norze pobawić.

A dla mnie to znakomita okazja do fotografii. Kłopot w tym, że jest tam bardzo gęsty las. Żeby zobaczyć, jak lisica wraca do nory, musiałbym być tuż obok. A jak będę blisko, to dorosły lis nie przyjdzie i małe liski nie wyjdą z nory. Kółko się zamyka.

Na szczęście z pomocą przyszedł dzięcioł duży, który tuż obok, w starej osice, wykuł sobie dziuplę i wychowywał młode. Jak każdy ptak, który wychowuje młode, niezwykle się denerwował, gdy widział lisa. Nie miało znaczenia, że ten w żaden sposób nie mógł się dostać do dziupli i młode były bezpieczne. Dla dzięcioła lis to drapieżnik i na jego widok strasznie się drze.

Trzymałem się więc z dala od nory, a kiedy słyszałem zdenerwowanego dzięcioła, odczekiwałem kilka minut i schylony, niczym indiański tropiciel podchodziłem do lisiego domu. Małe liski przerywały zabawę i bacznie mi się przyglądały. Były cztery, każdy inny, najśmieszniejszy – najmniejszy, który wesoło podskakiwał i zaczepiał większe rodzeństwo, nawet jak byłem tuż obok.

Widać było, że nie za bardzo wiedzą, kim jest ten dziwny dwunożny stwór z trójnogiem zaopatrzonym w potężną rurę, ale wolały nie ryzykować. Ciekawość walczyła w nich ze strachem i strach wygrywał. Po kilkudziesięciu sekundach znikały w norze. Wolałbym, żeby było inaczej, ale trudno, dla maluchów tak będzie lepiej. Tylko raz jeden z nich mnie nie zauważył, gapa jeden, i zasnął na górce piasku przy norze.

Wczoraj znów spróbowałem je podejść. Zobaczyłem tylko, jak czmychają do nory. Bardzo szybko uczą się życia w puszczy.

PIĘKNA KATASTROFA

Las był jak z koszmarnego snu leśnika. Wszędzie martwe świerki i uschłe sosny. Wszedłem do niego z wielką ciekawością, bo tylko w takim lesie mogłem spotkać najdziwniejszego z naszych dzięciołów. Niektóre drzewa miały jeszcze rdzawe uschłe igły, inne były ogołocone z kory, pozbawione gałęzi i wyglądały jak

gigantyczne maszty bez żagli. W innym miejscu nie dość, że były gołe i martwe, to jeszcze poprzewracane lub połamane przez wiatr stworzyły jakąś dziwaczną strukturę wyglądającą niczym bierki gigantów.

Zielone przebijało się tylko w niektórych miejscach. To jeszcze niezaatakowane świerki albo takie, które zaraz uschną. Katastrofa? Owszem, katastrofa, ale jaka piękna, jak by powiedział Grek Zorba. Delikatne stukanie było znakiem, że trafiłem dobrze. Trójpalczak (jak pieszczotliwie mówią o nim ornitolodzy) tu mieszkał.

Zapewne parę lat temu w tym miejscu stał zielony las świerkowy. Sądząc po całkiem grubych pniach świerków, miał ponad sto lat. Zapewne nie dowiemy się nigdy, co dokładnie osłabiło pierwszych kilka świerków. Może to był niski poziom wód gruntowych, może robota jakiegoś grzyba.

Na pewno stało się to albo ciepłą wiosną, albo latem, bo do ataku temperatura musi być wysoka, najlepsza jest taka ponad 20 st. No więc było gorąco, wszędzie unosił się zapach aromatycznej żywicy.

Grupka korników – małych, bo zaledwie cztero-, pięciomilimetrowych chrząszczy – poznała, że kilka świerków jest osłabionych. Po czym poznała? Nie wiadomo, ale muszą mieć sposoby.

Korniki atakują, wgryzając się w korę. Myślicie, że to takie łatwe wgryźć się w korę? Myślicie, że drzewa się temu biernie przyglądają? Nie. Kornik drukarz (jeden z kilku naszych korników, najpospolitszy i najbardziej znienawidzony) jest uzbrojony w mocne żuwaczki i pewnego grzybka, którego zarodniki niesie na sobie i który pomaga mu osłabić roślinę, a świerk jest jak forteca. Na atakujące korniki wylewa żywicę niczym obrońcy smołę na podchodzących pod mury.

Pierwsi atakujący zginą w żywicy. Jeżeli jest ich mało, nie mają szans. Jedynym ratunkiem jest zwołanie kolegów. „Chłopaki, atakujemy świerk i potrzebujemy pomocy! Przybywajcie!" – taką informację rozsyłają po lesie. Nie jest to żaden dźwięk, ale informacja chemiczna. I przybywają zastępy małych wojowników w brązowych pancerzykach. Jeżeli jest ich wystarczająco dużo, udaje się im przełamać linie obronne drzewa.

W zdobytej fortecy, która nie leje już żywicy, bo umiera, samce drążą specjalne komory, by przywołać samice. Udaje im się zwykle zwabić od jednej do kilku pań. Po zapłodnieniu i samice, i samce razem drążą długie, bo ponaddziesięciocentymetrowe, korytarze, na końcach których samice składają do stu jaj. Z tych jaj wykluwają się larwy, które też drążą korytarze, odżywiając się łykiem i miazgą żyjącego jeszcze świerka. Tych korytarzy jest aż tyle pod korą, że powstaje całkiem ciekawy rozgałęziony wzorek. Po przejściu w stan poczwarki, a potem przeobrażeniu się w młode korniki, owady jeszcze troszeczkę się pożywiają, a następnie wylatują na poszukiwanie nowych świerków.

Rocznie w Puszczy Białowieskiej korniki mogą przeprowadzić dwa takie ataki. Udane są szczególnie wtedy, gdy jest gradacja, czyli gdy kornikόw jest bardzo dużo.

Jeżeli spojrzymy na taki zaatakowany las okiem leśnika, który ma produkować drewno, to stała się katastrofa! W Puszczy Białowieskiej stały postawione przez Lasy Państwowe tablice wykonane w stylu listu gończego z Dzikiego Zachodu.

Poszukiwany był kornik. Był na rysunku – czarny, wstrętny chrząszcz. Za co był poszukiwany? Otóż leśnicy chcieli go dopaść za zabicie 25 tys. drzew w 2001 r. Rozumiem zdenerwowanie leśników. Nikt nie lubi konkurencji.

Jeżeli mowa o zabijaniu drzew, to w tym samym czasie wycięto w puszczy, czyli też zabito, przynajmniej trzy, a może nawet cztery razy tyle drzew, ile zabiły korniki.

Jest jednak różnica między zabijaniem przez korniki a wycinaniem przez ludzi. Po ludziach zostają pieńki, a po kornikach – co prawda uschły, ale całkiem żywy las! Jak to żywy? A tak!

Jak pisze w swoich pracach prof. Jerzy Gutowski z Zakładu Lasów Naturalnych Instytutu Badawczego Leśnictwa, dzięki zabijaniu drzew przez korniki mamy tu sporo martwego drewna, które jest miejscem życia ponad stu rzadkich i ginących gatunków chrząszczy. Niektóre z nich, takie jak zagłębek bruzdkowany, bogatek wspaniały, zgniotek cynobrowy, rozmiazg kolweński lub ponurek Schneidera, figurują w załącznikach do unijnej dyrektywy siedliskowej i zgodnie z prawem powinniśmy je chronić.

Ciekawe, że w miejscach, gdzie kornika zwalczamy, i tam, gdzie tego nie robimy, gradacja, czyli masowy atak korników, trwa mniej więcej tyle samo. A to dlatego, że naturalnych wrogów korniki mają całkiem sporo i – co logiczne – tam, gdzie się ich nie prześladuje, jest ich kilkakrotnie więcej niż w lasach, w których z nimi walczymy.

Jak pisze prof. Gutowski, same korniki, ich jaja i larwy atakowane są przez pasożytnicze roztocze, nicienie, grzyby i owady, takie jak błonkówki, różne muchówki oraz chrząszcze. Jeden niewielki chrząszcz przekrasek mróweczka potrafi w ciągu życia zjeść sto korników! Na dodatek ostra zima może wybić przynajmniej połowę zimujących korników. Jednym słowem, nie mają łatwego życia.

A las? Las szybko zabliźnia rany. Katastrofa starych świerków jest szansą dla młodego pokolenia, które chronione przez martwe cielska przodków szybko się pojawia niczym zielona szczotka. Te drzewka muszą walczyć między sobą, konkurować, a przez to tworzą o wiele zdrowszy układ, niż gdyby zostały posadzone przez człowieka. Las

po kornikach przypomina, że w życiu katastrofa jednych to okazja dla innych.

Osobiście w takim lesie nie szukam ani ciekawych owadów, ani grzybów. Wolę nieco większe organizmy!

Lasy zaatakowane przez kornika to jedyna szansa, by zobaczyć dzięcioła trójpalczastego. Ten gatunek potrzebuje świerków obumarłych i zamierających w różnych stadiach. Kornik jest ważnym składnikiem jego diety.

Trójpalczasty to absolutny dziwak wśród dzięciołów. Nie dość, że ma trzy palce, to jeszcze samiec ma żółtą czapeczkę. Uwielbiam go, bo zwykle napuszony i pękaty wygląda jak pluszowa maskotka.

Jeżeli gdzieś w Karpatach albo na północnym wschodzie Polski, w Puszczy Białowieskiej, Knyszyńskiej lub Augustowskiej, uda się Wam znaleźć las zaatakowany przez korniki i usłyszycie wiosną szybkie bębnienie z takim wolnym zakończeniem, to znaczy, że dzięciołowi trójpalczastemu się tu spodobało i ma zamiar założyć dziuplę. Takim szybkim bębnieniem samiec informuje, że to terytorium jest już zajęte.

Para wykuwa dziuplę, najczęściej w martwym świerku. Może być on całkiem cienki, a dziupla nie musi być wysoko. Czasami metr nad ziemią. Poznać ją można po tym, że kora wokół dziupli jest odłupana. Po wykluciu młode przez jakiś czas są cicho, ale tuż przed wylotem drą się niesamowicie.

W czerwcu, gdy wylecą z dziupli, koczują w okolicy. W sierpniu młode ruszają na poszukiwanie miejsc, gdzie wydarzyła się kornikowa katastrofa.

Fascynujące jest to, że w przeciwieństwie do innych dzięciołów trójpalczasty nie będzie się Was bał i będziecie mogli go obserwować nawet z kilku metrów, bez maskowania się. Ale wytropienie go nie będzie łatwe.

Ten dzięcioł jest najlepszym znakiem, że w danym lesie zachodzą naturalne procesy. Poszukuje miejsc, które my, ludzie, uznajemy za dotknięte tragedią. Po wiatrołomach, pożarach, działaniach grzybów, gdy kornik nadchodzi zdobywać świerki, za nim pojawia się ten dzięcioł. Miejsc, gdzie w Polsce rośnie prawdziwy las, jest bardzo mało. Zwalczając kornika, zwalczamy też tego sympatycznego ptaka.

SARENKA BAMBI

Maleństwo leżało w trawie i choć potwornie gryzły je komary, nie łypnęło nawet okiem. Stalowe nerwy albo paraliżujący strach to jedyny sposób obrony, jaki miało.

Wyszedłem z mokrego lasu na polankę. Z daleka usłyszałem coś między piszczeniem a płaczliwymi miauknięciami. Spojrzałem

w tamtą stronę i zobaczyłem sarnę. Obok poruszał się mały zwierzak sięgający jej do połowy nogi. „O, ma malucha" – pomyślałem i trochę się zdziwiłem, bo przecież sarny raczej mają młode na samym początku czerwca, a tu lipiec za pasem.

Gdy pod butem trzasnęła mi gałązka, sarna bacznie spojrzała w moją stronę i powoli ruszyła do lasu, a maluch, becząc, za nią. Po tym beczeniu wiedziałem, że niedaleko odeszła. Ale uznałem, że ona i dziecko są już bezpieczne w gęstwinie i spokojnie mogę przejść przez łąkę. Ruszyłem i po paru metrach poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Mam coś takiego i podejrzewam, że większość ludzi też ma. Trzecie oko, które instynktownie alarmuje: „Jesteś obserwowany". Co ciekawe, w większości wypadków, poza paroma jenotami, nie dotyczyło to drapieżników, tylko zwierząt roślinożernych, które przycupnięte próbowały przeczekać, aż przejdę obok. Kilka razy tak znalazłem gniazdo jarząbka. Samica siedziała na jajach jak kamień. Nie powinienem jej zobaczyć, ale poczułem jej wzrok.

Tak było i tym razem. Z traw patrzyło się na mnie oczko. A nad nim sterczały uszy dyskretnie skierowane w stronę, z której nadchodziłem. W trawie leżał sarni maluch. Śliczny, jak z kreskówki Disneya. O wielkich ciemnobrązowych oczach, okrągłej główce i czarnym nosku. Był nakrapiany jak jelonek Bambi z kreskówek, bo takie właśnie ubarwienie pozwala znakomicie wtopić się w pełnym kontrastów, ciemnych i jasnych plam, lesie. Wszedłem na sarnie dziecko, które prawdopodobnie całkiem niedawno przyszło na świat.

Sarny całkiem często mają dwa młode. Czasami nawet trzy. I to właśnie był drugi maluch. Korciło mnie, by go pogłaskać, jak nie wiem co, bo dawno takiego cudnego zwierzęcego dzieciaka nie

widziałem. Jednak wiedziałem, że za nic na świecie nie powinienem go dotykać. Im mniej moich zapachowych śladów, tym lepiej.

Podstawowym błędem, jaki popełnia wielu ludzi, jest chęć otoczenia takiego malca opieką. Nie rusza się, znaczy, że sierota, i do tego osłabiona. Zabrane do domu sarny czy jelenie potem zwykle nie wracają do lasu i na łąki, lecz giną w wypadkach.

Maluch nawet nie mrugnął. Gryzły go komary, a on trwał jak posąg. To najbardziej sensowne, co mógł zrobić. Nie jesteś w stanie uciekać, to lepiej zamrzyj, udawaj, że cię nie ma. Może cię drapieżnik nie zobaczy, może się tobą nie zainteresuje i pójdzie sobie. Zrobiłem kilka zdjęć i szybko poszedłem dalej. Po chwili usłyszałem beczenie z lasu – to wołał pierwszy sarniaczek. Z łąki odpowiadał mu drugi, z którym miałem bliskie spotkanie. Mam nadzieję, że sobie poradzą.

DZIĘCIOŁ, KTÓRY JĘCZY

Niby pospolity i niepozorny ptak z tego dzięcioła średniego, ale to specjalnie dla niego do Puszczy Białowieskiej przyjechała szwedzka telewizja.

Dzięcioł średni to jeden z dwóch, poza zielonosiwym, gatunków dzięciołów, które regularnie odwiedzają mój karmnik.

Podejrzewam, że widział go chyba każdy, bo średni jest w Polsce bardzo rozpowszechniony.

Nie zająłbym się nim w ogóle, gdybym dwa tygodnie temu nie natrafił w lesie na uroczy pień ze ślicznymi hubami, pod którymi była dziupla. A z tej dziupli dobiegało trajkotanie młodych. Z początku miałem nadzieję, że to jakieś bardzo wczesne dzięcioły trójpalczaste, które należą do prawdziwych ornitologicznych rzadkości. Okazało się jednak, że to zwykłe „średniaki".

Ponieważ dziupla z hubami była bardzo malownicza, zaczaiłem się przy niej z aparatem. Oba dorosłe ptaki – samiec i samica – wyglądały identycznie. U pozostałych dzięciołów, poza krętogłowem, który nawet nie wygląda jak dzięcioł, oraz poza największym, czyli dzięciołem czarnym, bardzo łatwo można rozpoznać płeć – na ogół po znajdującej się na głowie czapeczce albo jej braku. Największą czerwoną czapeczkę wśród tzw. dzięciołów pstrych ma samiec dzięcioła białogrzbietego. Samce białoszyjego i dużego mają małą i jakby zsuniętą na tył głowy, a u dzięciołka samiec ma czerwoną, a samica żółtą.

U dzięcioła średniego obydwie płcie mają czerwone czapeczki tych samych rozmiarów i są po prostu nie do odróżnienia. – Bo dzięcioł średni nieco odstaje genetycznie i nie jest takim bliskim krewniakiem pozostałych pstrych dzięciołów, jak by się wydawało – wyjaśnił mi dr Przemysław Chylarecki z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN w Warszawie.

Średni inaczej zaznacza też swoją obecność. Zamiast bębnić jak inne, jęczy.

Dzięcioł średni, choć u nas pospolity, ma się bardzo różnie w różnych częściach Europy. Niemcy i Holandia przeżywają jego inwazję, i to na skalę zupełnie niewytłumaczalną. Nic tam się specjalnie nie zmieniło, a dzięciołów przybyło bardzo dużo.

Z kolei w Szwecji średni wyginął na początku lat 80., co wiązano z intensywną gospodarką leśną. Ten gatunek uwielbia stare drzewa, szczególnie dęby z głęboko popękaną korą. Właśnie w takich szparach wyszukuje pokarm. Gdy przyjrzeć się jego dziobkowi, to jest on cieńszy niż innych dzięciołów i wygląda, jakby był stworzony do wtykania w szpary. Brak starych drzew i fragmentacja środowiska to główne przyczyny wymarcia tego gatunku za Bałtykiem.

W Szwecji dzięcioł średni wywołuje więc wielkie emocje. Tamtejsi naukowcy myślą nawet o reintrodukcji tego gatunku. Szwedzka lekcja powinna nam uświadomić, że nie wszystko, co liczne i pospolite, musi takie pozostać.

KUKUŁKA TEŻ MIEWA PECHA

Odwiedził mnie niedawno znany przyjaciel ptaków Waldemar Krasowski. Od razu się pochwaliłem, że na podwórku mam gniazdko zaganiacza, czyli ptaszka, który podobno potrafi rozpoznawać i usuwać z gniazda kukułcze jaja. – A ja znalazłem w lesie gniazdo rudzika z jajkiem kukułki – odpowiedział Waldek,

a mnie zatkało. Pisklę kukułki w gnieździe widziałem raz, lata temu w Hiszpanii. Potem trafiłem tylko na latającego już kukułczaka karmionego właśnie przez rudziki.

Waldek przyłapał kukułkę mamę na wynoszeniu jajka prawowitych właścicieli. Wiedział też, od kiedy rudzik zaczął wysiadywać. Udało się nam więc ustalić, kiedy kukułka się wykluje.

Kukułka przychodzi na świat wcześniej niż ptaki, którym została podrzucona. Zwykle po 11-12 dniach. Potrzebuje doby na okrzepnięcie i wywalenie „rodzeństwa" z gniazda. Nieważne, czy w formie jaj, czy piskląt. Mała kukułka ma nawet specjalne zagłębienie na plecach, w którym wynosi jaja za burtę.

Kiedy podeszliśmy do znajdującego się na ziemi gniazda, przez chwilę rudzik siedział w nim dzielnie i twardo. Potem jednak odleciał, a my zobaczyliśmy trzy jaja i świeżo wyklutego podrzutka. Szybko zostawiliśmy go w spokoju. Już zacierałem ręce, już się cieszyłem, że wreszcie zobaczę, jak rozwija się kukułka. Rudzików było mi oczywiście szkoda. Miały pecha, ale z drugiej strony przecież dały się oszukać.

W powszechnym mniemaniu to wielki, intensywnie ubarwiony w środku dziób małej kukułki każe przybranym rodzicom ją karmić. Nie do końca tak jest. Grupa naukowców z uniwersytetu w Cambridge wykazała, że niezwykle ważny jest intensywny dźwięk wydawany przez pisklę. To właśnie on miesza w głowach przybranym rodzicom. Każe im karmić jedno pisklę z taką samą częstotliwością i wydajnością, jakby to była trójka lub czwórka ich własnych dzieci. Do jednej gardzieli pakują tyle owadów co do kilku. Naukowcy pokazali, że gdyby podrzucić pisklę drozda lub kosa trzcinniczkom, te co prawda go karmią, ale niezbyt intensywnie. Gdy tylko puścić z magnetofonu głos młodej kukułki,

zaczyna się szaleństwo karmienia. Za pomocą głosu kukułka zmusza przybranych rodziców, by ją karmić nie tylko intensywnie, lecz także dłużej. Trzcinniczki opiekowały się podrzutkiem o dziesięć dni dłużej niż swoimi własnymi dziećmi.

Po co to kukułce? Bez tego wołania karmiona byłaby rzadziej i nie miałaby szansy dorosnąć. A dojrzała jest od swoich żywicieli kilkakrotnie większa.

Niestety, po dwóch dniach się okazało, że gniazdo jest puste. Znikły i kukułka, i jaja. Zapewne wszyscy mieszkańcy zostali zjedzeni. Mogła to być mysz leśna, kuna albo sójka. Lista podejrzanych tu, w puszczy, jest długa. Wyszło na to, że nie tylko rudziki miały pecha. Kukułka też.

TAJEMNICZA BROŃ ANTYKUKUŁCZA

W przyrodzie umiejętność oszukiwania jest niezwykle przydatna, ale umiejętność rozpoznawania oszusta może być przydatna jeszcze bardziej.

W moim ogrodzie pojawił się nowy mieszkaniec. Jest to zaganiacz, a więc niezbyt rzucający się w oczy zielonkawy ptak

z rodziny pokrzewkowatych. Gdyby nie jego śpiew, to nie byłbym w stanie odróżnić go od świstunki, pierwiosnka czy piecuszka. Te gatunki pokrzewek są do siebie bardzo podobne.

Najpierw pojawił się śpiewający jak szalony samiec, a później na kasztanie przed domem zaganiacze uwiły gniazdko. Od razu zacząłem wypytywać o ten gatunek znajomych ornitologów. Wszyscy podkreślali, że ten mały ptaszek potrafi rozpoznawać jajo kukułki i nikt jeszcze nie widział kukułczego pisklaka chowanego przez parę zaganiaczy. To bardzo ciekawe, bo gniazda pokrzewek to jeden z głównych celów kukułczych wypraw. Słyszałem o wychowujących kukułcze podrzutki trzciniakach i trzcinniczkach oraz świstunkach. Jedyne kukułcze pisklę, jakie udało mi się podpatrzyć, wyrzucało z gniazda jaja mieszkającej na południu Hiszpanii pokrzewki rdzawej. Skąd więc ta nagła odporność na kukułcze oszustwa u zaganiacza?

Kukułka potrafi wszak znakomicie upodobnić swoje jaja do jaj gatunków, na których pasożytuje. – Jaja zaganiacza są różowe, może dlatego trudno je podrobić – mówi pół żartem, pół serio dr Przemysław Chylarecki z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN. Jednak z przeglądu literatury wynika, że kukułki bardzo chętnie korzystają z gniazd zaganiacza oliwkowego. Ten mieszkający na Bałkanach ptak też ma różowe jaja, a kukułkom udaje się go oszukać przynajmniej w połowie przypadków.

Na czym więc polega ten szczególny zmysł, dzięki któremu niektóre ptaki dostrzegają jajo podrzutka i mogą w porę porzucić gniazdo albo po prostu wywalić obcego? Co ciekawe, tym zmysłem są obdarzone nie tylko całe gatunki, jak zaganiacze, lecz także poszczególne ptaki. Niektóre trzciniaki na przykład rozpoznają jajo pasożyta, inne nie. Badacze próbowali tłumaczyć to większym rozmiarem mózgu u tych wrażliwszych gatunków albo wiekiem, to

jest doświadczeniem, poszczególnych osobników. Wciąż jednak brak pełnego wyjaśnienia. Na razie więc zaganiacze skrywają tajemnicę swojej spostrzegawczości. A może one również dają się oszukiwać, lecz znacznie rzadziej i po prostu nikt tego jeszcze nie zauważył?

BROŃ DELIKATNEGO DUDKA

Podobno dawno temu Teremiski, czyli wieś, w której mieszkam, były dudkowym eldorado. W starych dziuplastych wierzbach nad rzeką Łutownią co roku gniazda zakładało przynajmniej kilka par dudków. Tak mówią starzy mieszkańcy.

– Jako dzieci mieliśmy tu taką zabawę: namawialiśmy młodszych, żeby wsadzali ręce albo głowy do dziupli z młodymi dudkami. Domyśla się pan, jak to się kończyło – opowiadała mi kiedyś pani Janina Zaborowska. Domyślam się, bo dudki, które mieszkają w niskich dziuplach, często z wielkim otworem, muszą jakoś się bronić. Gdy zbliżyć się do takiej dziupli, młode syczą jak węże, a gdy prześladowca do niej wtargnie, strzykają śmierdzącą wydzieliną.

To dlatego Mikołaj Rej uznał dudki za ptaki śmierdzące i własne gniazdo kalające. Niesprawiedliwie, bo dudki to niewielkie oraz delikatne ptaki i nie miałyby szans na wychowanie młodych, gdyby nie taki sposób obrony.

A poza tym ich gniazdo nie śmierdzi. Wiem, bo powąchałem. Nie śmierdzi do czasu, gdy ktoś je zaatakuje i zostaną zmuszone do użycia swojej broni chemiczno-biologicznej.

Nie myślcie, że skoro dudki znikły z Teremisek, to znaczy, że mają się źle. Jak wynika z Monitoringu Pospolitych Ptaków Lęgowych, w ciągu ostatnich dziesięciu lat ich liczebność zwiększyła się o połowę. Naukowcy nie mają wątpliwości, że ma to związek z ocieplaniem się klimatu. Więc skoro dudków przybywa, to dlaczego akurat w Teremiskach ubywa?

W mojej wsi niemal znikło rolnictwo. Nie ma już krów. A krowy zgryzają trawę i dudkom wtedy łatwiej jest szukać w ziemi owadów. Poza tym przy krowach kręci się cała masa dużych insektów, które dudki uwielbiają. – Tam, gdzie są krowy albo dobrze nasłonecznione łąki z luźną glebą, dudków nie brakuje – podpowiadali mi znajomi ornitolodzy.

By znaleźć dudki, wybrałem się do małych białoruskich i ukraińskich wiosek rozsianych wokół Hajnówki. Pełno tu uroczych drewnianych domów, starych stodół i olbrzymich, dziuplastych

wierzb. Rolnictwo tu jeszcze jest tradycyjne i nie brakuje łąk i pastwisk.

Wykombinowałem, że najlepszym sposobem na znalezienie gniazda jest rozpytanie o niego miejscowych. I tak zaliczyłem wpadkę, etnograficzną.

– Czy widzieli państwo może dudki? – pytałem, ale starsi panowie w kaszkietach i panie w chustach siedzący na ławeczkach przed płotami kręcili tylko głowami. Wtedy sięgnąłem po kieszonkowy atlas ptaków.

– Żydowska kukułka! – usłyszałem.

– Słucham? – zatkało mnie. – No, żydowska kukułka. Mieszkały u mnie w stodole pod drewnem na opał, ale już wychowały młode i sobie poleciały – wyjaśnił starszy pan w kaszkiecie. Gdy zacząłem pytać o żydowską kukułkę, wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Niestety, wyglądało na to, że się spóźniłem. Większość ptaków już opuściła gniazda.

Zainteresowało mnie, dlaczego ludzie tutaj nazywają dudki żydowskimi kukułkami.

Dudek co prawda nie kuka jak kukułka, ale zamiast tego pupa. Takie „pu-pu-pu" brzmi jak dziwne kukanie. A pewnie to, co inne, prostym ludziom kojarzyło się z ich żydowskimi sąsiadami. Poza tym czarno--białe pasiaste ubarwienie skrzydeł przypomina tałes – chustę, którą religijni Żydzi nakrywali głowy. Ale to tylko moje domysły.

Faktem jest, że kilka lat temu w Izraelu zorganizowano narodowy plebiscyt na ptaka najlepiej symbolizującego ten kraj. Wzięło w nim udział prawie 200 tys. osób. Wygrał dudek, który po hebrajsku nazywa się duchifat.

Prezydent Szymon Peres ogłosił wyniki plebiscytu podczas obchodów sześćdziesięciolecia Państwa Izraela w 2008 r. Nie obyło

się bez zgrzytu, gdyż przeciwnicy dudka zarzucili mu, że Biblia uznaje go za ptaka niekoszernego. Zwolennicy dudków ripostowali, że co z tego, skoro lew – pradawny symbol Judei i Jerozolimy – też jest niekoszerny.

O moich poszukiwaniach dudkowego gniazda opowiadałem, komu się dało. I raptem się okazało, że dudki są na wyciągnięcie ręki.

Stara grusza z ogromną dziuplą, rosnąca przed pięknym, starym, drewnianym domem nad zalewem Siemianówka na północnych krańcach puszczy, jakieś 25 km od naszej wsi, od lat jest gniazdem dudków. Jej właściciel Leszek Poleszuk, mieszkaniec Teremisek, uważa ją za swój skarb. Dziupla ma wlot na wysokości nieco powyżej metra i sięga do ziemi. Leszek wie, kiedy dudki przylatują i kiedy mają jajka. Patrzy, jak samiec opiekuje się wysiadującą samicą i ile mają piskląt. Dudki są jego oczkiem w głowie.

Gdy tylko trochę przestało padać, zapakowałem mój rower sprzętem fotograficznym i ruszyłem do Siemianówki. Trochę się bałem, że małe wylecą, zanim spotkam się z ich rodzinką. Kasia Surmiak-Domańska, narzeczona Leszka, a moja koleżanka z „Gazety", miała je na oku od paru dni. – Małe wyglądają, jakby za chwilę miały wypaść – mówiła mi przez telefon, a to oznaczało, że w każdej chwili rodzinka może opuścić dziuplę.

Zresztą – jak relacjonowała Kasia – dorosłe ptaki coraz częściej, zamiast karmić, siadają przed dziuplą i kraczącym głosem wołają młode. Zachęcają je do wyjścia.

Kiedy dotarłem na miejsce, maluchy były jeszcze w dziupli. Rozłożyłem moje specjalne ukrycie, bo choć dudki nic sobie nie robiły z obecności Kasi – wiadomo, domownik – to jednak ja, z olbrzymim teleobiektywem, wydawałem się podejrzany.

Po paru chwilach dudki przywykły do mojego ukrycia i zaczęły karmić młode. Stary dudek w locie podawał upolowanego owada wychylającemu się z dziupli młodemu. Trwało to ułamek sekundy.

Zamurowało mnie, gdy w pewnym momencie dudek z wielkim turkuciem podjadkiem usiadł na huśtawce, metr od mojego ukrycia.

Z publikacji szwajcarskich naukowców, które wyszukał dr Przemysław Chylarecki, wynika, że dudki żyją krótko i intensywnie. Do kolejnego sezonu lęgowego przeżywa tylko 40 proc. dorosłych dudków. A trzy razy w życiu do lęgu przystępuje tylko 16 proc. dorosłych ptaków. Prawda, że mało? Dudki jednak śmiertelność nadrabiają wielką rozrodczością.

Mogą wychować aż pięć piskląt. Ale tu też zastrzeżenie – tylko wtedy, gdy jest ciepło, a w okolicy nie brakuje turkuci. Gdy leje, dudki mają kłopoty.

Tak też było w tym roku. Gdy tylko zrobiła się przerwa w ulewach, młode dudki wyleciały z dziupli przed domem Leszka. Niestety, było zimno. Ostatniego, najsłabszego, który nie miał siły wygrzebać się z dziupli, Leszek wyjął i nieco ogrzał w dłoniach, i dopiero gdy ten nabrał wigoru, wypuścił. I wiecie co? Ten mały niczym go nie opryskał i nie zasmrodził.

LIPIEC

BAROWE WĘŻE

Jadłem fasolkę po bretońsku i piłem piwo. I patrzyłem na dach. TEN dach. Po opróżnieniu połowy kufla pokazała się wężowa głowa. Gdy zjadłem połowę fasolki, wielki wąż już był cały na zewnątrz. Po cienkiej gałązce wpełzł na drzewo i ruszył na polowanie.

Nie byłem w żadnej dziczy. Siedziałem przed barem, takim zwykłym, gdzie można kupić piwo, lody i chipsy, a na ciepło jest fasolka po bretońsku lub flaki. Jednak TEN bar jest jednym z większych cudów przyrodniczych, jakie widziałem. Poza przesympatyczną właścicielką mieszkają w nim węże Eskulapa, najrzadsze polskie gady i najdłuższe nasze węże.

Wiele lat temu z przyjacielem Romkiem Wolańskim przemierzaliśmy Bieszczady w poszukiwaniu przygód. Pewnego dnia, choć byliśmy zwykłymi chłopakami z miasta, dostąpiliśmy zaszczytu znalezienia się w gronie prawdziwych bieszczadników. To byli ludzie wolni, którym nikt nie mógł rozkazywać. Pracowali przy zrywce drzew w lesie albo wypalali węgiel drzewny w dymiących retortach lub zbierali jagody. Siedzieć z nimi przy ognisku albo przy stoliku w knajpie to było coś. Bo oni wiedzieli wszystko o Bieszczadach. Przynajmniej nam się tak wtedy wydawało.

– Węże Eskulapa? Niewielu je widziało, choć są naprawdę wielkie. Mogą mieć i 3 m długości. A grube są jak moja ręka – wyjaśnił nam z poważną miną jeden z bieszczadników i podetknął pod nos umięśnione ramię. To ramię pamiętam do dziś.

I mną, i Romkiem owładnęła myśl o spotkaniu takiego bieszczadzkiego boa dusiciela, wielkiego jak anakonda. Zaglądaliśmy w najdziksze zakątki. Stare lasy bukowe, głębokie jary, szczeliny skalne. Gdy nie było pieniędzy na jedzenie, zbieraliśmy jagody lub pozwalaliśmy się ratować sympatycznym harcerkom. Romek sprzedał swój sweter, a potem śpiwór. Ale wszystko na nic. Przed nosem śmigały nam tylko zwinne cienkie zaskrońce.

– Bo go szukaliście nie tam, gdzie trzeba – wyjaśniają mi po latach zajmujący się tymi wężami naukowcy. Wąż Eskulapa jest południowym gatunkiem i nie lubi dzikich ostępów w środku lasu, gdzie jest ciemno i zimno. On lubi otwarte przestrzenie, ale też

trochę zarośli. Mieszka tam, gdzie są ludzie albo przynajmniej niedawno byli.

Podejrzewam, że gdybym nie spotkał dr. Bartłomieja Najbara z Uniwersytetu Zielonogórskiego, Katarzyny Kurek z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie i Staszka Burego, który studiuje biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, do dziś uganiałbym się za tymi wężami po najdzikszych ostępach.

Kasia, dr Najbar i Staszek to terenowy trzon naukowej ekipy pracującej nad ochroną węży Eskulapa.

Staszek nie przypomina bieszczadnika. Niby normalny student. Ale to pozory. Staszek to łowca węży. Od małego za nimi łazi. Potrafi złapać wszystko, co pełza, ale zaraz wypuszcza. Bo podobają mu się węże na wolności.

– Chcesz zobaczyć żmiję? – pyta i na chwilę znika w krzakach, by pojawić się z trzema. Idę ze Staszkiem drogą. – O, eskulap – przerywa rozmowę i zanim się zorientowałem, o co chodzi, trzyma węża w rękach. Ma jakieś trzecie oko. Pierwszego mojego węża Eskulapa pokazał mi, a raczej podsunął pod nos, Staszek. Wyciągnął go z płóciennego woreczka.

Staszek mierzy i ogląda węże – zwłaszcza tarczki na spodniej części ciała, bo mogą one mieć charakterystyczne dla danego węża cechy. Pobrał też wymaz z pyska. Chodzi o materiał genetyczny, na którego podstawie będzie można w przyszłości dokładnie określić, ile ich żyje na tym terenie.

Wąż ma około metra i wije się w rękach Staszka. Nagle jakoś tak dziwnie się odwija i dziabie Staszkowy nos, na którym zostawia maleńkie zadrapania. Węże Eskulapa mają małe, ostre, zagięte ku tyłowi zęby. Pozwalają one przytrzymać schwytane ofiary: jaszczurki, gryzonie albo ptaki. Potem wąż zabija ofiary, dusząc

zwojami ciała. To dlatego niektórzy uważają, że wąż Eskulapa to dusiciel, choć nie jest z dusicielami spokrewniony.

– Ten jest trochę nerwowy – przyznaje Staszek. – Zwykle zachowują się spokojnie.

Wąż jest smukły, brązowooliwkowy, z jasnym brzuchem. No i ten wyraz twarzy, taki raczej uśmiechnięty albo zdziwiony. – A są takie grube jak ręka drwala i mają ponad 2 m długości? – zapytałem z nadzieją. – Gdzie tam! Na południu Europy mają po 2 m, ale u nas największy miał troszkę ponad 1,6 m – wyjaśnia Staszek. – Ale zapewniam cię, że taki, co będzie miał półtora, zrobi wrażenie!

Tych węży jest mało. Jeszcze w pierwszej połowie XX w. były spotykane na Roztoczu, w Beskidzie Sądeckim i w Gorcach. Dziś zostały tylko w Bieszczadach, głównie w dolinie Sanu. I nie ma ich dużo.

Wąż Eskulapa stał się beneficjentem, a później ofiarą, akcji „Wisła", w czasie której wysiedlono ludność tych gór. Przed wojną Bieszczady były jednymi z najbardziej zasiedlonych gór w Polsce. Były tu wioski liczące tysiące mieszkańców. Taka wioska miała pełno zakamarków, w których węże mogły się schować. I kopce siana na łąkach. Wąż Eskulapa podobnie jak zaskroniec znosi jaja. Zarodki muszą się rozwijać w stałej temperaturze. A w kopcach gnijących roślin jest zawsze około 20 st. Gdy mieszkali tu ludzie, na bieszczadzkich łąkach gniły sobie spokojnie kopce siana, a dla węży to był znakomity inkubator.

Jakiś czas po wysiedleniach wężom Eskulapa musiało być w Bieszczadach znakomicie, pełno ruin, zakamarków, ludzi nie było, a pola i łąki jeszcze nie zarosły lasem. Ale potem otwarte tereny zarosły drzewami, a ruiny rozpadły się całkowicie.

– W ciągu ostatnich kilku lat udało się nam złapać około 80 węży. W całych górach żyje ich może 100, może 200 – wyjaśnia

Katarzyna Kurek. – To najrzadszy gad żyjący w Polsce i jedno z najrzadszych naszych zwierząt kręgowych. Wyobraź sobie, że przez te kilka lat znaleźliśmy tylko jedną ciężarną samicę!

Węże nie tylko straciły środowisko. Gdy się okazało, że są rzadkie, zaczęły padać ofiarą kolekcjonerów. Były miejsca, w których znikły wszystkie najbardziej okazałe.

– Próbujemy im pomóc. W ramach projektu „Czynna ochrona węża Eskulapa w Bieszczadach Zachodnich" robimy dla nich specjalne kopce trocin. Korzystają z nich nie tylko węże Eskulapa, lecz także zaskrońce i jaszczurki – wyjaśnia Kasia. Takich kopców jest około 30 w Bieszczadach. – Nie podchodźmy do nich, bo tak płoszy się węże. Uciekną, zanim je zobaczycie. A one przychodzą do kopców również po to, by złożyć jaja. To newralgiczny dla nich moment. Najlepiej na taki kopiec popatrzyć przez lornetkę. Wtedy jest szansa, że zobaczycie gdzieś na szczycie leżącego węża Eskulapa.

Siedziałem sobie zatem w TYM barze, jadłem fasolkę i piłem zimne piwo. Co chwila zerkałem na dach, dokładnie na jego szczyt. W pewnym momencie pojawiła się główka o jasnym podgardlu i okrągłych oczkach. Wąż zlustrował teren, czy jest bezpiecznie. Po chwili pojawił się znów. Przy piorunochronie. Doskonale widziałem potężne zwoje. Nie tak grube jak ramię pracującego w lesie bieszczadnika, ale i tak robiły wrażenie.

Może zresztą to nie był jeden, ale dwa węże? Wyglądało to niesamowicie na tle niebieskiego nieba. A potem znów zwoje się schowały i główka wychyliła się z drugiej strony. Wąż powoli przechodził na cieniutką gałązkę. Po niej na grubszy konar i na następne drzewo.

Patrzyłem na niego i zapomniałem, że za plecami mam bar i ludzi pijących piwo. Wydało mi się, że jestem w amazońskiej dżungli, a nie w Bieszczadach. Wąż, który miał ponad półtora metra

długości, przed samym moim nosem zsunął się po cienkim drzewie na ziemię i znikł w zaroślach.

Wiem, o co mnie teraz zapytacie. Gdzie ten bar z wężami Eskulapa na dachu? Poszukajcie sami. Popytajcie ludzi, na pewno traficie. To znane miejsce. W końcu jesteście prawdziwymi tropicielami...

NIEDŹWIEDŹ TEŻ CZŁOWIEK

22 lipca 2010 r. około 14.30 kilku przyrodników obserwowało z pokładu niewielkiego statku młodego, może pięcioletniego, niedźwiedzia nadgryzającego wyrzuconego na brzeg humbaka. Ponieważ działo się to w Parku Narodowym Glacier Bay na Alasce, gdzie miśki są ściśle chronione i przyzwyczajone do tego, że się je podgląda, obiekt tych obserwacji nic sobie z obecności ludzi nie robił. Zajadał spokojnie tłuszcz i mięso, zapewne nieco już zjełczałe, bo wieloryb leżał na plaży od dwóch miesięcy.

Tuż przed 15 koło padliny pojawił się drugi, również młodociany, niedźwiedź. Zwierzęta stoczyły pozorowaną walkę, taką raczej dla zabawy. Początkowo droczyły się na brzegu, ale w końcu oba weszły do płytkiej wody. W końcu ten, który przyszedł drugi,

znudził się sprzeczką i wrócił do padliny. Ten pierwszy został w wodzie.

Koło 15.20, jak zanotowali przyrodnicy, stało się coś niesamowitego. Pozostający w wodzie niedźwiedź wyciągnął z dna kamień. Obrócił go w przednich łapach, przyjrzał mu się dokładnie, po czym wyrzucił do wody. Po chwili wyciągnął kolejny i znów uważnie mu się przyjrzał. Chyba mu odpowiadał, bo... zaczął drapać się nim po karku i pysku. Przyrodnicy oniemieli.

Niedźwiedź drapał się przez minutę, po czym wyrzucił kamień, sięgnął po następny i znowu zaczął się czochrać.

Na stateczku był m.in. biolog dr Volker B. Deecke z brytyjskiego Uniwersytetu Kumbrii. Nie miał wątpliwości, że razem z innymi zobaczył właśnie pierwszy przypadek użycia narzędzia przez dzikiego niedźwiedzia brunatnego. Naukowcy szybko opisali to zdarzenie w czasopiśmie „Animal Cognition". Dlaczego niedźwiedź się drapał? Według autorów publikacji albo chciał się pozbyć wyłażących latem kłaków starego futra, albo też mył pysk z resztek wielorybiego tłuszczu.

Naukowcy już od dłuższego czasu wiedzą, że zwierzęta używają narzędzi. Szympansy patyczkami wydłubują swój przysmak, czyli termity. Goryle z kolei gałęziami mierzą głębokość zbiorników wody, przez które chcą przejść. Wieloryby wypuszczają bąble powietrza, żeby wypłoszyć i zdezorientować małe ryby, które mają zamiar zjeść. Słonie indyjskie potrafią użyć gałązek do oczyszczania się z pasożytów. Słynne są niektóre z zięb Darwina z Galapagos, które za pomocą kolców wydłubują owady. Jeszcze słynniejsze są wrony z Nowej Kaledonii, które specjalnie przygotowują sobie patyczki do dłubania w pniach. Wiadomo, że umiejętność używania, ale też wykonywania, narzędzi – szczególnie u naczelnych

– jest przekazywana z pokolenia na pokolenie i stanowi doskonały przykład dziedziczenia wartości kulturowych.

Niedźwiedzie dość długo się przed nami ze swoimi umiejętnościami kryły. Ale przecież to, że potrafią używać narzędzi, powinno być dla nas jasne. Są zwierzętami długowiecznymi i mają bardzo duży mózg, matki uczą niedźwiadki, jak mają się zachować. Są też wszystkożerne, a pomysłowość, z jaką potrafią dobierać się do jedzenia zgromadzonego przez ludzi, jest zadziwiająca. Dlatego w wielu kulturach o niedźwiedziu mówi się niemal jak o drugim człowieku – „on". Robią tak na przykład tatrzańscy górale.

KUMAK W KOLEINIE

Znudziło mi się już dawno łażenie po górach polegające na pospiesznym zdobywaniu kolejnych szczytów. Idąc wolno i patrząc dokoła, a szczególnie pod nogi, można dostrzec wiele ciekawych, choć niezbyt wielkich, zwierzątek. W ten właśnie sposób, gdy w zeszłym tygodniu wędrowałem po Bieszczadach,

z bliska przyjrzałem się kumakom górskim. Żeby znaleźć te dość małe płazy, nie trzeba schodzić ze szlaku, zagłębiać się w chaszcze albo zaglądać w tajemnicze zakamarki. Są wprost pod nogami – siedzą niemal w każdej koleinie wypełnionej wodą, a takich kolein na górskich szlakach jest, jak wiadomo, co niemiara.

Oczywiście zwykle nikt nie zwraca na nie uwagi. Z góry kumaki wyglądają szaro i nieciekawie, jak bryłka błota. Poza tym, gdy tylko zbliżymy się do zamieszkanej przez nie koleiny, to jedynym śladem ich obecności pozostaje zmącona woda. Na widok człowieka momentalnie zagrzebują się w mule.

Jeżeli jednak chwilę postoimy przy takiej kałuży, kumaki oswoją się z nami i wyjdą z kryjówek. I wtedy warto im się przyjrzeć. „Wyglądają trochę jak ogórki kiszone z oczami" – stwierdziła kiedyś blogerka Dagmara Marszycka i jest to najtrafniejszy opis kumaka, z jakim się spotkałem. Z bliska widać ich źrenice w kształcie małych serduszek, a także kolorowe plamy na brzuchu, podgardlu i łapkach, które kontrastują z szaroburym, błotnistym wierzchem. Mogą one być jaskrawożółte, pomarańczowe, a nawet czerwone.

Kumaki mają bardzo rozciągnięty okres godów, które trwają od kwietnia do czasem nawet sierpnia. Wtedy właśnie w kałużach na drogach można zobaczyć samce trzymające samice w talii, czyli tuż za tylnymi nogami. Efektem są kiście skrzeku przyczepione do zatopionych w drogowych koleinach trawek, a potem kijanki i młode kumaki, które też siedzą dość długo w tych koleinach, choć wydawałoby się, że to mało odpowiednie miejsce. Woda jest tam wprawdzie bardzo ciepła, a taką kumaki lubią, ale przecież drogami jeżdżą samochody, a ich koła rozjeżdżają właśnie koleiny. Jak to się dzieje, że kumaki nie giną w nich masowo?

Co prawda na gruntowych drogach nie ma wielkiego ruchu, ale zdarzają się rozjechane żaby, ropuchy, salamandry. Martwych

kumaków zaś brak. Zapytałem o to kilku znajomych zajmujących się płazami. Wszyscy twierdzili, że kumaki nie giną, ale nikt nie potrafił wyjaśnić, jak udaje się im przetrwać pod kołami. – Samochody na takich drogach zwykle wolno się toczą, więc kumaki wiedzą zawczasu o nadciągającym niebezpieczeństwie – przypuszcza Joanna Mazgajska, autorka znakomitej książki „Płazy świata". – Może nawet nie wyskakują z kałuży, lecz rozpłaszczają się i chowają głęboko w muł?

ZAJĄC O STALOWYCH NERWACH

To było naprawdę bliskie spotkanie. Zając zachowywał się zupełnie nie jak zając i mogłem go obserwować z odległości nie większej niż 10 m.

Z zającami nie miałem zbyt bliskich spotkań. Oczywiście nie liczę tych momentów, gdy nagle pryskały mi spod nóg. Chodzi mi

o takie spotkania, by móc z bliska obserwować zwierzę, które zachowuje się zupełnie spokojnie. Musiałbym przyglądać się mu z ukrycia. Bez tego ani rusz. Zające mają znakomity wzrok. Dzięki swoim wyłupiastym oczom, z których sobie żartujemy, widzą niemal wszystko dokoła głowy. A wielgachne uszy, które niezależnie od siebie zając może kierować w różne strony, wyłapują każdy szmer.

Każdy podejrzany odgłos albo ruch powoduje, że zając zmyka co sił w nogach lub przywiera do ziemi. Tymczasem ten, którego wczoraj spotkałem, miał mnie w nosie. Jadł sobie i nie przeszkadzało mu, że się do niego zbliżam, choć nie byłem zamaskowany ani zbyt ostrożny. Nie wiem dlaczego, ale bardziej denerwowały go auta przejeżdżające znacznie dalej niż wielkie oko obiektywu i trzaskająca migawka mojego aparatu. Słowem, zając dziwak, bo przecież chowanie się albo ucieczka to jedyna broń, jaką ten zwierzak ma. Uciekać musi przed lisami i psami. Młode padają ofiarą kotów, kun, ptaków drapieżnych i krukowatych oraz bocianów, które mało kto o to podejrzewa. Co więcej, zające zabijane są przez samochody i maszyny rolnicze. Największym wrogiem szaraków jest właśnie człowiek, który zabija je tysiącami.

Jak wyczytałem w książce Henryka Okarmy i Andrzeja Tomka „Łowiectwo", rocznie ginie do 60 proc. zajęcy z niektórych populacji. A ich średnia długość życia na wolności to ledwie kilka lat. Taka śmiertelność jest na tyle wysoka, że mogłoby się zdawać, że zające powinny wyginąć.

Jednak one potrafią sobie radzić – są niezwykle płodne. Ruja trwa u nich od stycznia do końca sierpnia. Samice mogą rodzić cztery razy w roku, za każdym razem nawet sześć młodych. Mało tego, u zajęcy możliwe jest zjawisko zwane podwójną ciążą. Ciężarna

samica może zostać zapłodniona i nosić w sobie zarówno młode, które zaraz przyjdą na świat, jak i zarodki kolejnego miotu.

Pomimo to zający ubywa. Myśliwi zabijają teraz blisko dziesięciokrotnie mniej szaraków niż w połowie lat 90. Dlaczego tak się dzieje? Oczywiście myśliwi najchętniej winiliby kruki, myszołowy i jastrzębie. Jednak jak wynika z badań, te drapieżniki nie są w stanie wpłynąć na populację zający. Podejrzanymi mogą być lisy, których w ostatnich latach przybywa, bo rozrzucając w lasach szczepionki, zlikwidowaliśmy niemal całkowicie ich naturalnego wroga, czyli wirusa wścieklizny.

Głównym wrogiem zający najpewniej jednak są zmiany w środowisku. Znikają różnorodne pola i łąki, gdzie zające znajdowały schronienie i pożywienie. Co więcej, żyją one w coraz większym stresie, bo coraz łatwiej o spotkanie z człowiekiem lub psem. Opublikowane w zeszłym roku badania kanadyjskich naukowców wykazały, że samice zająca amerykańskiego, które częściej spotykają drapieżniki, w tym psy, rodzą młode w gorszej kondycji – mniejsze i lżejsze – przez co spadają ich szanse na przeżycie. Prawdopodobnie u naszych szaraków nadmiar stresu ma podobne efekty. Ale pewnie nie u wszystkich, bo ten, którego spotkałem, miał raczej stalowe nerwy.

DLACZEGO PTAKI PUKAJĄ W OKNA

Chyba każdy słyszał historię o ptakach pukających do okien. Dlaczego one to robią? Czyżby czegoś od nas chciały?

Pisze w liście do mnie pani Ola pisze: „Przy naszej działce pod Ełkiem jest las i mnóstwo ptaków dokoła... Mamy kwiczoły, dzwońce, kopciuszki, szpaki, kosy, rudziki, cztery gatunki sikorek,

sójki, pliszki, kowaliki, grubodzioby, makolągwy... No i zięby – właśnie z samcem zięby mamy problem. Od około tygodnia przylatuje wczesnym rankiem i uporczywie puka w okna sypialni rodziców. Ma upodobane dwa położone prostopadle do siebie, a szczególnie jedno, najbliżej łóżka. Wskakuje na zewnętrzną ramę i z całej siły (jak gdyby chciał rozwalić szybę i dostać się do środka) puka. Ptaszek przylatuje codziennie, a pukanie trwa nawet do kilku godzin z przerwami".

Pan Jarek: „Od kilku dni zięba dobija się do moich szyb. Na mój widok odlatuje, a po chwili wraca. Po zasłonięciu okna przelatuje do drugiego. Co z nią zrobić?".

Ptaki raczej nie pukają po to, by coś dostać. Chyba że przyleci ptak oswojony albo stale dokarmiany. Wtedy może walić w okno, by dostać jakiś kąsek. Tak robiła wychowana przeze mnie wrona, która potrafiła w złości wydłubać nawet kit. Terroryzowała podwórko, na którym mieszkałem w latach 80., kiedy okna były jeszcze kitowane. Dziś są zupełnie inne. Błyszczą się i lśnią, a przede wszystkim odbijają obraz. A ptaki są wzrokowcami. To ich podstawowy zmysł. Dlatego wiele z nich ginie, bo w odbiciu w szybie widzi zieleń ogrodów. Chcą tam polecieć i z wielką siłą uderzają w okno.

W wypadku uciążliwego pukania raczej reagują na własne odbicie. Dla wielu ptaków sygnałem pojawienia się w okolicy konkurenta do terytorium i samicy jest nie tylko śpiew, lecz także barwy. Na przykład rudzik potrafi atakować kępkę rudych piórek, które nawet kształtem niekoniecznie przypominają ptaka. Kiedyś słyszałem też o bocianie, który atakował błyszczące karoserie samochodów.

Nie przypadkiem w obu listach chodzi o zięby, u których samce w okresie godowym są intensywnie ubarwione. One po prostu

w oknie widzą konkurenta, który zamiast uciekać, gdy się do niego zbliżają, bezczelnie staje naprzeciw.

Niestety, olbrzymia ilość lśniących powierzchni, którymi obkładamy świat, myli zwierzęta.

Dlaczego jednak nie wszystkie zięby albo bociany pukają w okna? Podobnie jak ludzie ptaki są po prostu różne. Te, u których grają hormony, mogą być bardziej narwane. Niektórzy ludzie też przecież wyrywają się do kłótni z byle powodów. Na szczęście również są w mniejszości.

JEŻ WĘDROWNICZEK

Co zrobić, by w naszym ogrodzie zamieszkał jeż? Otóż najlepiej, żeby ogrodzenie nie było jeżoodporne, a wtedy przez nasz ogród przewiną się dziesiątki jeży.

Siedziałem przy komputerze, gdy nagle za oknem zobaczyłem coś, co wprawiło mnie w zdumienie. Otóż tuż przy jabłonce

maszerowała sobie samica jeża, a za nią zasuwały z wielką prędkością cztery młode (na zdjęciu obok). Zbaraniałem, bo owszem, widuję w naszym ogrodzie jeże, ale zwykle po zmierzchu. Poza tym nie widziałem nigdy samicy z młodymi.

Z początku byłem przekonany, że ta dzienna wędrówka spowodowana została jakimś kataklizmem, który zniszczył jeżom kryjówkę. Może jakiś pies je nastraszył albo ktoś wypłoszył je kosiarką? Ale jeżowa rodzinka wyglądała na spokojną. Mało tego, gdy wyszedłem z aparatem, małe – które piszcząc, niemal w rządku biegły za matką – prosiły mamę o mleko. Samica, niewiele robiąc sobie z mojej obecności, przewróciła się na bok i zabrała do karmienia. Zapewne jednego z ostatnich, bo kilkunastocentymetrowe maluchy lada chwila miały rozpocząć życie na własną rękę, a raczej łapę.

Po nakarmieniu samica przedostała się między sztachetami płotu na podwórko sąsiada, następnie wzdłuż jego ogrodzenia doszła do furtki i w miejscu, w którym brakuje jednej kostki brukowej, przeszła pod nią i weszła do rowu. Po chwili zaszyła się w gęstych trawach. Ani przez moment nie wyglądało, jakby szukała drogi. Doskonale wiedziała, między którymi sztachetami się przecisnąć i jak trafić do miejsca, gdzie nie ma kostki bruku przy bramie. Musiała tędy chodzić wiele razy.

Pytacie, jak zmusić jeża do osiedlenia się w ogrodzie. Dotąd odpowiadałem, że wystarczy zostawić spokojny kąt, w którym nie kosimy, że nie wolno stosować środków owadobójczych. Byłem przekonany, że to wystarcza. Tymczasem jeża „usidlić" w jednym miejscu będzie trudno, bo ma on naturę włóczęgi.

Według badań brytyjskich w ciągu jednej nocy samiec potrafi zbadać teren do 25 ha, a samica – do 10. Na trasie jednego jeża może znaleźć się wiele ogrodów. Albo jak kto woli – przez jeden ogród

może przejść wiele jeży. Szukają owadów, dżdżownic, ślimaków, gryzoni, owoców, no i jedzenia naszych pupili.

Coraz częściej się zdarza, że jeże opróżniają ich miski. Od sąsiada wiem, że jego, wydawałoby się, groźny owczarek niemiecki jest przez nie regularnie objadany. U mnie kolczaste kulki przedostają się do klatki kruków i gdy te śpią – wyjadają pozostawione przez nie resztki.

Dlatego jeżeli ktoś koniecznie chce mieć ogrodowego jeża, może wystawić mu miseczkę z suchą karmą dla kota lub psa, najlepiej namoczoną. Jest wysoce prawdopodobne, że jeże będą z tego korzystały. W Wielkiej Brytanii jeże tak właśnie są dokarmiane przez swoich wielbicieli. Ale znacznie ważniejsze jest, by robiąc ogrodzenie, gdzieniegdzie na dole zostawić trochę wolnej przestrzeni, tak by jeże mogły swobodnie wędrować.

ŚWISTAKI, CZYLI „UWAŻAJ, MAŁY, TO LUDZIE!”

Zawsze ciekawiło mnie, jak młode zwierzęta uczą się rozpoznawać wroga. Wiele ptaków reaguje wrodzonym strachem na ciemne podłużne kształty przypominające kunę lub ptaka drapieżnego. Choć nie na człowieka. Na terenach, gdzie zwierzęta ludzi nie znają albo kontakt z nami jest sporadyczny, można je spokojnie

podglądać, bez obawy, że zwieją. Tak jest na Antarktydzie lub na wyspach Galapagos.

Niestety, w większości miejsc na świecie zwierzaki uciekają przed nami co sił w nogach albo skrzydłach. Szczególnie złe doświadczenia mają w Europie, gdzie coraz lepiej uzbrojony człowiek prześladuje je od tysięcy lat.

Mieszkające w Tatrach świstaki nękaliśmy od XVII w., gdy wmówiliśmy sobie, że ich sadło jest świetnym lekarstwem na wszystko. W połowie XIX w. omal nie doprowadziliśmy do zagłady tych sympatycznych zwierzątek. I choć rygorystyczna ochrona sprawiła, że dziś tatrzańskie świstaki mają się nieźle, to zapamiętały sobie one złe doświadczenia z ludźmi. Dlatego na nasz widok chowają się w norach, nawet jeśli mieszkają przy bardzo uczęszczanych szlakach i powinny być do ludzi przyzwyczajone.

Od tej reguły jest jednak wyjątek. Młode, które przyszły na świat pod koniec maja lub w czerwcu, są dziś całkiem żwawe i podejmują już długie wędrówki. Ciągle są mniejsze od rodziców i rodzeństwa z poprzednich lat. Mają też szare futerko, a nie żółtoszare jak dorosłe. No i są raczej szczurowate lub wiewiórkowate, a nie misiowate jak starsze zwierzęta. A co najważniejsze, mają w nosie ludzi. Potrafią niemal podejść pod nogi!

Ostatnio obserwowaliśmy tatrzańskie świstaki z Krzysiem Skrokiem, znakomitym operatorem filmów przyrodniczych. W ciszy i bezruchu czekaliśmy, aż zza wielkiego głazu wyłoni się dwuletni świstak. Był tak ostrożny, że ciągle chował się z powrotem. Wyłaził ponownie dopiero po kilkunastu minutach. Udręka.

Przerwał ją młody tegoroczny świstaczek, który raptem wyrósł 2 m przed nami. Pasł się na trawie, drapał, ostrzył zęby na kamieniu, a raczej je spiłowywał, jak to świstaki mają w zwyczaju, i kpił sobie z naszej obecności. Aż znikł za kamieniem, za którym krył się

przestraszony dwulatek. Oba zwierzaki krótko się poniuchały i poboksowały łapkami, co jest świstaczym powitaniem.

Gdy mały wyszedł zza głazu, był wyraźnie spięty. Wyglądał zza kamienia niepewnie i niemal bez ruchu. W końcu czmychnął w górę zbocza.

Wyglądało to tak, jakby starszy świstak coś młodemu o nas naopowiadał. W rzeczywistości było chyba jednak na odwrót – mały zobaczył, że duży jest zestresowany, i szybko skojarzył to z nami. Wygląda na to, że młode zwierzęta bardzo szybko się uczą, kogo trzeba unikać.

ZAGADKA SALAMANDRY

Uwielbiam spotkania z salamandrami. Czuję się wtedy, jakbym przeniósł się w czasie o miliony lat. Ale tym razem ich nie poznałem. Myślicie, że zwariowałem – nie poznać salamandry, naszego największego płaza ogoniastego o jaskrawych pomarańczowych plamach, to nie lada wyczyn. Przecież salamandry

zna każdy. Nawet ktoś, kto nigdy ich nie widział, gdy spotka jakąś na swojej drodze, od razu będzie wiedział, że to ona. I nigdy tego pierwszego spotkania nie zapomni. Nie tylko ze względu na rzucające się w oczy ubarwienie, lecz także na smoczy sposób poruszania się.

Gdy salamandra idzie, od razu widać, że to nie jaszczurka, do której z pozoru jest podobna. Jaszczurka przy salamandrze to istna mknąca strzała. Tymczasem salamandra jest dość nieporadna. Potrafi uciekać, ale bez trudu można ją złapać. Nie ma w tym jednak niczego dziwnego. Salamandra porusza się podobnie jak pradawne płazy, a gdy te stawiały pierwsze kroki na Ziemi, nie trzeba było być zbyt szybkim biegaczem. Drapieżników nie było, a ofiary takie jak ślimaki były wystarczająco wolne, by je złapać. I taki sposób życia u salamandry pozostał. Oczywiście mamy obecnie sporo lądowych drapieżników, ale salamandry mają na nie sposób. Trucizna w skórze zabezpiecza je przed atakiem, a jaskrawe plamy ostrzegają: „Nie jedz mnie, bo się otrujesz".

Salamandry, podobnie jak inne płazy, nie radzą sobie natomiast z problemem wysychania. Dlatego na łowy wychodzą ze swoich kryjówek tylko nocą, gdy jest wilgotno, lub gdy spadnie deszcz. – Takie deszczowe dni to dla salamander czas obfitości. Mogą polować, nie obawiając się wyschnięcia – wyjaśnia Marta Potoczek z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. – A gdy się solidnie najedzą, mogą czekać na następną okazję nawet miesiąc.

Wróćmy jednak do salamandry, której nie poznałem. To było w Bieszczadach. Stałem nad niewielkim strumieniem, w którym coś dość szybko sobie pływało. Ryby? Nie – strumień był zbyt płytki. Poza tym to coś miało wyraźne kończyny. Przyjrzałem się bliżej i byłem pewien, że to larwy traszek. – Nie, to raczej larwy salamandry – wyprowadził mnie z błędu Staszek Bury, znakomity

młody herpetolog, którego prosiłem przez telefon o wyjaśnienie zagadki. – Traszki unikają strumieni, żyją i rozmnażają się w stojącej wodzie. A salamandry opanowały potoki.

– Co prawda raczej do wody nie wchodzą – wyjaśnia Marta Potoczek. – Samica rodzi larwy do wody po odbywających się na lądzie godach, które są rozciągnięte prawdopodobnie na całe lato. Dlatego można czasami zobaczyć w strumieniu larwy w różnych stadiach. Oczywiście nie może to być byle jaki ciek wodny. Młode salamandry potrzebują dobrze natlenionej wody, pełnej drobnych zwierząt, gdyż same są bardzo żarłoczne. Idealny strumień powinien mieć zagłębienia, w których woda nie płynie zbyt szybko, czyli tzw. głęboczki, a tuż nad nimi niewielkie wodospady, które sprawiają, że jest dobrze natleniona.

Takie strumienie, niestety, coraz częściej regulujemy i zamieniamy w rynny. Wydaje się nam, że lepiej jest, gdy woda szybko płynie. Salamandry tracą miejsce, gdzie mogłyby się wychowywać ich młode, a my mamy tylko jeszcze większe powodzie.

SIERPIEŃ

ZESTRESOWANE KOZICE

Pojawiła się zupełnie nieoczekiwanie. Wędrowaliśmy całą ekipą pod górę i kiedy podniosłem głowę, stałem oko w oko z piękną kozicą.

Niewiele sobie robiła z naszej obecności, przynajmniej tak wyglądało. Spokojnie podeszła do ciemiężycy i zajadała się jej

liśćmi. Trochę to było dziwne, bo ciemiężycę znam jako roślinę trującą. Czyżby kozicom nie szkodziła? Jak podpowiedział mi później dr Tomasz Zwijacz--Kozica z Tatrzańskiego Parku Narodowego, kozice mogą ją jeść w celach leczniczych, żeby pozbyć się pasożytów.

Szybko się okazało, że nasza kozica nie jest sama. Całkiem spore stadko, jak się fachowo mówi: kierdel, zalegało w skałach powyżej szlaku. Składało się z samic, czyli kóz, oraz kilku tegorocznych maluchów. Patrzyliśmy zachwyceni, jak te narodzone w maju koziczki bez problemu skaczą po skałach. Maluchy, by ssać mamę, musiały się pod nią kłaść.

A wszystko to działo się przy jednym z najbardziej uczęszczanych tatrzańskich szlaków. Panuje opinia, że kozice nie boją się ludzi, i rzeczywiście często tak to wygląda. Ale nasza obecność nie jest im zupełnie obojętna. Nie tak dawno widziałem wyniki badań prowadzonych przez dr. Zwijacza-Kozicę oraz naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie oraz uniwersytetu w Madrycie. Z zebranych odchodów kozic udało się im wyodrębnić hormon stresu. Ustalili, że na terenach, gdzie można było spotkać więcej ludzi, poziom hormonu stresu wzrastał. Mało tego, kozice były bardziej zestresowane latem niż zimą i późną jesienią. Dość zaskakujące, bo zima nie jest dla nich łatwą porą roku, późną jesienią zaś mają gody polegające na gonitwach i utarczkach między samcami, które nie mogą być bezstresowe. To lato, gdy młode są już podchowane, a pokarmu nie brakuje, powinno być dla nich spokojną porą roku. Ale nie jest. Wszystko wskazuje na to, że ten letni stres wywołują ludzie – nie tylko zwykli turyści na szlakach, ale również taternicy czy też przeloty śmigłowca ratowniczego.

Zresztą o tym, że kozice nie przepadają za ludźmi, przekonaliśmy się sami. Na naszym szlaku pojawiało się coraz więcej turystów. Nagle kozice znalazły się w sytuacji, gdy z jednej strony była nasza ekipa, a z drugiej – grupa turystów schodząca w dół. Tego im było za wiele. W mgnieniu oka kierdel ruszył w skały i w ułamku sekundy znikł nam z oczu. Gdy spojrzałem w tamtą stronę, sparaliżował mnie strach. Prosto na nas leciał spory kamień zrzucony przez kozice. – Uwaga! – krzyknąłem, a nasz operator Krzysio Skrok ledwie zdążył zrobić unik. Kamul minął go o metr.

W góralskich legendach przewija się wątek lawin, które strącają kozice na prześladujących ich strzelców i kłusowników. Czy one rzeczywiście się tak bronią? – Raczej nie. Kozice chodzą ostrożnie, tak by nie poruszyć żadnego kamienia – wyjaśnił mi dr Zwijacz-Kozica. – Ale kiedy są spłoszone, to przypadkowo wszystko może się zdarzyć.

Przypadek czy nie, dla nas był to wyraźny znak, by dać spokój kozicom i zejść na dół.

DZIKI CHOMIK POLSKI

Czasami, gdy czatuję na jakieś zwierzę, przysypiam. Tak było tym razem, a gdy otworzyłem oczy, przez pierwsze sekundy myślałem, że nadal śnię. Kilka metrów przede mną jakby nigdy nic stało zwierzę, które obrosło legendą. Pamiątka po rozciągających się

kiedyś aż do Polski stepach. Moje wielkie marzenie – chomik europejski.

Był wielki. Rozmiarami zbliżony raczej do świnki morskiej niż do dobrze znanych chomików syryjskich. Był też śliczny. Niezwykle gustownie zabarwiony trzema kolorami – czarny jak węgiel spód ciała oddzielony był od rudej reszty białymi plamami. Okrągłe uszy i czarne, przypominające koraliki oczka nadawały mu bardzo dziarski wygląd.

Norę wskazał mi Grzegorz Leśniewski, jeden z najlepszych fotografów przyrody, jakich znam. Grzesiek jako jeden z pierwszych fotografował te zwierzęta i bez jego pomocy nie dałbym rady. – Przy norach rozsyp ziarno. Potem sprawdź, o jakiej porze ono zniknie. Tak się dowiesz, czy chomik wychodzi rano, czy koło zachodu słońca – wyjaśnił. I dodał, że nie będzie to proste. Jego znajomi z Hiszpanii czekali przy norach trzy dni bez skutku.

Miałem więcej szczęścia. Już po dwóch godzinach miałem przed nosem wspaniałego chomika, który upychał w torbach policzkowych wysypane przeze mnie ziarno. Gdy torby były mocno napchane, znikał w norce. Chomiki mają słaby wzrok, więc starają się nie jeść poza norą, bo jest to niebezpieczne. Polują na nie lisy, koty i cała masa skrzydlatych drapieżników. W norach, które są bardzo rozbudowane i mają kilka wejść oraz sypialnie, latryny i oczywiście spiżarnie, chomiki potrafią zgromadzić na zimę nawet do 30 kg pokarmu, najczęściej ziarna.

W monografii „Chomik europejski" Joanna Ziomek i Agata Banaszek podają, że w niektórych wypadkach zapasy dochodziły nawet do 70 kg. Nic dziwnego, że rolnicy nie przepadali za chomikami i tępili je. Pospolite niegdyś zwierzę dziś jest bardzo rzadkie i mało komu w Polsce znane. Świadczy o tym list pana Adama z Gdańska, który otrzymałem tuż przed wyjazdem: „Kilka lat

temu, pracując przy odbudowie wałów Wisły na południu Polski, natrafiałem na chomiki. To bardzo waleczne stworzenia, podczas prac ziemnych, gdy nieoczekiwanie odkryliśmy gniazda, jeden z chomików rzucił się na mnie, zmuszając do ucieczki. Później stanął na tylnych nogach i szczekał".

Właśnie przez ten „szczekający" głos wydawany przez zaniepokojone chomiki są one często nazywane przez rolników ziemnymi psami, pieskami polnymi lub szczekającymi szczurami. Ale w liście pana Adama jest coś jeszcze: „Gdy opowiadałem w Gdańsku o chomikach, nikt nie chciał mi wierzyć. Wszyscy kojarzą chomiki z małymi zwierzątkami domowymi. Myśleli, że zmyślam. Nie spotkałem nikogo, kto by znał te zwierzątka. W zoo ich nie zauważyłem, w sklepach zoologicznych też o nich nic nie wiedzą. Czasami myślę, że może rzeczywiście już nie ma na wolności tych odważnych stworzeń".

Drogi Panie Adamie, wielu moich znajomych też stukało się w głowę, gdy mówiłem, że jadę na chomiki. Potwierdzam, że Pan nie zmyśla. Chomiki jak najbardziej żyją w naszym kraju. Niestety, jest ich coraz mniej.

GNIEWOSZ? JAKI GNIEWOSZ?

Ostatnie tygodnie lata były dla mnie wyjątkowo szczęśliwe. Udało mi się zobaczyć aż trzy nowe dla mnie gatunki: chomika, węża Eskulapa, czyli naszego najdłuższego i najrzadszego gada, oraz gniewosza plamistego. Dziś napiszę o gniewoszu, bo tak naprawdę to on był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Miał syczeć, miotać

się i kąsać, a zamiast tego patrzył na mnie zupełnie niewinnie okrągłymi, łagodnymi ślepiami.

Swego czasu szukałem gniewoszy w Puszczy Kampinoskiej i w Bieszczadach. Podobno gniewosze mieszkają też w Puszczy Białowieskiej. Widywałem całe masy zaskrońców oraz żmij, ale nigdy gniewosza. Dziwne to było tym bardziej, że w książkach z lat 70. i 80. ubiegłego wieku gniewosze opisywano jako pospolite w niektórych regionach kraju.

Na moje szczęście w czasie wyprawy w Bieszczady poznałem wybitnego znawcę gadów dr. Bartłomieja Najbara z Uniwersytetu Zielonogórskiego. – Proszę, oto niespodzianka – powiedział dr Najbar i uniósł dłonie. Zobaczyłem węża, który mógł być tylko gniewoszem, bo nie był ani zaskrońcem, ani żmiją, ani tym bardziej wężem Eskulapa. Zupełnie nie pasował do moich wyobrażeń o tym gatunku. Przez tyle lat szukałem czegoś innego. Myślałem, że zobaczę coś, co przypomina żmiję, z którą ten wąż jest często mylony. Tymczasem poza brązowym wzorem na grzbiecie, który nieco przypominał zygzak, nie miał on nic żmijowego. W przeciwieństwie do grubej żmii był cieniutki i smukły. Plama na głowie w niczym nie przypominała X lub Y żmii. Jedyną cechą wspólną żmij i gniewoszy jest to, że obydwa gatunki nie znoszą jaj, ale rodzą młode.

Gdy przyjrzałem się mu bliżej, stwierdziłem, że z takimi okrągłymi, łagodnymi ślepiami może robić wrażenie co najwyżej na jaszczurkach, na które poluje. Gniewosz, którego nazwa bierze się od tego, że podobno bywa gniewny, a osaczony rzuca się i próbuje kąsać, zachowywał się niezwykle spokojnie. Żadnego syczenia i miotania się jak u zaskrońców, które w ten sposób próbują udawać żmije. Jedyne działania obronne polegały na próbach dyskretnego zniknięcia nam z oczu. – Czy one wszystkie są takie spokojne? –

zapytałem dr. Najbara. – Tylko niewielka część spotkanych przeze mnie gniewoszy próbowała się bronić – odpowiedział.

Skąd więc ta nazwa? Przypuszczam, że to jakaś próba przyprawienia gniewoszowi gęby. Przez całe wieki ludzie bez sensu zabijali węże i zawsze szukali jakiegoś usprawiedliwienia dla tego procederu. Żmije tłuczono, bo jadowite, a gniewosze – bo jak jadowite się zachowują.

Dziś gniewoszom zagrażają też zmiany w rolnictwie. – Dopłaty unijne spowodowały, że wiele nasłonecznionych ugorów, które są znakomitym miejscem życia gniewoszy, jest co roku przeorywanych – mówi dr Najbar. – Głębokiej orki przeprowadzonej ciężkim sprzętem węże te nie są w stanie przetrwać.

BOCIAN CZARNY, CZYLI ŹLE SIĘ DZIEJE NA WSCHODZIE

Brodził sobie w wodzie jak gdyby nigdy nic. Czarny, błyszczący, z czerwonym dziobem i nogami – on, wydawałoby się, jeden z najbardziej płochliwych ptaków, a tuż obok przechodzili ludzie i z hukiem przejeżdżały samochody. Popijał wodę i wypatrywał

ryb, a ja patrzyłem jak urzeczony. Głównie dlatego, że jeszcze nigdy nie widziałem z bliska tego pięknego ptaka. Intensywnie czerwone nogi i dziób świadczyły o tym, że to dorosły bocian czarny. Zatkało mnie również dlatego, że miejsce było niesamowite – obrzeża Muszyny podczas trwającego w najlepsze sezonu turystycznego. Bocian wyraźnie najadał się przed odlotem, bo dla tych ptaków to czas migracji. Ale przecież w okresie lęgowym można zobaczyć takie obrazki na Dunajcu, gdzie bociany czarne nie przejmują się wędkarzami oraz flisakami i turystami na tratwach.

Dla mnie bocian czarny zawsze był ptakiem gęstych ostępów leśnych i bagien. Takim, który w przeciwieństwie do swojego białego kuzyna stroni od ludzi, boi się ich i unika, jak może. W Puszczy Białowieskiej, gdzie mieszkam, bociana czarnego widuję co najwyżej, gdy krąży nad lasem. Raz z daleka widziałem, jak łaził po śródleśnych moczarach w poszukiwaniu ryb. – Bo bociany czarne jedzą znacznie więcej ryb niż ich biali bracia. Ryby stanowią jakieś 70-80 proc. ich diety – wyjaśnia mi dr Piotr Profus z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Przypuszcza się, że to właśnie wysychanie terenów i brak ryb, jak na przykład tłustego piskorza, są przyczynami dużych kłopotów bociana czarnego w takich miejscach jak Puszcza Białowieska. Bywają lata, gdy tylko jedna lub dwie pary dochowują się tu młodych.

Inaczej wygląda sytuacja na zachodzie i południu kraju. Tam bocian czarny ma się całkiem nieźle. To właśnie dzięki bocianom z zachodu, południa, a ostatnio z centrum cała populacja krajowa rośnie. Jeszcze w latach 60. XX w. mieszkało u nas około 500 par. Dziś może być ich prawie 2 tys. Czyżby wszędzie poza wschodem kraju nie było suszy i nie brakowało ryb? Raczej nie. Za to wyraźnie widać, że tam nieśmiało bociany czarne idą drogą, którą przed tysiącami lat poszedł ich biały kuzyn. Nie gnieżdżą się co prawda

na dachach, ale ich strach przed człowiekiem wyraźnie się zmniejszył. Dr Przemysław Chylarecki opowiedział mi o parze ptaków polujących na obrzeżach warszawskiego parku Skaryszewskiego. Są doniesienia o zakładaniu gniazd w laskach o powierzchni zaledwie pół hektara, którym daleko do pierwotnych puszcz. Dzięki temu boćki z zachodu i centrum penetrują cieki wodne takie jak kanały, do których kiedyś ze względu na obecność ludzi bałyby się zbliżyć. Bociany ze wschodniej Polski wydają się bardziej zachowawcze i konserwatywne. Podobne zjawisko ornitolodzy obserwują u bielika, który na wschodzie wciąż stroni od ludzi. Jak widać, wschodnia część naszego kraju sprzyja konserwatywnym postawom nie tylko u ludzi.

ZAKŁAD O ŻMIJĘ

Dostrzegłem ją kątem oka. Zwinięta brązowa żmija z ciemniejszym zygzakiem leżała sobie na gałęziach i patrzyła bacznie w moją stronę. Piękna. Na jej widok odetchnąłem z ulgą.

Kolejny dzień wraz z naszą ekipą filmową tropiliśmy węże w Bieszczadach. Żeby być szczerym, to nie my tropiliśmy, tylko

Staszek Bury. Choć Staszek jest studentem pierwszego roku biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, to nawet bardzo poważni naukowcy nie wyobrażają sobie prowadzenia badań nad bieszczadzkimi wężami bez jego udziału. Staszek ma nie tylko wiedzę, lecz także znakomite oko. Potrafi wypatrzyć węża wszędzie. Parę minut wystarczyło i już mieliśmy upatrzone zaskrońce. Niewielkiego samca i wielką samicę.

Wąż Eskulapa? Najrzadszy z naszych gadów? Proszę bardzo, oto on. Żmije? Tu są, w stercie drewna. – Tylko musicie być albo rano, albo po południu, gdy się wygrzewają, bo potem ruszają na polowanie – doradzał Staszek, a jego wskazówki sprawdzały się w 100 proc. Dwie piękne żmije czekały na nas tuż po świcie. Leżały sobie w oczekiwaniu na pierwsze promienie słońca. Gdy się zbliżyłem, dostrzegłem też trzecią, która jednak, gdy tylko wyczuła moją obecność, szybko czmychnęła w gąszcz gałęzi. Żmije są dość odporne na niskie temperatury i wystarczy im naprawdę niewiele ciepła, by były aktywne. Podobno potrafią być aktywne jeszcze w październiku albo nawet w listopadzie, gdy inne węże już dawno są w zimowych kryjówkach.

Już wspominałem, że Staszek zasługuje na porównanie ze słynnym Łowcą Krokodyli, choć jest raczej Łowcą Węży. Co ważne, nie rzuca się jak ten nieżyjący już Australijczyk na wszystko, co ma łuski, tylko podchodzi do zwierząt ze spokojem.

– Bez Staszka byśmy sobie nie poradzili. Ty byś nie znalazł żadnego węża – oświadczył nasz operator Krzysio Skrok.

– Ja? Ja bym nie znalazł? – omal nie zakrztusiłem się śniadaniem. Krzyś zagrał na mojej ambicji.

– Możemy się założyć. Masz dzień na wskazanie mi jakiegokolwiek węża bez pomocy Staszka – powiedział prowokacyjnie, a ja nie miałem wyjścia. Musiałem przyjąć zakład

i już w południe żałowałem, że to zrobiłem. Węże, które ze Staszkiem tak pięknie nam pozowały, gdzieś się schowały. Nie było zaskrońców, żmij, o eskulapach czy gniewoszach nie wspominając. Szukałem bez skutku.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wiedziałem, że przegrałem. I wtedy, przechodząc obok niewielkiej sterty gałęzi, zobaczyłem żmiję. Musiała mnie zauważyć wcześniej niż ja ją, bo trójkątna główka była skierowana w moją stronę. – Podejdź no tu, pragnę ci kogoś przedstawić – z poczuciem triumfu pokiwałem palcem na Krzysia. Czułem ogromną radość z tego spotkania ze żmiją.

Większość ludzi włącznie ze mną zwykle czuje dyskomfort na ich widok. To przecież nasz jedyny jadowity wąż. Jad służy mu do polowania na gryzonie, a nie do kąsania ludzi. Może się jednak zdarzyć, że wąż zaatakuje. I choć ukąszenie nie jest groźne dla zdrowego dorosłego człowieka, to lepiej nie dać się ukąsić. Tam, gdzie żyją żmije, chodźmy powoli i zachowujmy się głośno. Chodzi o to, by ich nie zaskoczyć i dać im czas na ucieczkę. Gdy gdzieś siadamy albo się kładziemy, sprawdźmy dokładnie miejsce. Dobrze jest mieć wysokie buty lub przynajmniej grube spodnie. Żmija jest dość ociężała i wysoko się nie podnosi. Jej zęby jadowe nie przebiją grubego materiału. By zniechęcić żmije do zamieszkania w naszym ogrodzie, dobrze jest strzyc regularnie i dość nisko trawę oraz nie układać stert drewna ani nie zakładać ogródków skalnych. A w wypadku ukąszenia warto zawsze zgłosić się do lekarza. Domowe sposoby mogą tylko pogorszyć nasz stan.

Nie warto jednak prześladować tych gadów. Nawet nie chodzi mi o to, że są chronione albo pożyteczne, bo zjadają gryzonie – strasznie nie lubię dzielenia zwierząt na pożyteczne i nie. One są piękne. Rysunek na grzbiecie jest niezwykle gustowny, a oczy z pionową źrenicą nadają im tajemniczy wygląd.

WYCZEKANY GRUBODZIÓB

Wiele lat temu, gdy zamieszkaliśmy w Puszczy Białowieskiej, zauważyłem, że tutejsze grubodzioby są wielkimi amatorami nasion czeremchy. Gdy tylko w lipcu dojrzeją owoce, wystarczy stanąć pod czeremchą, by usłyszeć trzaskanie łupanych nasionek i delikatne pikanie grubodziobów. A pod drzewami można znaleźć tysiące

równo przeciętych łupinek oraz olbrzymie ilości miąższu, który grubodziobów nie interesuje.

Podobnie zresztą te bardzo kolorowe ptaki o olbrzymich dziobach zachowują się wobec wiśni i czereśni. Wyrzucają to, co dla nas, ludzi, najbardziej smakowite, czyli słodki owoc, i zabierają się do pestki. Tu dopiero widać siłę dzioba tego niewielkiego, ważącego około 60 g ptaka. My, by rozłupać pestkę, potrzebujemy kowadła i młotka, a grubodziób rozbija, a raczej przecina ją dziobem, jakby to była kruchutka skorupka. Ten dziób to coś w rodzaju sekatora. Ma niezwykle ostre krawędzie, a siła nacisku to kilkadziesiąt kilogramów na bardzo niewielkiej powierzchni. Dlatego ornitolodzy obrączkujący grubodzioby muszą bardzo uważać na palce.

Marzyłem, by sfotografować te ptaki na czeremsze. Nie było to jednak łatwe. Niektóre czeremchy są bardzo wysokie, inne niskie, ale rosną w wielkich gąszczach. A grubodzioby, które zimą często goszczą w naszych karmnikach, latem są bardzo ostrożne i skryte. Dr Przemysław Chylarecki z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN opowiadał mi, że nawet dla doświadczonych ornitologów to jeden z trudniejszych do wykrycia ptaków. Jedyny pomysł, jaki przychodził mi do głowy, to zasadzenie czeremchy we własnym ogrodzie. Zasadziłem dwie, lata temu. Jedna z nich w tym roku całkiem obficie zaowocowała, minął jednak taki szmat czasu, że zupełnie zapomniałem, po co je posadziłem.

Przypomniało mi się to dopiero pewnego poranka, gdy jeszcze leżąc w łóżku, usłyszałem znajome pikanie i trzask pękających nasion. Dotarło do mnie, że na mojej czeremsze siedzą grubodzioby. Przez okno zobaczyłem, jak jeden z ptaków cichutko podlatuje na jabłoń, a z niej przeskakuje na czeremchę. Pozostawione po owocach ogonki świadczyły o tym, że zaraz grubodzioby zjedzą wszystko i przygotowany przed laty plan spali na panewce. Szybko

rozstawiłem swoje fotograficzne ukrycie. Długo się w nim nie nudziłem – grubodziób pojawił się po kilkunastu minutach. To był piękny dorosły ptak. Okazało się, że nie był sam. Towarzyszył mu przynajmniej jeden, a może dwa młode. Podczas gdy dorosły zachowywał się niezwykle dyskretnie i cicho, młode pikały natarczywie, domagając się pokarmu. Zastanawiałem się, dlaczego same nie zabiorą się do nasion. Być może ich dzioby jeszcze nie były gotowe, by poradzić sobie z czymś tak twardym jak pestka czeremchy.

TRZECIE GNIAZDO SZAŁAŚNIKA

Chodzę po podwórku i zastanawiam się, gdzie para kopciuszków, którą obserwuję od dawna, postanowi teraz wychowywać pisklęta.

Kopciuszki zna każdy. To te ptaszki, które dygają rudymi ogonkami. Samica jest brązowawa, samiec potrafi być czarny jak węgiel. Można je spotkać wszędzie – w miastach i na wsiach. Należą

do tych nielicznych naszych gatunków ptaków, które mogą mieć młode aż trzy razy w ciągu roku.

Pierwszy raz moje kopciuszki zabrały się do zakładania rodziny w tym samym czasie, gdy inne ptaki miały już całkiem podrośnięte pisklęta. To musiało być w maju, bo młode szpaki już wyglądały z budek lęgowych. Kopciuszki wybrały sobie na siedzibę rozwalone gniazdo jaskółek oknówek. Odpadła od niego cała ściana z otworem wlotowym, ale kopciuszkom wystarczyły podłoga i ściany boczne.

Młode kopciuszki opuściły ten ulepiony dom dokładnie wtedy, gdy pojawili się jego prawowici właściciele. Z początku nawet się bałem, że jaskółki żywcem zamurują maluchy, ale tak się nie stało. Maluchy wyskoczyły, a jaskółki solidnie wyremontowały swój domek, który zresztą wkrótce po remoncie straciły na rzecz wróbli.

Moja para kopciuszków widać gustowała w cudzych gniazdach, bo na kolejne lokum wybrała budowane przez muchołówkę szarą gniazdo na belce podtrzymującej dach werandy. Muchołówka zrezygnowała z osiedlenia się w tym miejscu i przeniosła się do budki lęgowej, a kopciuszki natychmiast wykorzystały rozpoczętą konstrukcję. Na jej bazie dobudowały swoje gniazdo, złożyły jaja, a potem zabrały się do wychowywania młodych. Ponieważ gniazdko było dokładnie naprzeciwko okna w łazience, mogłem, myjąc zęby, obserwować, jak się uwijają, by wykarmić piątkę wiecznie głodnych piskląt.

Samiec nieco się krygował z przynoszeniem owadów, kiedy widział, że patrzę przez okno, natomiast samica nic sobie z tego nie robiła. Młode rosły w oczach. Początkowo wystawały tylko dziobki, potem całe głowy, a w końcu pisklaki wręcz nie mieściły się w gnieździe. Dotychczas byłem przekonany, że pisklę, które znajdzie

się poza gniazdem, „głupieje” i nie da sobie rady. Tymczasem młode kopciuszki wychodziły z gniazda na belkę i wracały same do domu.

To było trzy tygodnie temu i wiele wskazuje na to, że za chwilę ta para może się rozglądać za kolejnym miejscem dobrym do wybudowania domu. Gdzie tym razem? Może samica już siedzi na jajach w jakimś ustronnym miejscu. W jednym z zakamarków stodoły albo drewnianych chlewów.

Pewnie odnajdę gniazdo dopiero wtedy, kiedy rodzice zaczną karmić pisklęta.

Kopciuszki spotykałem, gdy tropiłem w Tatrach zwierzęta tak rzadkie jak niedźwiedzie, kozice czy świstaki. Nic w tym dziwnego. Ich ojczyzną są właśnie góry. Tam najpierw zamieszkiwały szczeliny skalne, a potem stwierdziły, że równie wygodne do mieszkania są ludzkie siedziby. To odkrycie pozwoliło kopciuszkom zdobyć niziny. Właśnie w Tatrach usłyszałem pradawną nazwę kopciuszka. Ponieważ zakładał gniazda w pasterskich szałasach, zwano go pasterzem albo szałaśnikiem. Czasami mówiono też pasterz szałaśnik. Podoba mi się zwłaszcza „szałaśnik”, bo ta szeleszcząca nazwa przypomina mi głos kopciuszka. Ciekaw jestem, czy udało się wam w czasie wakacyjnych wędrówek też poznać regionalne nazwy zwierząt lub roślin.

WRZESIEŃ

SPOTKANIE Z DWUNASTAKIEM

Rykowisko jest cudowne. W lesie czuć ostry, ale bardzo przyjemny zapach jeleni, a ryk byków, czyli samców, to chyba najpotężniejszy głos, jaki wydają z siebie nasze ssaki. A przy tym to jedyna okazja, by z bliska zobaczyć byki ze wspaniałymi porożami.

W tym roku miałem spotkanie z całkiem sympatycznym dwunastakiem. To byk, który ma na każdej tyce poroża po sześć odgałęzień. Zobaczyć takiego z bliska, i to w dzień, a jeszcze zrobić mu zdjęcia, nie jest łatwo. Próbowałem wiele razy, ale zwykle miałem pecha. Jeżeli ryczącemu bykowi towarzyszy już harem łań (samic), to podejść go trudno. Byki są otumanione, to prawda, ale łanie są niezwykle czujne. Gdy coś zobaczą, zwiewają natychmiast, a byk za nimi. Łanie to jest właśnie to, na czym mu najbardziej zależy. Zwykle więc nie łażę, by nie płoszyć, ale siedzę sobie gdzieś spokojnie zamaskowany i liczę, że szczęście się uśmiechnie. Szansa na to jest zwykle mała. Byki chodzą niedaleko, ale zwykle zasłania je białowieska gęstwina. W tym roku też nie liczyłem na wiele. Usiadłem sobie za zwalonym jesionem i czekałem. Po dosłownie 20 min usłyszałem ryk. Jakiś byk szedł prosto na mnie. Wyszedł idealnie, może nawet za blisko, bo po prostu wypełnił mi cały kadr. Przez pół minuty stał może 30 m ode mnie. Trochę poryczał, a potem spokojnie odszedł. Byłem wniebowzięty. Tym bardziej że do spotkania doszło w biały dzień, około godziny 15.

Było to w Białowieskim Parku Narodowym, gdzie oczywiście się nie poluje. Dlatego można sobie spokojnie usiąść w jednym miejscu, usłyszeć ryk byków i trzask ścierających się poroży, a nawet to zobaczyć.

Tam, gdzie odbywają się polowania, byki raczej nie ryczą w dzień, jest ich wyraźnie mniej. W tym roku, gdy park narodowy huczał od ryków, na niechronionych terenach było cicho.

Zastanawiam się, czy myśliwi nie widzą tej różnicy. Nie mam nic przeciwko polowaniom na jelenie, bo jest ich w Polsce sporo. Rocznie zabija się około 40 tys. tych zwierząt i nie wpływa to na ich populację. Ale wobec polowań w czasie rykowiska mam poważne wątpliwości. Czy strzelanie do otumanionych godami

zwierząt jest etyczne? Czy taka ingerencja w czasie rykowiska nie wpływa na zdrowie tych zwierząt oraz ich potomstwa?

A przecież strzela się tylko po to, by zawiesić na ścianie poroże, bo mięso byka z rykowiska bardzo mocno pachnie i często nie nadaje się do jedzenia (chyba że po poważnym przetworzeniu). Ten sam byk kilka tygodni później dalej ma to samo poroże, a jego mięso jest lepszej jakości i – co ważniejsze – jest pewne, że przekazał swoje geny potomstwu.

Oczywiście, przyznaję, wtedy też trudniej jest go zabić, ale czy pójście na łatwiznę to jest ta przygoda, która ma towarzyszyć łowiectwu? Ktoś powie, że to tradycja. Jeśli tak, to wyjątkowo niemądra, bo nic jej nie usprawiedliwia. Jeżeli myśliwi tego nie rozumieją, to jedyna nadzieja w jeleniach, że pójdą ryczeć na tereny chronione.

PO CO DRĄ SIĘ RZEKOTKI?

W mojej karierze tropiciela obowiązuje przedziwna zasada. Kiedy wybieram się, by zobaczyć jakieś rzadkie zwierzę, i wszystko przemawia za tym, że wytropić je będzie niezwykle trudno, udaje mi się je spotkać.

Natomiast kiedy idę na pewniaka, na poszukiwanie zwierzaka zupełnie pospolitego, to zawsze mam kłopot. Nawet gdy jestem tuż-tuż, to albo załamie się pogoda, albo po prostu najnormalniej w świecie nie potrafię go zobaczyć. Tak było z rzekotkami.

I to mimo że ten rok w Puszczy Białowieskiej to był rok rzekotkowy. Już pod koniec kwietnia zaczęły się głośno drzeć w okolicach stawów i bajorek, w których odbywały gody. Było ich naprawdę dużo. Kiedy odzywała się jedna, zaczynały drzeć się pozostałe i po kilku chwilach terkotały rzekotki w całych Teremiskach. Przy każdej kałuży.

Samce wołają samice głównie nocą, ale gdy gody są w szczycie, w maju, to także za dnia. Taki wołający samiec wygląda prześmiesznie, bo nadyma znajdujący się na podgardlu worek rezonansowy i rośnie mu taki balon wielkości jednej trzeciej właściciela. To właśnie wypuszczane z niego powietrze daje ten niesamowity dźwięk nazywany rzekotaniem.

Samce albo siedzą w wodzie, albo wołają z pobliskich roślin, jakiejś trzciny lub traw rosnących wokół wody.

Rzekot jest potężny. Słychać go, jak twierdzą niektórzy badacze, z paru kilometrów. Osobiście mogę was zapewnić, że na pewno słychać go z ponad 1 km i na pewno żaden inny polski płaz nie ma tak silnego głosu. Nawet głośno rechoczące żaby zielone nie mogą dorównać rzekotce. Przy czym warto pamiętać, że niektóre żaby są duże. Żaba śmieszka miewa nawet 15 cm długości, i to bez nóg, natomiast rzekotka to nasz najmniejszy płaz bezogonowy i jej ciało ma góra 5 cm długości – zwykle jednak o wiele mniej.

Głos rzekotki nie tylko jest najpotężniejszy wśród naszych płazów, lecz także jest jednym z mocniejszych wśród wszystkich zwierząt. Naukowcy hiszpańscy zmierzyli jego moc z odległości kilkudziesięciu centymetrów i okazało się, że ma on czasami ponad

90 dB. Dla porównania silnik rozklekotanej ciężarówki to około 100 dB.

Wydawałoby się, że samice przybywające do stawu pełnego rozkrzyczanych samców powinny kierować się siłą głosu. Ale według tych samych hiszpańskich badań samice starają się wybrać samce nie tyle głośniejsze, ile większe. To z nimi wchodzą w uścisk miłosny, tzw. ampleksus. Samica składa skrzek, który formuje w kule i przyczepia do roślin. W jednej takiej kuli może być nawet tysiąc jaj.

Rozwój młodych trwa długo jak na nasze płazy, bo około trzech miesięcy. Oznacza to, że młode rzekotki albo całkiem niedawno opuściły staw, albo dopiero go opuszczą.

Płazy te do składania jaj potrzebują ciepłej wody o temperaturze około 20 st. Zaczynają więc gody późno, w maju; gdy rzekotki się drą, za sobą czas miłości mają i ropuchy, i żaby moczarowe, i trawne, część żab zielonych, jedynie kumaki nizinne jeszcze huczą donośnie, ale one okres godów mają rozciągnięty, podobnie ich nieco cichsi kuzyni – kumaki górskie.

Wyjaśnienie tych późnych godów jest proste. Rzekotki to płazy tropikalne. Na świecie żyje ich ponad 400 gatunków, głównie w deszczowych lasach Ameryki Południowej, Afryki i Australii.

Jeszcze kilka lat temu uważano, że w Europie żyją tylko dwa gatunki rzekotek. Od niedawna naukowcy wiedzą, że chodzi o kompleks rzekotek drzewnych, bo poszczególne gatunki nie mają jeszcze nazw krajowych.

– Kiedy nadciągało ostatnie zlodowacenie, płazy, wycofując się na południe, podzieliły się przy omijaniu Karpat na część wschodnią i zachodnią. Gdy wracały i zasiedlały znowu Europę, ten podział również zadziałał – wyjaśnia zajmujący się rzekotkami Tomasz Matyjak, doktorant w Instytucie Zoologicznym

Uniwersytetu Wrocławskiego. – Ciekawe jest to, że rzekotek przed pojawieniem się lodowca u nas nie było. W przeciwieństwie do pozostałych płazów są zupełnie świeżym gatunkiem. Przybyły jakieś 10 tys. lat temu.

Kiedy skrzek zostanie złożony, nasze rzekotki zostawiają wodę i ruszają na drzewa i krzewy. Dzięki przylgom na końcach palców i chwytnym łapkom znakomicie się wspinają i bez problemu skaczą z jednej gałązki na drugą. W gąszczu, niczym w dżungli, polują na owady. Podobno robią to za pomocą lepkiego języka. Są tacy, co twierdzą, że potrafią skoczyć za owadem.

Podejrzewam, że takie wnioski wysnuto na podstawie obserwacji w niewoli, bo mało kto widział rzekotkę na wolności.

W Puszczy Białowieskiej poza czasem godów przy stawie tego płaza widziałem raz, gdy wybrałem się na jabłka do sadu i potrząsnąłem naszą jabłonką – razem z owocami spadł mi zwyczajnie pod nogi.

W tym roku postanowiłem, że nie zostawię tego przypadkowi. Tym bardziej że byłem przekonany, iż mam przed sobą bajecznie łatwe zadanie. Kaszka z mlekiem.

Trzy albo cztery rzekotki w tym samym czasie rzekotały jak najęte w naszym ogrodzie. Wymyśliłem więc, że kiedy tylko zaczną się drzeć, podejdę do krzaka albo drzewa i je po prostu znajdę.

Pomyliłem się. Co z tego, że lokalizuję krzak, co z tego, że przed sekundą krzyczała z niego rzekotka, co z tego, skoro przeglądam listek po listku i nie potrafię jej znaleźć! I tak przeglądałem kolejne krzaki, szukając kolejnych rzekotek... bez skutku, z coraz mniejszą nadzieją...

Rzekotki świetnie się maskują. Potrafią w ciągu kilkunastu minut zmieniać kolory. Mogą być zielone jak liście albo brązowe jak stara

trzcina. Na widok człowieka albo chowają się za liście, albo przylegają do gałązek. Wiedziałem o tym...

Minął czerwiec, minął lipiec, potem minął sierpień. Rzekotki się darły, a ja ich szukałem z coraz mniejszym przekonaniem, że ta misja zakończy się powodzeniem.

– Wcale mnie to nie dziwi – śmieje się prof. Maria Ogielska z Instytutu Zoologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. – Gdy wypuszczamy na wolność złapane przez nas rzekotki, zwykle po kilkunastu sekundach nie potrafimy ich już zobaczyć.

Zapewne rzuciłbym ręcznik na ring, gdybym w czasie pewnej rozmowy telefonicznej przez komórkę z moim przyjacielem nie zbliżył się do jednej wierzby. Dokładnie w chwili, kiedy przez przypadek na nią popatrzyłem, coś mi błysnęło na gałązce, a ułamek sekundy później usłyszałem rzekotanie.

Nie miałem wątpliwości, że to coś, co przed chwilą błysnęło w słońcu, to był worek rezonansowy. Widziałem dokładnie, na której gałązce to było. Tak udało mi się wreszcie zobaczyć rzekotkę. Zadecydował przypadek.

Jeżeli wam kiedyś uda się zobaczyć tego płaza, to zrozumiecie, że najłatwiej opisać go jako „śliczną żabkę", taką z bajek o królewiczu, którego odczarować miał pocałunek. Jednak rzekotki nie są żabami, a łapanie ich może skończyć się tym, że strzykną na nas moczem, co nie jest przyjemne. Całowanie ich, ze względu na gruczoły jadowe, z kolei nie jest zbyt mądre.

Mnie fascynował nie tylko wygląd, lecz także ich zdolności do maskowania. I zupełną zagadką są letnio-jesienne wołania rzekotek. Po co one to robią? Przecież nie jest to wołanie godowe, bo jest już dawno po godach. Pozostałe płazy: ropuchy, kumaki czy żaby, odzywają się tylko w celach prokreacyjnych, a rzekotki – nie tylko.

Czy tak samce bronią swojego terytorium pełnego smacznych owadów i dobrych kryjówek? A może dają znać: „Ten krzak albo to drzewo jest moje i proszę tu nie wchodzić”? A może jest wręcz odwrotnie, może rzekotki, które razem darły się w czasie godów, nawołują się do kontaktów?

Zapytałem o to naukowców. – Ten fenomen jest dobrze znany. Wiadomo, że poza godami odzywają się bardziej skrzecząco, że wołają ze sporych wysokości – mówi Tomasz Matyjak. – Ale na razie nikt nie wie, dlaczego to robią.

BIEDNY, BEZBRONNY SZWEDZKI ŁOŚ

Przedzierałem się przez białowieski gąszcz, gdy nagle usłyszałem, że coś ni to beczy, ni to smutno postękuje.

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale również zacząłem stękać. Po parunastu sekundach stał tuż przede mną całkiem spory łoś, a dokładnie byk, czyli samiec, i postękując jeszcze smutniej, patrzył na mnie zawiedziony. Nic dziwnego, to było we wrześniu, gdy łosie mają swój okres godowy zwany bukowiskiem. Tu, w Puszczy Białowieskiej, nie ma ich za wiele i byk był zapewne dość zdesperowany. To dlatego tak szybko zareagował na moje stękanie. Zamarłem. Dzieliło nas nie więcej niż 5 m. Z jednej strony byłem takim spotkaniem zafascynowany, z drugiej nieco przerażony – to było jednak trochę za blisko.

„Jak to? – spytacie. – To łoś może być groźny?". Otóż czasami tak. Choć te jeleniowate wyglądają niewinnie, potrafią się bronić. Piotr Dombrowski, leśniczy z Biebrzańskiego Parku, opowiadał mi, że zdarzało mu się robić uniki przed atakującymi łosiami. Szczególnie dotyczyło to samic z młodymi. Potrafią one stanąć dęba i z całej siły uderzyć przednimi racicami. Piotr znalazł kiedyś martwego wilka z przetrąconym kręgosłupem. Wszystko wskazywało na to, że drapieżnik nie przeżył ataku na łosia. W Ameryce w parkach narodowych turyści są informowani, jak zachować się w wypadku ataku tych zwierząt.

Oczywiście te agresywne albo raczej obronne zachowania nie są wynikiem łosiej złośliwości. Ciężki łoś nie może tak szybko uciekać przed wilkami lub niedźwiedziami jak rączy jeleń. Dlatego najlepszą strategią jest zatrzymać się i bronić. Wtedy wilki, a nawet niedźwiedzie, często rezygnują z ataku. A ucieczka świadczy o tym, że może być łatwą ofiarą.

Nie tak dawno w Instytucie Biologii Ssaków PAN w Białowieży wysłuchałem wykładu Camili Wikenors dotyczącego powrotu wilków do Szwecji. Otóż w latach 60. ubiegłego wieku po intensywnych prześladowaniach wilki zostały praktycznie wytępione w Szwecji i Norwegii. Powróciły w latach 80. i dziś żyje ich tam około 300. Ponieważ Szwecja jest królestwem łosi, badaczy bardzo interesowało, jak ułożą się relacje między drapieżnikiem a ofiarą. Okazało się, że szwedzkie łosie nie za bardzo wiedzą, jak radzić sobie z wilkami. Sukces łowiecki wilków w Skandynawii polegający na proporcji liczby zaatakowanych łosi do tych, które ostatecznie zostały zabite, okazał się od dwóch do dziesięciu razy wyższy niż w Ameryce. Dlaczego wilkom idzie aż tak łatwo ze szwedzkimi łosiami? Odpowiedź jest prosta. Bo się rzadko bronią. Jeżeli w Ameryce od 30 do 50 proc. łosi staje do walki,

w Skandynawii – tylko 8 proc. Skandynawskie klępy też nie mają ochoty bronić młodych i robią to rzadziej niż łosie mamy w Ameryce. Czyżby łosie w Szwecji zapomniały, jak się zachowywać wobec drapieżników? Może, ale jest też inne wytłumaczenie. Łosie zawdzięczają brak umiejętności obrony przed wilkami myśliwym. Co roku na Półwyspie Skandynawskim zabijanych jest około 100 tys. łosi, a jednym z najpopularniejszych sposobów polowania jest polowanie z psem. To właśnie pies szczekaniem lub dzięki śledzeniu nadajnika GPS, w który jest zaopatrzony, wskazuje myśliwemu, gdzie jest łoś. W Ameryce nie poluje się z psem. Myśliwi w Skandynawii dokonują selekcji w zupełnie innym kierunku niż naturalna, dająca szansę na obronę przed drapieżnikami. Pierwsze i najczęściej giną te łosie, które na widok psa stają do walki. Znacznie większą szansę na uniknięcie kuli mają te, które zwiewają co sił w nogach. Tylko to, co dobre, żeby uratować się przed myśliwym, nie działa w wypadku, gdy do ataku ruszą wilki.

FOCZY BAMBARYŁA

Dziś trochę o fokach obrączkowanych – zwierzętach na wskroś polarnych, które jednak mieszkają całkiem niedaleko, bo można je spotkać przy estońskich brzegach Bałtyku.

W Bałtyku mamy trzy gatunki fok: szarą (opowiem wam o niej w następnym tekście), pospolitą i właśnie obrączkowaną. Ta

ostatnia jest najmniejsza – od czubka nosa do końca ogona mierzy trochę ponad metr. Charakterystyczny jest rysunek na ciele, od którego wzięła się nazwa, i krótki pyszczek, który w przeciwieństwie do „psich" pysków foki szarej lub pospolitej wygląda bardziej kocio.

Foka obrączkowana to gatunek arktyczny. Polują na nie Inuici, wyczekując, aż wyjdą z wychuchanego w lodzie otworu. Przy takich otworach czają się też niedźwiedzie polarne, dla których foka obrączkowana to podstawa diety.

Co ten gatunek robi w Zatoce Ryskiej, gdzie mieszka najbardziej wysunięta na południe populacja tych zwierząt? Odpowiedź jest prosta: są one pozostałością po czasach, gdy w rejonie naszego morza panowały warunki iście polarne.

W północno-wschodniej części Bałtyku na początku XX w. żyło około 180 tys. fok obrączkowanych. Niestety, człowiek uznał, że foki to konkurent, który wyjada mu ryby. Około 1940 r. żyło ich tylko 25 tys., a w połowie lat 80., gdy były już chronione – zaledwie 5 tys. Dziś naukowcy szacują, że populacja bałtycka to około 10 tys. fok obrączkowanych. Nie są one całkowicie bezpieczne. Nie zagraża im człowiek, ale ocieplenie klimatu i brak lodu, od którego są uzależnione w okresie rozrodu. Foki szare potrafią rodzić swoje młode, gdy lodu zabraknie, również na lądzie. Foki obrączkowane rodzą młode tylko na lodzie, a raczej w śnieżnych jamach znajdujących się na polach lodowych. Jeżeli w połowie lutego albo na początku marca lody się stopią, urodzone na nich młode, które z początku nie potrafią pływać, giną.

– Jesienią można je zobaczyć, gdy wychodzą na znajdujące się przy brzegach wysp głazy – wyjaśnił mi badający foki od lat Ivar Jüssi. – W lecie głównie pływają i nurkują na głębokich wodach w poszukiwaniu pokarmu. Gdy zbliża się zima, przemieszczają się

na płytsze wody. Wylegują się na kamieniach i tak oszczędzają zgromadzone zapasy tłuszczu.

Ivar wskazał nam odpowiednie miejsca, w których wraz z przyjaciółmi rozstawiliśmy nasze ukrycia. Foki obrączkowane są niezwykle czujne. Zwiewają do wody, gdy zobaczą lub wyczują człowieka nawet z odległości kilkuset metrów. Dlatego musieliśmy nie tylko dobrze się zamaskować, lecz także ustawić pod wiatr. Przed sobą mieliśmy wielki kamień, na który – jak sądziliśmy – wyjdą foki. Po godzinach oczekiwania wreszcie się pojawiły. Początkowo pływały zdenerwowane, aż w końcu coś zaczęło się gramolić na kamień. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Gramoliło się na kamień, choć nie za bardzo było wiadomo, jak mu się to udaje. Z pękatego ciała ledwo wystawały mała główka, ogon i boczne płetwy. Wiedziałem, że foki obrączkowane mogą przybierać na wadze nawet 10 kg miesięcznie. Zwierzak ważący w maju 40-50 kg we wrześniu może ważyć nawet 100 kg, ale na widok tego okazu po prostu mnie zatkało. To nie był zwykły foczy tłuścioch, to był prawdziwy bambaryła.

FOKI CZUJNE JAK WILKI

Fala jest niewielka, zaledwie półtorametrowa, ale nasza aluminiowa łódka skacze na niej jak szalona. Nie lubię tej krótkiej, zadziornej fali bałtyckiej. Na początku jest nawet zabawnie, jak w wesołym miasteczku, ale po godzinie takiego skakania mam już dosyć. Kręgosłup trzeszczy, tyłek boli, a w głowie tkwi obsesyjna

myśl, że drogi sprzęt fotograficzny na oblewanym wodą pokładzie rozpadł się na tysiące kawałków.

– Nie ma innej drogi do fok. Ekspedycja to ekspedycja – śmieje się Ivar Jüssi, jeden z najlepszych specjalistów od tych zwierząt, jakich kiedykolwiek udało mi się poznać.

Plan jest taki, by wylądować na ryfie zwanym Wyspą Fok. To nie będzie łatwe, bo ryfy to tu, w Estonii, takie kamieniste wysepki ledwo wystające nad wodę. Przybić do czegoś takiego nie jest łatwo, a tu jeszcze wiatr coraz silniejszy i fala coraz mocniejsza. No i jeszcze trzeba to zrobić tak, by nie spłoszyć fok. A raczej by nie spłoszyć choć jednej.

Marzy mi się dobre ujęcie foki szarej. Tak by było widać ją całą, a nie tylko głowę wystającą z wody.

W 1994 r. odwiedziłem Ivara w Estonii, by pierwszy raz w życiu zobaczyć dziką fokę. Mało tego – by zobaczyć ją w Bałtyku. Foka w tym morzu wydawała mi się wówczas czymś równie egzotycznym co sęp w Tatrach. Mglistą legendą, której tak naprawdę nie ma. Od kogoś na jakieś konferencji krajów nordyckich dotyczącej ochrony Bałtyku dowiedziałem się, że w Estonii są foki, i dostałem namiary na Ivara.

– Chcesz zobaczyć foki? To czeka cię ekspedycja – powiedział i zostawił na prawie dwa tygodnie na maleńkiej wysepce. Obok zardzewiałego autobusu wyciągniętego przez rybaków i sowieckiej minilatarni morskiej ze znaczkiem „Uwaga, promieniowanie" mieszkała tam masa mew i morskich kaczek edredonów. A wokół pływały stada fok szarych.

Foki podpływały, ale gdy tylko mnie wypatrzyły lub wyczuły, wracały na oddalony o kilkaset metrów ryf. Tam spokojnie kładły się jedna przy drugiej. Czasami, gdy poziom morza nieco się

podnosił i kilkunastocentymetrowa warstwa wody przykrywała ryf, wyglądały, jakby leżały na tafli morskiej.

Takie małe wysepki ledwo wystające nad wodę, a czasami lekko wodą zalane, to miejsca, gdzie foki lubią odpoczywać. Chodzi o to, by w każdej chwili mogły zwiać do wody przed niebezpieczeństwem.

Tylko raz jedna młoda i głupia wyszła na moją wyspę, ale gdy się zorientowała, że jest na niej człowiek, uciekła do morza. Próbowałem stanąć jej na drodze, na chwilę ją zatrzymać. Nic z tego, foczka pokazała mi wielkie jak u owczarka niemieckiego zęby i musiałem jej zejść z drogi.

Do dorosłej foki szarej leżącej na kawałku stałego lądu nie udało mi się zbliżyć.

Po latach postanowiłem spróbować raz jeszcze. Razem z Andrzejem, reżyserem mojego programu „Wajrak na tropie", operatorem Krzysiem i dźwiękowcem Grzesiem ruszyliśmy na foki.

Wiem, co teraz myślicie – że jestem fajtłapą. Zbliżyć się do leżącej foki to bułka z masłem. Przecież są setki filmów przyrodniczych, w których prowadzący podchodzi do śpiącej foki albo foczego stada i klepie po tłustym cielsku, a taka foka co najwyżej oko otworzy i śpi sobie dalej.

Myślicie, że to takie ociężałe tłuściochy. Prawda, że tak myślicie? Ale tkwicie w błędzie.

Wasze wyobrażenie o fokach bierze się z tego, że większość medialnych fok, tych z filmów przyrodniczych, to zwierzęta z południa, z Antarktydy. Tam foki nie boją się człowieka, bo nie boją się żadnych lądowych drapieżników. Z prostego powodu: tam nie ma niedźwiedzi polarnych, które potrafią zabić nawet morsa, nie ma też lisów polarnych, które potrafią zapędzić się daleko na lód, by ze śnieżnej jamy wydobyć młodą foczkę obrączkowaną. I –

co najważniejsze – na południu nie ma ludzi, a raczej bardzo późno się pojawili i foki nie nauczyły się nas bać. A na północy człowiek jest od tysięcy lat. Nie chodzi mi tylko o Inuitów, którzy są najbardziej znanymi łowcami fok. Bałtyckie foki dostawały od nas w kość od tysięcy lat.

Pod koniec XIX w. Hugo Conwentz, znakomity przyrodnik z muzeum w Gdańsku, badał na brzegu Zatoki Puckiej, w pobliżu Rzucewa, prastarą osadę powstałą 2000 lat p.n.e. On i inni badacze odnaleźli narzędzia z kości, z rogów, naczynia gliniane, szczątki drewnianych domów, resztki upolowanych niedźwiedzi, turów, saren i jelenia oraz złowionych ryb. Jednak najbardziej charakterystycznym znaleziskiem były kości trzech gatunków fok: pospolitej, szarej i grenlandzkiej, której dziś już w Bałtyku nie ma. Była to więc osada łowców fok.

Potem, gdy człowiek poważnie zabrał się do rybołówstwa, foki nadal prześladowano – nie tyle dla skór i tłuszczu, ile jako szkodniki, które niszczą sieci i podbierają ryby.

Bałtyckim wynalazkiem są specjalne sieci, w które łapano foki. W XIX w. pływało w Bałtyku około 100 tys. fok, głównie szarych. W połowie XX w., gdy zaczęto je chronić, zostało kilka tysięcy. Oczywiście dołożyło się do tego też zatrucie środowiska, ale główną przyczyną były prześladowania ze strony człowieka.

– Foki po prostu wiedzą, że niczego dobrego nie mogą się po nas spodziewać, więc boją się naszej sylwetki i naszego zapachu – wyjaśnia Ivar. – Jak się będziesz do nich skradał, musisz to brać pod uwagę.

Ivar na chwilę zwalnia. Przed nami pierwszy ryf. Nie ten, który jest celem naszej wyprawy, ale taki, który też warto sprawdzić.

Ivar wyłączył silnik kilkaset metrów przed ryfem, gdy wydawał się on tylko czarną kreseczką na szarym morzu. Ale foki i tak nas

zauważyły albo wyczuły. Przez lornetkę widzę, jak stado liczące kilkanaście sztuk pryska do wody.

– One podpłyną, są bardzo ciekawskie, a w wodzie czują się bezpiecznie – zapewnia nas Ivar. I rzeczywiście po niespełna minucie przy naszej łódce pojawiają się focze głowy. Wyraźnie widzimy samice z delikatnym pyszczkiem niczym u jamnika oraz samce z niezgrabnym ryjem, trochę przypominającym pysk konia albo łosia.

Foki przyglądają się nam z bliska, czasami z kilku metrów, ale zrobić im zdjęcie albo sfilmować je z kołyszącej się łódki wcale nie jest łatwo. Widać, że stado ma hierarchię i że foki trzymają się razem.

– Jeżeli mielibyśmy je porównywać ze zwierzętami lądowymi, to przypominają wilki – mówi Ivar. – Odpoczywają w stadach i polują też w stadach.

Głównym pożywieniem foki szarej są ryby. Kiedyś dorsze, a teraz, gdy my, ludzie, przetrzebiliśmy dorsze – śledzie i szproty. Foki podobno potrafią płynąć tyralierą i zaganiać ryby do sieci, a potem je z tych sieci wybierać. Do podwodnych polowań foki są świetnie przystosowane. Nie chodzi tylko o to, że mają płetwy i opływowy kształt niczym łódź podwodna. Głównym problemem nurkujących ptaków i ssaków jest gospodarowanie tlenem. Nie chodzi tylko o to, by mieć olbrzymie płuca. Te raczej niczym balony mogą przeszkadzać w nurkowaniu. Chodzi raczej o to, co dzieje się z tlenem rozpuszczonym we krwi. Gdy naukowcy przyjrzeli się fokom, w tym fokom szarym, okazało się, że potrafią one gospodarować natlenianiem swoich organów. Otóż nurkującej foce serce niemal przestaje bić.

Gdy foka szara zaczyna nurkowanie, jej serce uderza z szybkością ponad stu uderzeń na minutę. Ale już w trakcie nurkowania – tylko

około sześciu razy. Krew z cennym tlenem przestaje być pompowana do nerek, układu trawiennego. W czasie nurkowania większość natlenionej krwi otrzymuje mózg. Bo mózg to najbardziej tlenożerny organ i bez tlenu natychmiast by obumarł. Jednak nawet mózg foki zmienia wtedy sposób działania. Obniża swoją temperaturę, by zużywać jak najmniej cennego tlenu.

Foki rzeczywiście robią dokładnie to samo co wilki, które bardzo często pędzą jelenie na ogrodzenia, by je potem łatwiej zabić. Różnica jest taka, że foki, zaganiając ryby do sieci, często same się w nie wplątują i też tracą życie.

Za wybieranie ryb i niszczenie sieci nie lubią ich rybacy. Kiedy byłem w Estonii, w Polsce wszyscy się zastanawiali, dlaczego na naszym wybrzeżu znaleziono tyle martwych fok. Dziennikarze dochodzili, czy ich śmierć spowodowała jakaś tajemnicza choroba, czy może zanieczyszczenie środowiska.

– Co o tym sądzisz? – spytałem Ivara. – Jak to co? Pewnie wpadły w rybackie sieci. Rybacy, jak wyciągną taką martwą fokę na pokład, nie zgłaszają tego, tylko wyrzucają ją do morza. Boją się, że martwa foka sprowadzi na nich jakieś ograniczenia w połowach lub konieczność zmiany rodzajów sieci, a więc dodatkowe koszty. Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt o tym głośno nie mówi, żeby nie denerwować rybaków. Tu nie ma żadnego wirusa ani tajemniczych zanieczyszczeń – wyjaśnia Ivar.

Jednak prawdą jest też, że z fokami szarymi w Bałtyku może dziać się coś niepokojącego. Od lat 90. w Rosji, Estonii, Szwecji i Finlandii, czyli w krajach, gdzie żyje najwięcej fok, prowadzone są ich stałe liczenia z samolotów. Wiemy, że w latach 90. doliczono się około 9-10 tys. fok szarych. Od tego czasu stale ich przybywało, co było zupełnie zrozumiałe. Przecież to zaledwie jedna dziesiąta

tego, co było kiedyś. Liczba fok rosła aż do 22 tys. w 2007 i 2008 r. Ale w 2009 r. doliczono się 20 tys.

Wyjaśnień może być wiele. Może stało się coś z ich pokarmem, czyli rybami, co chwilowo zahamowało wzrost. Może populacja się ustabilizowała na tym poziome, bo to wszystko, co może się dziś zmieścić w Bałtyku. Może nie ma dla nich wystarczająco dużo ryb jak kiedyś albo dobrych miejsc rozrodu.

– A może po prostu brak tych 2 tys. wynika z niedoskonałości w metodach liczenia – wyjaśnia Ivar. – Niepokoić się trzeba, jeżeli spadek liczby fok potrwa w kolejnych latach.

Ruszamy dalej. Na północ. Po lewej stronie mijamy Hiumę, drugą co do wielkości wyspę Estonii, a przed nami majaczy wyspa jak z dziwnego snu. Naszpikowana masztami. Z wieżyczką strażniczą niczym z gułagu.

– To jest była baza marynarki radzieckiej, zatrzymamy się tam przed wypłynięciem na pełne morze – Ivar pokazał maszty, które rosły w oczach. Na jednym z nich siedział sobie orzeł bielik. Dla niego zapewne to nie wyglądało przerażająco, wręcz przeciwnie. Taki maszt na wysepkach, na których nie ma żadnych dużych drzew, to dla bielika idealny punkt obserwacyjny.

Przybijamy do resztek nadbrzeża rozbitego przez zimowe sztormy. Stoi przy nim do połowy zatopiony kuter wojskowy. – Wiesz, jak tu przypłynąłem pierwszy raz na początku lat 90., to nadbudówki z tego kutra były zdemontowane. Rosjanie zabrali je ze sobą, bo zrobione były z cennego aluminium. Za to łopotała na nim jeszcze radziecka bandera, której chyba już nikt nie chciał. Ta mała baza, w której stacjonowało 40 żołnierzy, strzegła pełnego morza przed Estończykami. Rybacy, owszem, mogli sobie pływać po Zatoce Ryskiej, między wyspami, ale na pełne morze im wypływać nie było wolno. Jeszcze któremuś przyszłoby do głowy

prysnąć do Szwecji. Zresztą nawet na pobyt na dużych wyspach, takich jak Sarema czy Hiuma, trzeba było mieć zezwolenie. To, co było fatalne dla ludzi, okazało się zbawcze dla przyrody. Prawie każda z 1700 estońskich wysp to przyrodnicza ciekawostka. Może nie na każdej są foki, ale na pewno ptaki morskie, wiele jest chronionych. Na wysepkę, na której spędziłem urocze dwa tygodnie w 1994 r., dziś już bym nie popłynął. Powstał tam rezerwat.

Tym razem wydaje się, że jest idealnie. Ryf jest przed nami. Łódka dzielnie walczy z falami. Wiatr wieje na nas, więc foki nas nie wyczują. Mało tego, jego wycie, uderzenia fal na pewno zagłuszają silnik.

– Chłopaki, zrzucajcie kapoki. Są pomarańczowe i widać je z daleka – komenderuje Ivar. Tak robimy. Ale co z tego. Po chwili przy naszej łodzi pojawia się focza głowa, a potem następna i następna. Kilkadziesiąt par foczych oczu gapi się na nas z wody. Nie wiem, co się stało. Wypatrzyły nas? Usłyszały? Wyczuły? Stado, całkiem duże, bo liczące prawie setkę, poszło do wody. Szkoda. Ale Ivar nie traci nadziei. – Słuchajcie, może nie wszystkie są w wodzie. Czasami się tak zdarza, że jakaś zaśpi i nie zauważy, że inne uciekły. Do takiej foki można spróbować podejść.

Lądujemy na kamienistym brzegu. Pochyleni opuszczamy łódkę. – Patrzcie, jest – Ivar wskazuje olbrzymi kamul wystający z wody przy drugim końcu naszego ryfu. A na tym głazie wyciągnięta niczym syrena leży wielka foka. Zamieramy przy ziemi. Szybko ustalamy podział ról. Ja się skradam z aparatem, a chłopaki filmują. Naszym naradom bacznie przyglądają się foki, które zwiały do wody. Trochę się obawiam, czy one jakoś nie poinformują o naszej obecności tej „syreny" na kamieniu.

– Musisz się skradać pochylony, czasami na kolanach albo na czworakach. Jak będzie tylko patrzyła w twoją stronę, to musisz

zesztywnieć. Udawaj kamień. Kto wie, może się nie zorientuje, że tego kamienia tu wcześniej nie było – radzi Ivar.

Idę. A raczej pełznę. Nie jest to łatwe z rozłożonym ciężkim sprzętem fotograficznym. Na szczęście w środku wyspa jest piaszczysta, a nie kamienista. Dzięki teleobiektywowi już widzę, z kim mam do czynienia. To raczej syren, a nie syrena – wielki wspaniały samiec zagapił się i nie zwiał do wody z całą resztą. Może sobie smacznie spał i nas nie zauważył. Tak zresztą wygląda. Zamknięte oczy. Od czasu do czasu przez sen drapie się płetwą po pysku. Wiem, że muszę być ostrożny, bo to płytki sen. Kurczę, otworzył oczy. Gapi się w moim kierunku. Zamieram.

Po chwili znów drzemie, pełznę. Jestem coraz bliżej i bliżej. Samiec leży na tym kamieniu już jakiś czas, bo futro mu wyschło i wygląda, jakby był zrobiony z zamszu. Foki, tylko kiedy są mokre, wyglądają ślisko, bo tak naprawdę mają sympatyczne futerko. Widzę już nawet jego przypominającego pępek siusiaka.

Tak blisko dzikiej foki odpoczywającej sobie na suchym lądzie jeszcze nie byłem. Ale szczęście nie trwa długo. Podmuch wiatru niesie mój zapach i samiec wskakuje do wody. Ułamek sekundy. Chlup – i go nie ma. My też musimy się szybko ewakuować z wysepki. – Pakuj się. Wiatr się wzmaga i możemy mieć problemy na morzu – pogania Ivar. Wracałem szczęśliwy. Co z tego, że byliśmy tak krótko, co z tego, że wieje i jest mokro. Kocham taki dziki Bałtyk.

Kiedy wróciłem do Polski, okazało się, że u naszych wybrzeży na piaszczystej łasze u ujścia Wisły z samolotu wypatrzono 12 fok. „Co to jest 12 fok w porównaniu z tym, co widziałem w Estonii" – pomyślałem nieco zarozumiale, ale po chwili przyszło mi do głowy, że 12 fok to zawsze coś – na dobry początek.

W KRAINIE ŚLUZOWCÓW

Mam kłopot. Mój cykl w „Gazecie” nazywa się przecież „To zwierzę mnie bierze”, tymczasem stworzenia, które chcę wam opisać, mimo że zachowują się jak zwierzęta, nie są nimi. I choć wyglądają jak grzyby, to grzybami też nie są. Opowiem wam o śluzowcach.

– To wykwit – Mateusz Szymura z Białowieskiego Parku Narodowego pokazuje na omszałym pniu coś, co wygląda jak górka żółtojajecznej pianki na zielonym mchu. – Być może jutro będzie w zupełnie innym miejscu. – Przepraszam, ten grzyb się przemieści? – pytam zdziwiony. Przywykłem już do tego, że w puszczy rośnie

masa przedziwnych grzybów o niesamowitych kształtach i kolorach, ale jak żyję, nie słyszałem o grzybie, który by wędrował. – To nie grzyb, to śluzowiec – wyjaśnił mi Mateusz.

No tak! Zupełnie zapomniałem o tych stworzeniach nazywanych grzybozwierzętami. Opowieść o nich trzeba zacząć od momentu, gdy zarodnik śluzowca trafia na właściwy grunt. Tam kiełkuje i zamienia się w pełzaka. Taki pełzak jest haploidalny, czyli ma jeden garnitur chromosomów. Wędruje sobie, dopóki nie trafi na innego pełzaka tego samego gatunku. Wtedy dochodzi do zlania się tych dwóch tworów. – Tak powstaje śluźnia, która właściwie jest wielojądrową komórką – wyjaśnia Maciej Romański z Wigierskiego Parku Narodowego, twórca znakomitej strony o tych stworzeniach, znawca i miłośnik śluzowców. Śluźnie mają zwykle kilka centymetrów kwadratowych powierzchni, choć są takie, które mają półtora metra długości. Śluźnia rośnie, bo jej jądra się dzielą, albo powiększa się przez połączenie z inną śluźnią. Może być biała, żółta lub pomarańczowa. Ta z pozoru bezwładna masa potrafi wędrować, i to w bardzo określonym kierunku. Pełznie tam, gdzie jest wilgotno, gdzie nie ma ostrego światła, a przede wszystkim w poszukiwaniu pokarmu, czyli bakterii, drobnych grzybów i glonów, które są wchłaniane i trawione. Nie tak dawno zespół japońskich naukowców otrzymał Ig Nobla za badania pokazujące, że śluźnia potrafi dać sobie radę nawet w labiryncie. Inni Japończycy skonstruowali robota, którego „mózg" określający kierunek poruszania się stanowiła właśnie śluźnia.

– Śluzowce nie są oczywiście zbyt szybkie. Poruszają się z prędkością około 5 mm na godzinę, ale to im absolutnie wystarcza – wyjaśnia Maciej Romański. W pewnym momencie, zwykle po kilku tygodniach żywota, śluźnia czuje, że nadchodzi czas na rozmnażanie. To jest moment, kiedy najłatwiej zobaczyć

śluzowca, bo śluźnia opuszcza ukrycie i wspina się na coś wysokiego. Oczywiście w wypadku śluzowca jest to niezbyt duża wysokość, najczęściej po prostu pieniek lub kłoda. Śluźnia przestaje jeść, wyrzuca z siebie wszelakie resztki pożywienia lub ciała obce, które znalazły się w jej ciele w inny sposób, i zamienia się w zarodnię, która w końcu uwolni zarodniki.

To zarodnie przybierają najbardziej fantastyczne kształty – kuliste, przypominające małe grzyby, kwiaty, gąbki lub koralowce. Właśnie dzięki temu, że z pozornie bezwładnej masy zamieniają się w coś przypominającego grzyby i rośliny, najłatwiej jest rozpoznawać gatunki śluzowców. Na terenie naszego kraju naukowcy znaleźli ich 222.

Jeżeli chcecie zobaczyć śluzowce, to jest jeszcze na to czas. Szansę na zobaczenie tych stworów mamy właściwie do momentu, w którym zagości u nas zima, ze śniegiem i mrozem. Szukać należy ich w miejscach, gdzie jest pełno zakamarków; w miejscach zacienionych i wilgotnych. Jeżeli ich nie znajdziecie, nie przejmujcie się. Bywają lata, w których śluzowców jest mniej, w innych potrafią pojawiać się naprawdę masowo. Dlaczego tak się dzieje? Tego nie wie nikt.

PAŹDZIERNIK

ZASKRONIEC NA SPACERZE

To była naprawdę niespodzianka. Wystarczyło, że słońce na chwilę przygrzało, a w moim ogrodzie pojawił się zwierzak, którego o tej porze roku się nie spodziewałem – cienki jak sznurówka, maleńki zaskroniec. Poznałem go po żółtych plamach z tyłu głowy, od których wzięła się nazwa gatunkowa tego węża.

W ogóle bym go nie zauważył, gdyby nasz pies nie narobił rwetesu. Co ciekawe, maluch, który miał może z kilkanaście centymetrów długości, bardzo dzielnie się bronił, udając żmiję zygzakowatą. To jeden z dwóch sposobów obrony tych absolutnie nieszkodliwych węży – albo udawać jadowitego gada, syczeć i się prężyć, albo gdy już się jest złapanym, obryzgać napastnika cuchnącą cieczą z gruczołów znajdujących się w pobliżu kloaki. Tak też zrobił maleńki zaskroniec, gdy usiłowałem go usunąć sprzed nosa naszego psa.

Pojawienie się maleńkiego zaskrońca w naszym ogrodzie nie było niczym dziwnym. Widać postanowił skorzystać z ostatnich ciepłych promyków jesiennego słońca, a potem znaleźć sobie miejsce do zimowania w jakiejś norze albo w kompoście. Zresztą myślę, że właśnie dlatego, że w ogrodzie jest góra kompostu, mamy zaskrońca, i to chyba niejednego. Kompost to optymalne miejsce do znoszenia jaj. Około sierpnia samica zaskrońca znosi ich nawet do 30. Są okrągłe i białe, a ich skorupka jest miękka, jakby zrobiona z pergaminu.

Samica nie znosi jaj byle gdzie. Miejsce musi być ciepłe, o w miarę stałej temperaturze i dość wilgotne. Sterta kompostu, gdzie zachodzą procesy gnilne, jest takim miejscem. Podejrzewam, że właśnie tam przyszedł na świat maleńki zaskroniec po trwającej około dwóch tygodni inkubacji.

Akurat mnie osobiście bardzo odpowiada, że mam w ogrodzie zaskrońce, ale wiem, że kilku moich czytelników chce się pozbyć węży. Otóż ich wyłapywanie i wywożenie nie ma większego sensu, jeżeli nie zlikwidujemy w ogrodzie takich miejsc jak sterty kompostu, w których te gady lubią zimować i znosić jaja. Przyciągać je też mogą oczka wodne, bo tam zaskrońce znajdują swój podstawowy pokarm – żaby. Dlatego jeżeli ktoś panicznie boi się

nawet nieszkodliwych węży, to niech najpierw pozbędzie się z ogrodu wszystkiego, co sprawia, że czują się one w nim dobrze. Ja natomiast mam nadzieję, że mój maluch gdzieś sobie przezimuje i w przyszłym roku znów będę mógł nim cieszyć oczy. Mam też nadzieję, że uda mu się dorosnąć do półtora metra długości, czyli będzie mierzył tyle, ile mają naprawdę duże zaskrońce.

KTO SADZI DĘBY?

– Ktoś te dęby kiedyś tu posadził i dlatego można je wycinać – tłumaczył w Radiu Maryja w audycji o Puszczy Białowieskiej profesor leśnictwa i były minister Jan Szyszko.

„Ja nawet wiem, kto je sadzi od pokoleń” – pomyślałem.

Z sadzeniem dębów nie jest łatwo. Nasion nie rozniesie wiatr, tak jak to dzieje się z nasionkami chociażby klonu czy sosny, bo są ciężkie. Gdy idzie się przez puszczę w tak urodzajny rok jak ten, co chwila słychać, jak z hukiem spadają żołędzie. Trochę strach, bo dostać takim pociskiem spadającym z wysokości czasami ponad 30 m jest nieprzyjemnie. Dlatego na dłużej nie staję pod dębami, ale nawet krótka chwila wystarczy, żeby się zorientować, że żołędzie (co prawda w gigantycznych ilościach) są tylko pod drzewami, które je wydały na świat. Parę metrów dalej już ich nie ma. A przecież dęby rosną dość często w kępach oddalonych od siebie o kilkaset metrów. Niemożliwe, aby żołądź sam się przemieścił na taką odległość. Ktoś, jak słusznie zauważył prof. Szyszko, musiał go przenieść i zasadzić.

Ten ktoś, z natury ciekawski i hałaśliwy, jest wystrojony w kolorowe piórka. To sójka. Uwielbiam te ptaki, bo gdy wchodzę do lasu, towarzyszą mi na każdym kroku. Jeśli ich nie widać, to słychać, jak skrzeczą albo miauczą. Podobnie jak wiele krukowatych, do których należą, potrafią świetnie naśladować głosy.

To sójki głównie roznoszą nasiona dębu. Robią to jeszcze myszy leśne i wiewiórki, ale one nie są w tym tak sprawne. Po pierwsze, sójki potrafią zanieść żołędzie na duże odległości. Hiszpańscy badacze, którzy wkładali do żołędzi mikronadajniki, wyśledzili, że mogą je wynieść nawet na pół kilometra od miejsca, w którym je zebrały. Mało tego, sójka może naraz zabrać nawet do pięciu połkniętych żołędzi, czego nie robią inne zwierzęta. W ciągu roku przenosi od 4,5 tys. do 11 tys. tych owoców!

Co ciekawe, sójka wybiera żołędzie, które wyglądają najzdrowiej i pewnie są najpożywniejsze. Zakopuje je dokładnie na takiej głębokości i w takich miejscach, które są najlepsze do wykiełkowania dębów. Żołędzie, które nie zostały schowane

przez sójki, zostają zjedzone przez dziki, jelenie, żubry oraz gryzonie, a gospodarka leśna polegająca na sadzeniu ma nie więcej niż 200 lat (w puszczy mniej niż 100), więc możemy przyjąć, że większość dębów posadziły sójki, nie ludzie.

Sójki, zakopując żołędzie w ściółce, przygotowują zapasy na zimę. Ale o części z nich zapominają, część staje się niedostępna pod zwałami śniegu albo giną „właściciele" poszczególnych żołędzi. Dęby kiełkują i jeżeli mają sprzyjające ku temu okoliczności, wyrastają na gigantyczne drzewa. Dożywają nawet 650 lat i dlatego mogą sobie pozwolić na to, by czekać na sukces w rozrodzie bardzo długo.

Pracę sójek sadzących dęby da się wycenić. Zrobili to szwedzcy naukowcy. Okazuje się, że praca, jaką wykonuje para sójek, biorąc pod uwagę koszty robocizny oraz techniki sadzenia dębów w Szwecji, warta była do 160 tys. koron szwedzkich, czyli do 80 tys. zł. Gdyby to przeliczyć na powierzchnię, to sójki zarabiałyby nawet do 67 tys. koron, czyli 33 tys. zł za hektar. Nasze ptaki są z pewnością tańsze, bo i ludzka praca na podstawie tych samych wyliczeń jest tańsza niż w Szwecji.

RUDZIK JESIENNY

Rudziki znane są z tego, że zaciekle bronią swoich terytoriów w okresie lęgowym. Okazuje się jednak, że te małe ptaszki walczą też o terytoria, na których zimują.

Rudziki kojarzą mi się z brakiem liści na drzewach. Wiosną, gdy ich jeszcze nie ma, pojawiają się w naszym ogrodzie i zawzięcie

szukają budzących się owadów. Podobnie jest jesienią. Gdy liście żółkną i opadają, w ogrodzie znów widać rudziki. Te niewielkie ptaszki mają stosunkowo duże oczy. To umożliwia im widzenie, gdy światła jest bardzo mało, i zapewne też dlatego grzebią w poszukiwaniu pokarmu wcześnie rano lub nawet pod wieczór. Zresztą mało kto o tym wie, ale rudzik jest bliskim kuzynem innego wielbiciela zmroku – słowika.

Teoretycznie w takiej szarówce trudno wypatrzyć małego ptaszka. Ale – po pierwsze – rudziki są niezwykle ruchliwe i często mało płochliwe. Po drugie, rzuca się w oczy ich ruda pierś. Stąd też nazwa tych ptaków, które wyglądają, jakby założyły jaskrawą kamizelkę. Noszą ją zarówno samce, jak i samice. I to właśnie ona, w połączeniu ze śpiewem, działa na inne rudziki jak płachta na byka. Ptaki te w okresie lęgowym nie są w stanie znieść żadnej konkurencji. Choć od tej reguły bywają wyjątki. Takim wyjątkiem były dwie pary rudzików zamieszkujące wrak autobusu, który jakimś cudem znalazł się na maleńkiej estońskiej wysepce. Akurat obserwowałem tam foki, ale też nie mogłem nadziwić się zgodnemu życiu obu rodzin rudzików. Nie miałem wątpliwości, dlaczego utemperowały swoje wojownicze charakterki. Autobus otaczała kolonia mew srebrzystych, które kąsek wielkości rudzika połknęłyby w ułamku sekundy. Kłótnie w takim miejscu groziły więc utratą życia.

Moje ogrodowe rudziki nie mają takich problemów i gdy tylko puściłem z odtwarzacza głos konkurenta, po paru sekundach na gałązkach leszczyny siedział zaniepokojony rudzielec. Oczywiście inne ptaki też reagują na głosy, ale nigdy tak szybko.

To było wiosną. Ale te ptaszki zachowują się wojowniczo także jesienią i zimą. Nie dotyczy to moich rudzików. Na wschodzie Polski są to raczej ptaki wędrujące. Być może przybysze z Rosji lub

ze Skandynawii. Jednak w Wielkiej Brytanii i na zachodzie naszego kraju, gdzie zimy są łagodniejsze, rudziki walczą o terytoria niemal cały rok. Co więcej, samce i samice mają wtedy oddzielne terytoria zimowe. I obydwie płcie śpiewają, by zaznaczyć swoją obecność. Pieśń ma wątek terytorialny, ale seksualnego już nie, bo zimą na miłość ptakom raczej się nie zbiera. Za to ilość pokarmu jest ograniczona i od stanu, w jakim rudzik przetrwa zimę, może zależeć jego sukces jako rodzica, gdy nadejdzie wiosna.

KOZICA INWALIDKA

Zimą szczególnie ciepło myślę o kozicach. A od niedawna o jednej, która choć jest inwalidką, świetnie daje sobie radę.

Tatry to nasze najbardziej ekstremalne góry, zwłaszcza zimą. Daje się we znaki zimno potęgowane porywistymi wiatrami. Mało jest chyba miejsc w Polsce, gdzie można znaleźć tak głębokie zaspy.

Zagrożenie lawinami jest ogromne, a lód na skałach sprawia, że w każdej chwili można się ześlizgnąć w przepaść. Jakby tego było mało, warunki zmieniają się w ciągu paru godzin albo jednego dnia.

Nigdy nie zapomnę naszej zimowej wyprawy z Nurią i znakomitym filmowcem przyrodnikiem Krzysiem Skrokiem. Nie był to jakiś trudny szlak, tylko część trasy prowadzącej z Zakopanego do schroniska w Murowańcu. W jedną stronę szliśmy bez problemu, w drugą – na czworakach, bo mokry śnieg zamienił się w lód.

W tym nieprzyjaznym środowisku człowiek ubrany w nowoczesne ciuchy, z czekanem i rakami oraz z odpowiednim doświadczeniem może dać sobie radę. Choć nawet najbardziej doświadczeni i najlepiej wyposażeni ludzie giną w Tatrach, a na spadającą lawinę nie ma mocnych. Dlatego gdy patrzę na zaśnieżone szczyty tatrzańskie, myślę o kozicach. One się tam nie pchają tak jak ludzie. One tam mieszkają.

W wysokie góry, takie jak Tatry, Kaukaz, Apeniny, wysokie części rumuńskich Karpat, Pireneje czy Alpy, około 10 tys. lat temu wygnało je ocieplenie. To ono sprawiło, że Europa porosła lasami i zaczął się w niej panoszyć człowiek.

Kozice są jedynymi dużymi zwierzętami, które muszą zmagać się z tatrzańską zimą. Jelenie schodzą w doliny, a niedźwiedzie i świstaki śpią. Ale kozice są do takiej pogody świetnie przygotowane. Najważniejsze elementy ich „wyposażenia" to racice o ostrych krawędziach, które działają jak raki. W środku racic jest miękka część, która działa jak poduszka antypoślizgowa. Między piętkami w tyle racicy rozpięta jest skóra, która spełnia funkcję rakiety śnieżnej, gdy zwierzę musi iść przez głęboki śnieg.

Serce kozicy to superpompa, dzięki której jest gotowa na wielki wysiłek. Waży 400 g, podczas gdy sama kozica – około 40 kg. U człowieka, który zwykle jest dwa razy cięższy, serce waży około 300 g. We krwi kozic jest trzy razy więcej niż u ludzi czerwonych krwinek odpowiedzialnych za transport tlenu do komórek. Futro jest gęste i izolujące, a źrenice potrafią się tak zwęzić, że odbite od śniegu promienie słońca nie są problemem.

Pomimo to kozice giną w lawinach, spadają w przepaście. Czy zatem osobnik, który ma poważne braki fizyczne, przetrwa w takich warunkach?

– Od wiosny 2007 r. obserwuję kozicę, która ma tylko jedno oko – opowiada mi podleśniczy Stanisław Wierzbanowski z Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Zwierzę powinno mieć kłopoty z oceną odległości z powodu mniejszego pola widzenia. Tymczasem zupełnie po niej tego nie widać. – Nie wiadomo, jak straciła oko, ale nigdy w jej zachowaniu nie dostrzegłem niczego nietypowego, a brak oka zobaczyłem dopiero na zdjęciach. Kozica ta miała też młode. Ostatni raz widziałem ją w sylwestra w zeszłym roku i podobnie jak wcześniej dawała sobie świetnie radę – dodaje podleśniczy.

Dlaczego inwalidka nie zginęła, choć wydawałoby się to oczywiste?

Może oceniając zwierzęta tylko po ich fizycznych warunkach, po prostu się mylimy. Równie ważne, podobnie jak w naszym wypadku, jest to, co mają/mamy w głowie. Zapewne jednooka kozica, choć zdecydowanie gorzej widzi, po prostu jest bardzo mądra i doświadczona. I dzięki temu żyje.

TRZNADEL I SZKLANA PUŁAPKA

Nie przypadkiem właśnie jesienią piszę kolejny felieton o tym, jak wielkie szklane powierzchnie, którymi zabudowujemy świat, wpływają negatywnie na przyrodę. To drugi obok wiosny sezon, gdy najwięcej ptaków rozbija się o nasze szyby. Wiosną są to ptaki młode. Jesienią koło naszych domów pojawiają się te, które

wędrują na zimowiska. Za chwilę też zaroi się w naszych karmnikach, które dość często stoją przy oknach.

Atak drapieżnika takiego jak krogulec może spowodować, że sikory albo trznadle, które miały u nas jeść, w panicznej ucieczce trzepną w szybę i tak zakończą żywot. Szacuje się, że w USA ginie od kilkuset milionów do miliarda ptaków. W Polsce to też poważny problem. Tak wynika z waszych listów. „Cztery lata temu, budując piętrowy dom, nie przypuszczałam, że i dom, i my staniemy się mimo woli przestępcami. Dom został postawiony wśród starego drzewostanu, nieopodal sadu i lasu. Cieszyły nas duże okna, dzięki którym możemy obserwować to, co dzieje się na zewnątrz. Widzimy mnóstwo ptaków latających wśród drzew. Niestety, zaczęliśmy znajdować martwe ptaki pod oknami – pisze czytelniczka. – W zeszłym roku były trzy. Dało to nam do myślenia i postanowiliśmy tej wiosny przykleić do szyb dla odstraszenia papierowe ptaki drapieżne. Mimo to znów znaleźliśmy przynajmniej dziesięć martwych ptaków. Były wśród nich drozdy, kos, pierwiosnek, pliszka, a ostatnio grubodziób. Młode, zdrowo wyglądające ptaki, które przyszły na świat w gniazdach założonych na naszych drzewach w pobliżu domu. Wpadamy w depresję. Nie chcę, byśmy my i nasz dom byli mordercami ptaków. Czy o poranku wygłodniałe młode ptaki, pędząc za swoją zdobyczą, nie widzą okien z przyklejonymi ptakami i paskami?”.

Otóż to – raczej nie widzą. Albo może inaczej – widzą doskonale, natomiast pozostała przestrzeń okna jest dla nich przezroczysta. Choć logicznie wydaje się, że ptaki powinny reagować na sylwetkę drapieżnika, to jednak w wielu wypadkach tak nie jest. A sama sylwetka zabezpiecza przed uderzeniem nie większy obszar, niż sama zajmuje. Czy sytuacja jest więc beznadziejna? Niekoniecznie. Możemy ptakom pomóc, jeżeli zrozumiemy, że w ich widzeniu

świata niezwykle ważną rolę odgrywa niewidoczne dla nas promieniowanie ultrafioletowe. Amerykańscy naukowcy przeprowadzili wiele ciekawych eksperymentów związanych z odbijaniem lub absorbowaniem tego rodzaju promieniowania i ryzykiem uderzenia w okno. Wyniki tych prac zostały opublikowane w „The Wilson Journal of Ornithology".

Otóż zwykła szyba jest dla ptaków niemal niewidoczna, gdyż przepuszcza ponad 70 proc. promieniowania UV. To powoduje, że lecący, szczególnie z dużą szybkością, ptak jej nie widzi. A co się stanie, gdy nalepimy na nią filtry pochłaniające lub odbijające większość tego promieniowania? Dowiedziono, że liczba kolizji znacznie się zmniejsza. Filtry są dla nas, ludzi, słabo widoczne i tylko w niewielkim stopniu ograniczają komfort patrzenia przez okno. W USA i Wielkiej Brytanii tego typu zabezpieczenia w formie nalepek można od dawna kupić w sklepach prowadzonych przez stowarzyszenia działające na rzecz ochrony ptaków. Niestety, w Polsce takich nie widziałem.

ZACZĘŁO SIĘ! ZIMOWA INWAZJA JEMIOŁUSZEK

Pod koniec października, gdy było jeszcze ciepło i przyjemnie, usłyszałem coś, co zupełnie nie pasowało do prawie letniej pogody. Był to dzwoniący, delikatny głos – „trii, trii, trii” – z wysokich drzew

obrośniętych jemiołą. Omal nie podskoczyłem z radości. Tak wołają jemiołuszki!

To jedne z najpiękniejszych i najsympatyczniejszych ptaków, jakie znam. Malutkie, ważą ledwie 50 g, na głowie mają czubek, dzięki któremu nie sposób je pomylić. W beżowych piórkach wyglądają dość korpulentnie, pod dziobem mają czarny śliniaczek, a wokół błyszczących koralików oczu – czarną, skośnie zakończoną maskę, która nadaje im nieco azjatycki wygląd.

Ale najciekawsze są ich żółto-czarne sterówki, czyli pióra ogona, oraz żółto-czarno-białe lotki – pióra skrzydeł. Część lotek zakończona jest czerwonymi woskowatymi płytkami. To właśnie od nich bierze się angielska nazwa jemiołuszki waxwing, czyli woskowe skrzydełko – bo te płytki przypominają konsystencją i połyskiem wosk. Nikt dokładnie nie wie, po co one tym ptakom. Podejrzewa się jednak, że to po tych ozdobach jemiołuszki poznają wartość przyszłego partnera.

Nalot jemiołuszek to dla mnie tak samo radosne wydarzenie jak powrót czajek czy bocianów na wiosnę. Oczywiście jemiołuszki są znakiem nadchodzącej zimy. W tym roku pojawiły się blisko dziesięć dni wcześniej niż w poprzednim roku i przed dwoma laty. Jest ich też dużo, znacznie więcej niż w zeszłym roku. A ich inwazja dość szybko objęła niemal cały kraj. Na początku listopada widziałem je również w Krakowie. Czyżby szykowała się nam ostra zima i przewidując ją zawczasu, jemiołuszki ruszyły na południe?

Zgrabna hipoteza, ale obawiam się, że nieprawdziwa. Zwierzęta nie są aż tak dobrymi meteorologami, jak nam się wydaje. Oczywiście może się zdarzyć, że – podobnie jak w poprzednich latach – blokada atmosferyczna wywołana brakiem lodu w Arktyce ześle na nas kilka tygodni mrozów, ale tego nikt, a tym bardziej jemiołuszki, nie jest w stanie przewidzieć.

No dobrze, ale coś je przecież wypycha z tajgi, w której mieszkają. To coś to oczywiście głód.

W okresie lęgowym jemiołuszki jedzą owady. Nawet u nas w cieplejsze dni jesienne można zaobserwować, jak nagle odrywają się od siedzącego na drzewie stadka, wzbijają się, machając szybko skrzydłami, a potem nagle opadają i znów się wzbijają. Tak właśnie chwytają swoje ofiary.

Jednak gdy robi się na tyle zimno, że owady znikają, jemiołuszki przerzucają się na owoce. No i niezbyt dobrze je trawią. Od zjedzenia do wydalenia resztek, które często stanowią większość owocu, może upłynąć ledwie 10 min. Proszę popatrzeć, jak jedzą owoce jemioły, od której bierze się ich polska nazwa. Zaraz potem robią długą, ciągnącą się i przypominającą korale kupę. Jeżeli przyjrzeć się jej z bliska, to można zobaczyć nasiona otoczone kleistą powłoką. Ona umożliwia nasionom przyklejenie się do gałęzi drzewa, dzięki czemu jemioła może się rozprzestrzeniać.

Z powodu niezbyt dokładnego trawienia owoców jemiołuszka, żeby się najeść, musi jeść naprawdę dużo. Niektórzy naukowcy twierdzą, że w ciągu krótkiego dnia zimowego pożera nawet dwa razy więcej masy owocowej, niż sama waży. A zatem to poszukiwanie owoców, a nie prognoza pogody, zmusza je do wędrówki. Na przykład te ze Skandynawii gustują w jarzębinie. Gdy mają jej pod dostatkiem, wyruszają w drogę później i w mniejszej liczbie, a gdy jarzębiny brakuje, wylatują wcześniej i dużymi stadami.

Ciekawe jest to, że wędrówki jemiołuszek nie mają jednej wyznaczonej trasy. Naloty na poszczególne kraje są naprawdę niespodziewane i dlatego tak bardzo przypominają inwazję. Dzięki obrączkowaniu ptaków wiemy, że jemiołuszka, która jednej zimy

brała udział w nalocie na Polskę czy Czechy, w następnym roku może wyruszyć na Rosję.

LISTOPAD

NORNICE – MISTRZOWIE SZTUKI PRZETRWANIA

Wystarczy się na chwilę zatrzymać. A gdy usłyszycie szelest – spojrzeć w tamtą stronę. Może uda się wam zobaczyć niewielkie brunatnorudawe zwierzątko mknące z zawrotną szybkością. A może będziecie mieli szczęście i gdzieś wyjdzie z norki tuż obok was,

i wtedy będziecie mieli okazję spojrzeć w śliczne, czarne i błyszczące jak paciorki oczy nornicy rudej.

Ja je uwielbiam, nie tylko dlatego, że są po prostu śliczne z tym swoim zaokrąglonym pyszczkiem i zupełnie niemysimi małymi uszkami. Nie dlatego, że w lesie ma się wrażenie, że po prostu czasami mi towarzyszą, że obserwują mnie z tych swoich norek i zakamarków. Zresztą jestem pewien, że opowieści o skrzatach mieszkających pod grzybami, liśćmi i w wykrotach wzięły się stąd, że ktoś obserwował nornice.

Ale mój zachwyt nad tymi niewielkimi gryzoniami bierze się zupełnie z czegoś innego. Otóż jeżeli o jakichś zwierzętach mieszkających w puszczy można powiedzieć, że ciągle walczą o przetrwanie, to są nimi właśnie nornice. Myszy leśne, które też nie mają łatwo, potrafią odgryźć się przeciwnikowi albo zapolować na jakąś ofiarę. Bo choć mało ludzi o tym wie, to właśnie zupełnie niewinnie wyglądającym myszom często zdarza się wspiąć na drzewo, wejść do dziupli i oczyścić gniazdko sikory lub muchołówki z jaj lub piskląt.

Nornice takich rzeczy nie robią. Są stuprocentowymi ofiarami i muszą przeżyć w lesie, w którym wszyscy chcą je zjeść. Takie 20-30 g pożywnego mięska akurat jest w sam raz do przekąszenia dla włochatki, sóweczki, łasicy, kuny czy lisa. Jeżeli dziki znajdą gniazdo z młodymi, też je zjedzą.

Dla nornicy jedynym sposobem na uniknięcie zjedzenia jest ucieczka, i to niekoniecznie do norki, do której przecież taka łasica może spokojnie wejść. Dr Karol Zub z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży opowiadał mi o nornicach, które wdrapywały się, by uniknąć ataku łasicy, na liście paproci, na które za ciężka łasica już nie może wejść. Ale też mogą w ogóle nie uciekać. Naukowcy znają u nornikowatych zachowanie zwane „freezing”,

czyli dosłownie zamarzanie. Wtedy to nornica po prostu zamiera w bezruchu niczym bryłka lodu. Owszem, drapieżnik taki jak łasica czuje zapach, ale może jej nie zlokalizować, dopóki się nie poruszy, gdyż dla drapieżników w wielu wypadkach właśnie ruch jest sygnałem do ataku. Pomyślcie, jakie trzeba mieć stalowe nerwy, żeby tak zastygnąć, gdy obok myszkuje łasica, która zjada czasami nawet dwie nornice dziennie.

Nornice podziwiam też za to, że potrafią czekać wytrwale na coś w rodzaju cudu. A to jest związane z ich dietą i miejscem, w którym mieszkają.

Jeżeli już jedzą jakieś zwierzęce białko, to może być to jakiś mały bezkręgowiec. Czasami potrafią też przegryźć grzybka, ale to głównie w celu uzupełnienia wody. Ich główne menu składa się z roślin, i to zarówno części zielonych, jak i owoców oraz nasion. Problem w tym, że w miejscu, w którym mieszkają, jest bardzo trudno o jedzenie. Tylko takim olbrzymom jak my może się wydawać, że w puszczy jest pełno pokarmu roślinnego. Jeleń potrafi sięgnąć po liście najniższych drzew, takich jak graby lub leszczyny, ale nornica nie ma na to najmniejszych szans. Korony puszczańskich olbrzymów są tak gęste, że tylko minimalne ilości światła docierają na dno lasu. Dlatego roślin jest tam tyle, co kot napłakał. Miejsce, w którym mieszkają nornice, to tak naprawdę pustynia. Ale tak samo jak na biblijnej pustyni spadła w końcu manna, tak samo na dnie lasu po latach głodu nadchodzi czas obfitości. Co sześć-dziewięć lat dęby i graby zrzucają masę nasion.

Jak wynika z badań naukowców z Instytutu Biologii Ssaków PAN, na hektar może ich spaść nawet 5 t. Nareszcie można się najeść do syta, nareszcie wychować masę dzieci.

W latach głodowych na 1 ha mieszka zaledwie kilka nornic, po wysypie nasion może ich być nawet kilkaset. Szczęście trwa rok,

czasami dwa lata. A potem przychodzi krach. Na następny cud nornice będą musiały czekać kilkadziesiąt swoich pokoleń. W tym lesie pełnym niebezpieczeństw ich średnia długość życia nie przekracza trzech miesięcy.

DRZEWA OLBRZYMY

Marzyłem od dawna, by pójść z Tomkiem Niechodą do lasu. Tomek jest nauczycielem historii w jednej z lubelskich szkół, ale w lesie potrafi wytropić organizmy, z którymi słabo sobie radzę. Nie mam też za wielkiej wiedzy o nich – a powinienem, bo tu, w Puszczy Białowieskiej, wszystko od nich zależy.

Wielkie drzewa, bo o nich mowa, to przedmiot poszukiwania, tropienia i odkryć Tomka.

Fascynacja drzewami dopadła go, gdy był jeszcze dzieckiem. Rozwinęła się w Puszczy Białowieskiej, spod której pochodzi część jego rodziny. Przyjeżdża tu regularnie od kilkunastu lat w poszukiwaniu najwyższych i największych drzew. – Bo tu, a dokładnie w rezerwacie ścisłym Białowieskiego Parku Narodowego, jest ich największa koncentracja w Europie – wyjaśnia Tomek.

Wiem, co sobie teraz myślicie. Poszukiwanie wielkich drzew? Tropiciel drzew? Przecież to śmieszne. Znaleźć takie drzewo jest bajecznie łatwo. Jest największe i to widać od razu.

Pomyłka. Owszem, gdyby rosło na łące, może i tak. Ale wielkie, wysokie drzewa nie rosną na łąkach. One rosną w lesie. A puszcza jest gęsta jak nie wiem co. I jest zwykle gęsta dość wysoko, a nie przy samej ziemi. Walka o światło jest tu zażarta i każdy skrawek nieba jest zakryty.

Tomek prowadzi mnie przez las do wyszukanych przez siebie drzew. Wyszukanie ich nie było łatwe, bo to, co widać z dołu, to tylko mała część drzewa. Reszta ginie w zieloności niższych pobratymców. Tak naprawdę ich potęgę można by zobaczyć, wynosząc się ponad linię drzew. Bo nad nią górują wierzchołki olbrzymów. Ale nawet to nie dawałoby pełni obrazu. Przecież to tylko część giganta.

Żeby zdać sobie sprawę z tego, jak są wielkie, trzeba użyć wyobraźni. Jedna kondygnacja w budynku ma zwykle około 3 m wysokości. Będę wam podawał, ile które drzewo mierzy, a wy pomyślcie o budynku o podobnej wysokości i w wyobraźni ustawcie go w środku lasu.

Idziemy. Najpierw najpotężniejsza sosna. Obwód pnia: 360 cm, ale wysokość... uwaga – ponad 40 m. Może ze względu na ciekawy pień bym nie przeszedł obok. Potem świerk o wysokości 50 m i ciekawej podstawie. Potem on. Absolutny król wysokości, czyli świerk mierzący 52 m. O metr wyższy od – uważanej dotąd za najwyższą – jodły ze Świętokrzyskiego Parku Narodowego.

Powiem wam, że pień na dole jest tak niepozorny, że na pewno przeszedłbym obok. Tymczasem ma wysokość szesnastopiętrowego budynku!

– Jak to zmierzyłeś? – pytam Tomka. I okazuje się, że jest wiele metod. – Ja stosuję miernik laserowy – wyjaśnia Tomek. Przy czym to nie jest tak, że wystarczy sobie namierzyć wierzchołek i po sprawie. Nigdy do końca nie wiadomo, co może być wierzchołkiem i która część jest najwyżej. Z różnych perspektyw może to wyglądać różnie. Dlatego by mieć pewność, wykonuje się kilkanaście, a czasami kilkadziesiąt pomiarów.

Z Maćkiem jest inaczej niż z wysokimi świerkami. Maćka nie sposób przegapić. Najpotężniejszy dąb Białowieży rośnie w takiej gęstwinie, że koronę ledwo widać, ale pień z ponad 7 m obwodu robi wrażenie.

7 m to nie jest rekordowa grubość, bo dąb Napoleon miał ponad 10 m, podobnie dąb Chrobry i słynny Bartek – ale co z tego, że tamte są grube, skoro przy Maćku to niziołki.

Maciek ma 41 m wysokości. Chrobry jest o 13 m niższy, natomiast Bartek – aż o 17! – Białowieskie dęby nie są grubasami, za to są strzeliste jak nigdzie! – mówi Tomek i widać, że właśnie dęby z puszczy to jego szczególna miłość.

Tomek ma na nie określenie: „klasyczny dąb białowieski", który według niego musi mieć co najmniej 36 m wysokości, obwód – co najmniej 5,5 m, a pierwsze konary powinny zaczynać się

na wysokości 25 m. – One są jak kolumny. Śmiem twierdzić, że takich dębów nie ma nigdzie w Europie – dodaje. To możliwe, bo najwyższy pomierzony dąb Europy rośnie właśnie tutaj. Ma blisko 44 m wysokości!

Zastanawiacie się, ile takie drzewa mogą mieć lat? Kiedyś po puszczy krążyła legenda, że dąb Jagiełły, pod którym ten polski król jakoby odpoczywał, miał 800 lat. Gdy dąb się wywrócił, okazało się, że liczył nie więcej niż 500 lat i król w czasie polowania w 1409 r. nie mógł się schronić w jego cieniu – co najwyżej mógł na niego nadepnąć.

Maciek może mieć około 500 lat. Żeby się tego dowiedzieć, trzeba by go nawiercać, aby policzyć słoje, a tego nikt nie chce robić. Zresztą, czy 500 lat nie jest fascynującym wiekiem?

Maciek zaczął rosnąć na początku XVI w., a zakończy żywot za 100 lub 150 lat, gdy nikogo, kto czyta teraz ten tekst, nie będzie na świecie. Przy czym nawet martwy i wywrócony będzie trwał i trwał. Szacuje się, że rozkład zajmuje około jednej piątej tego, ile wynosił wiek w chwili śmierci. Czyli pięćsetletni dąb zniknie po stu latach, a przez ten czas będzie domem dla niezliczonych owadów, grzybów, mchów i porostów.

Cały ekosystem puszczy działa dzięki wielkim drzewom. To one produkują tysiące ton nasion. Same dęby w latach urodzaju, które przypadają raz na sześć-dziewięć lat, potrafią rzucić około 5 t żołędzi na hektar. Gdy dzieje się to w lesie, który na swoim dnie, osłoniętym od światła, jest bardzo ubogi w pożywienie, wybucha życie. Na potęgę rozmnażają się nornice i myszy, które są pokarmem łasic, kun oraz sów, w tym najmniejszej europejskiej sowy sóweczki.

Dziki i jelenie przybierają na wadze, a żubry rezygnują z wykładanego im siana. Takie lata urodzaju przeplatane latami

głodu są jak uderzenia serca pompującego krew w ekosystemie puszczy. Tym sercem są wielkie dęby. To serce bije dobrze tylko tam, gdzie puszcza jest chroniona – bo już tam, gdzie gospodaruje człowiek, ma się marnie.

Przede wszystkim dlatego, że wielkie drzewa mają szansę wyrosnąć tylko tam, gdzie działają wszystkie siły ewolucji. Gdzie muszą zmierzyć się ze szkodliwymi dla nich owadami i grzybami. Również tam, gdzie muszą bezwzględnie walczyć o światło.

Tam, gdzie my, ludzie, zajmujemy się lasem, nie ma o tym mowy. Zresztą my wielkim drzewom nawet nie dajemy do właściwych rozmiarów dorosnąć.

Wszystkie wielkie drzewa, które widzieliśmy w puszczy, rosną na terenie ściśle chronionym od 1918 r. Ten mały skrawek o powierzchni 50 km kw. został wywalczony przez przyrodników i utworzono na nim rezerwat, podczas gdy cała reszta puszczy została poddana trwającej do dziś wycince.

Tomek Niechoda na podstawie tego, ile dębów o obwodzie równym lub większym niż 4 m rośnie na terenie 50 km kw. rezerwatu, wyliczył, że w całej puszczy powinno ich być około 15 tys. Tymczasem jest ich góra 3 tys., z czego połowa – właśnie na terenie chronionym. – Oznacza to, że 80-90 proc. białowieskich dębów już wyrżnęliśmy, sto lat gospodarki leśnej dokonało prawdziwego spustoszenia. Im wcześniej skończymy z taką opieką puszczy, tym lepiej – mówi.

KOSMICZNE „ROBALE”

Czy są zwierzęta, które mogą przetrwać w przestrzeni kosmicznej, przeżyć gotowanie i nie zginąć w temperaturze bliskiej zera absolutnego? Są! To niesporczaki zwane też wodnymi niedźwiadkami.

Pierwszy zobaczył je prawdopodobnie Antonie van Leeuwenhoek, człowiek, który wynalazł mikroskop. W 1702 r. wydrapał nieco osadów z rynny własnego domu i dodał do nich wcześniej wysterylizowanej wody. Po dwóch dniach spojrzał na preparat i zobaczył niezwykłe stworzenia o ośmiu nogach. Ponad 70 lat później eksperyment powtórzył włoski naukowiec Lazzaro Spallanzani, który dziwnym stworom nadał nazwę il Tardigrado, czyli wolno kroczące.

Polska nazwa naukowa to „niesporczaki". Niektórzy nazywają je wodnymi niedźwiadkami lub prosiaczkami. Mają one osiem odnóży, ale przez to, że zaopatrzone są w pazurki, oraz przez pękaty kształt ta nazwa dobrze do nich pasuje. Podobnie jak Leeuwenhoek, żeby je zobaczyć, będziecie musieli się postarać o dobrą lupę lub mikroskop. Choć to zwierzęta składające się z kilkudziesięciu tysięcy komórek, największe z nich mają tylko nieco więcej niż milimetr.

– Na świecie żyje prawdopodobnie blisko 10 tys. gatunków niesporczaków, z czego naukowcy opisali około tysiąca – wyjaśnia mi dr Łukasz Kaczmarek z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, jeden z trzech polskich specjalistów zajmujących się niesporczakami.

Można je spotkać wszędzie. Generalnie są to stworzenia wodne, jednak do życia wystarcza im odrobina wilgoci. Są takie, które mieszkają na olbrzymich głębokościach i wytrzymują ciśnienie nawet 6 tys. atmosfer, oraz takie, które zamieszkują wysokie partie Himalajów.

Niektóre gatunki są roślinożerne (żywią się glonami), inne – drapieżne (polują na pierwotniaki, nicienie oraz inne niesporczaki). U niektórych można rozróżnić samca i samicę, u innych mamy same samice i dzieworództwo. Można też o niesporczakach powiedzieć, że są niezwykle starą grupą zwierząt, bo istnieją na Ziemi kilkaset

milionów lat, niektóre źródła twierdzą – że nawet pół miliarda. Najciekawsze jest to, że to prawdziwi twardziele. I to mnie w nich zachwyciło.

– Kiedy warunki są niesprzyjające, na przykład brakuje wody albo temperatura robi się zbyt niska lub zbyt wysoka, niesporczaki zapadają w stan anabiozy. Podkurczają nóżki i zamieniają się w coś w rodzaju beczułki, w której metabolizm jest sprowadzony do minimum. Taka beczułka może przetrwać przynajmniej kilkanaście lat, czekając na odpowiednie warunki – mówi dr Kaczmarek.

Podobno w pewnym muzeum odkryto niesporczaki, które na suchych mchach przetrwały około 120 lat.

Ale to nie wszystko. Naukowcy poddali niesporczakowe beczułki nie lada próbom. Zamrozili na kilka minut w temperaturze minus 272 st. C, czyli bliskiej absolutnego zera i niższej niż ta w kosmosie. Zostawili je na 20 dni w temperaturze minus 200 st. Inny gatunek zagotowali w wodzie w temperaturze 125 st. Jeszcze inny przyjął dawkę promieniowania wynoszącą 570 tys. radów (2 tys. może zabić człowieka). I wszystko to niesporczaki przetrwały!

Jest to o tyle ciekawe, że zwierzątka te posiadają organy całkiem przypominające te, które mają duże zwierzęta, w tym coś w rodzaju mózgu i całkiem skomplikowany układ nerwowy, rzeczy delikatne i trudne do zabezpieczenia. Nic więc dziwnego, że postanowiono je w końcu wysłać w kosmos. Tu było troszkę gorzej, bo działanie promieniowania kosmicznego przetrwały tylko niektóre osobniki. To i tak nie lada osiągnięcie, bo wodne niedźwiadki są jedynymi zwierzętami wielokomórkowymi, którym się to udało.

KOWALIK – TWARDZIEL Z GŁOWĄ W DÓŁ

W puszczy niemal wszędzie słychać stukanie. Delikatniejsze niż to dzięciole, trochę szybsze. To kowaliki rozkuwają nasiona lipy i świerka.

Mam wrażenie, jakby były wszędzie. Jak nie słychać ich stukania, to wysokie pikanie, co oznacza, że kowaliki się kłócą. Te

ptaszki o szarostalowym grzbiecie, rudo-białym brzuszku i czarnym pasku na oczach mają trochę opływowy kształt, jakby miejscem ich życia była woda, a nie drzewa.

Kowaliki świetnie się wspinają po ich pniach. Są w tym mistrzami i przy okazji nie lada twardzielami. Dlaczego?

Otóż wszystkie łażące w podobnych warunkach ptaki, czyli dzięcioły i pełzacze, w czasie wspinaczki korzystają z trzech punktów podparcia. Trzymają się dwiema łapkami kory, a z tyłu podpierają ogonem o niezwykle mocnych piórach. Tak jest stabilniej, ale ten sposób poruszania się ma jedną wadę. Można chodzić po pniu tylko do góry. Dlatego dzięcioły i pełzacze, gdy szukając owadów, dotrą na szczyt, przelatują na kolejne drzewo.

Kowalik ma krótki ogonek, którym nie może się podeprzeć, ale dzięki bardzo silnym łapkom może wspinać się głową do góry i... do dołu. Są one naprawdę niezwykle silne, a kowaliki bywają bohaterskie. Jakiś czas temu w ogrodzie zobaczyłem kowalika, który dziwnie się wspinał. Nie łaził po drzewach jak kowalik. Podlatywał do pnia i się do niego przyczepiał.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że jest niepełnosprawny. Ma tylko jedną łapkę. Niby nic takiego, w miastach żyje pełno okaleczonych gołębi, wróbli, które jakoś sobie radzą. Jednak ci, którzy wiedzą, na czym polega życie kowalika, rozumieją, co oznacza dla niego jedna łapka.

Gdybym nie zobaczył, jak radzi sobie mój kowalik, powiedziałbym, że taki z jedną łapką nie ma szans na przeżycie nawet paru dni. Tymczasem on świetnie daje sobie radę. Czepia się zdrową łapką i opiera raz o jedną, raz o drugą stronę brzucha. Musi to robić bardzo delikatnie, bo nie widziałem, by miał wygniecione pióra. Oczywiście nie może wędrować w górę i w dół pnia, ale nasionka lipy i grabu wtyka bez problemu w szpary kory i tam je

rozłupuje. Widziałem też, jak poluje na bezkręgowce. I to chyba z dobrym skutkiem, bo nie wyglądał na zagłodzonego. Gdy patrzę na niego z daleka, to wydaje się zupełnie zdrowy.

Widziałem już różne niepełnosprawne zwierzęta. Obok w lesie mieszka żubr, który stracił oko. Tomek Zwijacz-Kozica z Tatrzańskiego Parku Narodowego opowiadał mi o kozicy bez oka o której już wspominałem i która nie dość, że świetnie sobie radziła w skałach, to jeszcze wychowywała młode. Nawet w bezwzględnym świecie przyrody niepełnosprawność nie oznacza wyroku. W zwierzętach jest taka siła przetrwania i zdolność radzenia sobie nawet w najtrudniejszych sytuacjach, że gdy to widzę, nie mogę wyjść z podziwu.

Zwykle tego nie robię, ale postanowiłem kowalikowi pomóc. Może dlatego, że tak dzielnego zwierzaka w tak, wydawałoby się, beznadziejnej sytuacji nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać. Do karmnika, choć na to jeszcze za wcześnie, wysypałem trochę słonecznika, który kowaliki uwielbiają. Na razie jednak wyjadają go sikorki, a kowalik nawet się w karmniku nie pojawia. Widać woli radzić sobie sam.

Nazwa „kowalik" bierze się od nawyków żywieniowych tego ptaka. Karmi on swoje młode owadami, ale sam uwielbia też wszelkie nasiona. To podstawowy pokarm kowalików zimą. Nasionko jest wciskane w szparę w korze i rozkuwane, a potem wyjadane. Choć mnie taki system przypomina imadło, to niektórzy uważają, że bardziej zbliżony jest do kowadła i stąd nazwa.

Kowaliki magazynują nasiona. Przylatują do mojego karmnika, zabierają po kilka nasion słonecznika, a potem je chowają na gorsze czasy we wszystkich szparach łącznie z moim domem. To właśnie dzięki nasionom wszelkiego rodzaju mamy tej zimy tyle kowalików w puszczy. Zeszłoroczny urodzaj szyszek świerka i tegoroczny nasion

lipy spowodował, że kowaliki przeżyły ostatni rok w doskonałej kondycji.

Kowaliki są bardzo przywiązane do swoich niezbyt dużych, dwu-, trzyhektarowych, terytoriów.

– Kiedy ptak je zajmie na początku swojego dorosłego życia, pozostaje na nim aż do śmierci – wyjaśnia badający kowaliki w puszczy dr Patryk Rowiński z warszawskiej SGGW.

Kowalik gniazdo zakłada w dziupli. Jest to niezwykle wygodny rodzaj domu, ale ma jedną wadę – jest w nim wilgotno. By odizolować jaja od ścian, mieszkające w dziuplach ptaki umieszczają w niej warstwę chłonącą wilgoć. – W wypadku sikor są to suche mchy i porosty, muchołówki wyścielają dziuple liśćmi i trawą, a kowaliki – płatkami kory. Zebranie odpowiedniej ich ilości to wyzwanie. Pewien niemiecki naukowiec policzył płatki i okazało się, że może być ich nawet około 17 tys. w jednym gnieździe – mówi dr Rowiński.

Jednak bardziej charakterystyczną cechą dziupli kowalików jest otwór, który ptaki te potrafią przystosowywać do swoich rozmiarów. Chodzi oczywiście o to, żeby poza kowalikiem nie wcisnął się do niej żaden drapieżnik.

Z błota i odrobiny śliny kowaliki robią mieszankę, którą oblepiają otwór. W dawnych czasach krążyła wśród ornitologów opowieść o kowaliku, który zamurował tak w dziupli włochatkę, czyli niewielką sowę.

– Bzdura! On nie zalepia dziupli od razu. Taka „murarka" trwa niemal bez przerwy. Jak jest błoto, to kowaliki zaczynają oblepiać otwory już w lutym, ale trwa to w marcu i kwietniu. Włochatka miałaby dość czasu, żeby przepędzić kowalika – śmieje się dr Rowiński. – Jeżeli chcesz sensacyjnej informacji, to zdradzę ci,

że kowaliki w puszczy czasami zamiast błota używają do tego kupy żubra!

JEJ WYSOKOŚĆ MYSZ LEŚNA

To wbrew pozorom nie lada wojownik. Gdy trzeba, pożera nie tylko rośliny, lecz także owady, a nawet pisklęta. Pewnej zimy widziałem, jak zajadała się padliną.

Myszy leśne często goszczą w naszym domu. Zresztą gniazdo jednej z nich znaleźliśmy także pod maską samochodu. Byliśmy

naprawdę wkurzeni, bo wykorzystała do jego budowy osłonę maski, którą pocięła na drobne kawałki. No ale nic dziwnego – w pobliżu silnika jest przecież miło i ciepło.

W domu te gryzonie zachowują się podobnie zuchwale. Zwinięty na strychu kabel do kamer, które umożliwiają nam podglądanie zwierząt, został pozbawiony izolacji, a pokrywa stojącego pod zlewem kubła na śmieci – przegryziona.

Dla odróżnienia myszy polne czy zwykłe domowe, gdy nas odwiedzają, zachowują się dyskretnie. Jeżeli już biegają, to nocą, przy ścianach, pod szafami lub łóżkami. Natomiast mysz leśna potrafi wybiec na środek kuchni czy salonu, w którym właśnie oglądamy telewizję, bezczelnie na nas spojrzeć i nic sobie nie robiąc z naszej obecności, zebrać okruszki. Jest to więc mysz, która nie da sobie w kaszę dmuchać!

Oczywiście za te wszystkie straty nie karzemy „naszych" gryzoni najwyższym wymiarem kary. Nie trujemy ich, nie mamy kota i zabijających pułapek. W naszych pułapkach myszy nie giną. A przed deportacją dostają jeszcze kawałek marchewki i trochę ziaren słonecznika.

Jeżeli widzę, że na dnie pudełka jest coś malutkiego, z ciemnym prążkiem na grzbiecie, to wiem, że to mysz polna. Jeżeli widzę ważącego 40-60 g olbrzyma o wielkich uszach i wyłupiastych ślepiach, który wypełnia całą przestrzeń, to wiem, że złapała się leśna. Myszy polne oczywiście lądują na łące, z leśnymi wybieram się do lasu.

Te pierwsze zawsze, jak przystało na myszy, zwiewają do jakiejś dziury. Natomiast leśne miewają inne pomysły. Zdarza się, że po otwarciu pułapki niczym błyskawica pędzą w kierunku najbliższego drzewa. I wbiegają na nie, jakby leżało na ziemi.

Naprawdę nie znam innego ssaka, który poruszałby się tak szybko po pionowych powierzchniach.

Wypuszczone przeze mnie gryzonie wchodziły przynajmniej na 10 m, może czasami wyżej, a potem niknęły z oczu. Oczywiście pomagał im stres. Ale może potrafią wchodzić wyżej i w innym celu?

Dr Karol Zub z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży odnalazł publikację z lat 60., która opowiada o przygodach meteorologów robiących badania w puszczy. Otóż umieszczali oni w koronach drzew instrumenty służące do pomiaru wilgotności powietrza. Coś je jednak nieustannie niszczyło. Zeźleni badacze podejrzewali ptaki, wiewiórki oraz popielicowate, czyli przypominające wiewiórki gryzonie, które żyją właśnie wysoko w koronach drzew. Gdy wraz z nastaniem jesieni działania tajemniczego wandala się nasiliły, meteorolodzy mieli dość i umieścili na drzewach pułapki.

Na wysokości ponad 23 m, czyli najwyżej, złapała się właśnie mysz leśna. Zresztą zdaniem naukowców to nie kres możliwości tego gryzonia i zapewne może on wejść nawet na 50 m, czyli na czubki białowieskich drzew. A te należą do najwyższych w Polsce i jednych z najwyższych w Europie.

GRUDZIEŃ

PTAK NA KONIEC ŚWIATA

Koniec świata miał przyjść w grudniu 2012 r. Nie przyszedł, ale wszyscy się zastanawiali, kto go przetrwa. Wiadomo, że koniec świata przetrwają jakieś małe organizmy. Może wśród nich będą niesporczaki, o których pisałem niedawno i które jako jedyne

zwierzęta mają za sobą lot w kosmos i udany powrót na Ziemię. Nie zmogło ich promieniowanie kosmiczne ani przenikliwe zimno.

Nie dał im też rady wrzątek, w którym kąpali je uczeni. Niektórzy twierdzą, że niesporczaki przeżyją nawet karaluchy. A karaluchy, co każdy wie, bardzo trudno wytępić. Żyją na naszej planecie już od kilkuset milionów lat i niejedno widziały.

No a co ze ssakami? Każdy odpowie, że przetrwają szczury, bo raz, że ich też trudno się pozbyć, a dwa, że to bardzo czujne i mądre zwierzęta.

Zastanówmy się teraz, jak poradzą sobie z końcem świata ptaki. Wszystko zależy od tego, na czym taki koniec świata miałby polegać. Moim zdaniem prawdziwe zagrożenie to zmiany klimatyczne.

Zarówno określenie „zmiany klimatyczne", jak i „globalne ocieplenie" są dość mylące, gdyż sugerują, że czekające nas zmiany będą następować powoli. Nic z tych rzeczy! Wiemy, że klimat potrafi się wahnąć gwałtownie, i to w niezbyt miły sposób. Dlatego wielu specjalistów coraz częściej mówi, że czeka nas nie zmiana, ale klimatyczna huśtawka albo wręcz wariactwo. Czyli będzie to czas skoków temperatury, susz i powodzi, huraganów i sztormów.

Jakie ptaki mogą sobie z tym poradzić? Może krukowate? Jedzą wszystko i są bardzo sprytne.

Poza nimi przychodzi mi do głowy jeszcze jeden możliwy twardziel – mewa. Mewy kojarzą mi się z końcem świata dlatego, że zapamiętałem widok ich kolonii na opuszczonych domach w pewnym rosyjskim mieście w Arktyce. Poza tym mewy zamieszkują całą Ziemię. Spotkacie je i w Arktyce, i na wybrzeżach Antarktydy. Tam, gdzie jest zimno, i tam, gdzie potwornie gorąco. Sztormy i wichury to ich żywioł. Ich wąskie i nieco załamane skrzydła są idealne do latania w bardzo złych warunkach.

– To dlatego mewy tak dobrze czują się w miastach. Między wysokimi budynkami są silne prądy powietrzne – opowiada znawca ptaków morskich dr Szymon Bzoma.

Mewy podobnie jak krukowate są wszystkożerne. Połkną rybę, kawał bułki, pisklaka lub jajko. Gdy zjedzą coś niestrawnego, to bez problemu pozbędą się tego, zwracając w formie wypluwki. Dlatego to właśnie śmieszki lub o wiele większe mewy srebrzyste królują na wysypiskach śmieci.

Jednak zdobywanie przez mewy pokarmu nie ogranicza się tylko do zbierania lub oczekiwania na to, że ktoś im coś rzuci. One potrafią też nieźle kombinować. W internecie krąży masa filmików pokazujących mewy okradające turystów z lodów, gofrów lub wręcz bezczelnie wchodzące do sklepów, by coś zwędzić z półki.

– Kiedyś widziałem, jak mewa wpędzała gołębie pod jadące samochody. Bo sama nie potrafiła ich zabić – opowiada dr Bzoma. – Nie tak dawno, gdy zalało plac św. Marka w Wenecji, mewy skorzystały z okazji i zaczęły gołębie topić.

Mewy potrafią też pić słoną wodę morską. Mają bowiem gruczoły przypominające nowoczesną instalację odsalającą.

Nic dziwnego, że już dziś, nie czekając na koniec świata, świetnie dają sobie radę. Zajmują nasze miasta, plądrują wysypiska.

No i tu właśnie jest problem z pisaniem o końcu świata i zwierzętach, które go przetrwają albo nie. Bardzo często uważamy, że największymi twardzielami są te gatunki, z którymi nie potrafimy dać sobie rady, lub te, które korzystają na zmianach przez nas wprowadzanych. To dlatego do głowy przychodzą nam szczury i karaluchy, a mnie przyszły mewy. Ale to może być błąd. Bo koniec świata będzie polegać na tym, że jeśli zniknie człowiek, to wraz z nim znikną jego śmieci, które pomogły osiągnąć sukces tym gatunkom.

A kto przetrwa? Może się okazać, że akurat nie gatunek najlepiej przystosowany do kataklizmów, tylko taki, który miał po prostu dużo szczęścia.

DZIĘCIOŁ SIŁACZ

Nie miałem wątpliwości, że w naszym ogródku stuka jakiś dzięcioł. Jednak nie było to typowe walenie w drzewo zwane kuciem, kiedy to dzięcioł wydłubuje spod kory larwy owadów. Nie było to bębnienie, gdy dzięcioł gdzieś w lesie wali jak oszalały w pień, a w miastach w blaszane latarnie, po to by być lepiej

słyszanym i w ten sposób dać znać konkurentom, że terytorium jest zajęte. Dopiero gdy udało mi się zlokalizować źródło dźwięku, zrozumiałem, dlaczego pukanie wydawało mi się dziwne i jednocześnie znajome.

Otóż na naszej gruszce ze złamanym czubkiem siedział sobie dzięcioł duży, który wetknął w szpary kikuta szyszkę i ją rozbijał, po czym wyłuskiwał z niej nasiona. Widok i dźwięk dość powszechny w lesie, gdzie dzięcioły zrywają szyszki i wtykają je w swoje kowadła. Tymi kowadłami są najczęściej szpary w korze wiekowych dębów. Czasami taki dąb z powtykanymi na różnych wysokościach szyszkami w ilościach olbrzymich wygląda, jakby była to robota jakiegoś szaleńca. Tymczasem nie ma w tym nic szalonego. Dzięcioł po prostu nie może inaczej dobrać się do nasion i musi najpierw szyszki jakoś unieruchomić. Wtyka więc je w szpary. – Taką szparę, czyli tzw. kowadło, może sobie nawet przygotować, delikatnie rozkuwając, żeby łatwiej wetknąć szyszkę – wyjaśnia zajmujący się tym gatunkiem Tomasz Stański z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach. Ile takich kowadeł może mieć jeden dzięcioł? Nawet kilkadziesiąt. Ale kilka zwykle jest bardziej lubianych i częściej używanych. Nasiona wyciągnięte z szyszek świerków lub sosen to podstawowy zimowy pokarm tego gatunku, ale nie jedyny. Dzięcioł lubi padlinę i często widuję go w lesie na resztkach zabitych przez wilki jeleni, skubie sobie też słoninę, którą wieszamy dla sikorek.

Zresztą ten gatunek jest niezwykle wszechstronny, jeśli chodzi o pokarm. Potrafi wykuwać owady spod kory i z drewna, potrafi je zbierać z liści i z ziemi. Może wyciągnąć z dziupli lub rozkutej budki lęgowej pisklę sikory lub muchołówki i je pożreć. Zresztą wydaje mi się, że uderzenia jego dzioba należą do najmocniejszych i może się chyba z nim równać tylko o wiele większy dzięcioł czarny. To

właśnie te dzięcioły rozwalają elewacje domów, szczególnie gdy pod tynkiem znajduje się styropian, co może im przypominać rezonans, jaki daje wypróchniałe drzewo.

Wróćmy jednak do szyszek i wydłubywania nasion. Otóż jak wynika z badań naukowców z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz Uniwersytetu Wyoming, dzięcioły nie wybierają byle jakich szyszek. Mają swoje preferencje, które związane są zapewne z tym, jakie szyszki najłatwiej umieścić w kowadle i wydłubać z nich nasiona. Unikają szyszek najdłuższych oraz tych, które tak jak w wypadku szyszek sosnowych mają największe i najsilniejsze tarczki zamykające dostęp do nasion. Takie dobieranie szyszek i oszczędzanie energii ma sens, bo samo ich zrywanie z sosen, a tym bardziej ze świerków, które mają szyszki większe i cięższe, i przenoszenie do kowadeł to nie lada wysiłek. Choć z początku myślałem, że dzięcioł z mojego ogródka obrabiał w kowadle na gruszy tylko jedną szyszkę, to po stopieniu się śniegu okazało się, że pod drzewem tych już objedzonych leży około 30. Naukowcy oceniają, że dziennie może obstukać właśnie od 30 do 50 szyszek. Po zerwaniu musi z taką szyszką przelecieć do kowadła. To czasami dystans kilku, ale znacznie częściej kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu metrów. Nigdzie nie mogę znaleźć danych, ile waży szyszka świerkowa, ale zdaniem moich przyjaciół leśników świeża waży około 40 g, czyli około połowy tego co ważący 80-90 g dzięcioł duży. To dopiero pokazuje, jaki z niego siłacz. Według mnie żaden orzeł porywający młode kozice czy sarny nie nadźwiga się tyle, unosząc swoje ofiary, co właśnie dzięcioł duży noszący szyszki do kowadła.

JAK PRZYWOŁAŁEM WILKI

Takiej przygody na pierwszej wycieczce narciarskiej się nie spodziewałem.

Szybko minąłem stojące na łące przy stogu siana żubry i znalazłem się w lesie. Ruszyłem żubrzym tropem. Gdy dotarłem do leśnej drogi, gdzie samochody ubiły śnieg, mogłem się skupić

wyłącznie na rozglądaniu się po okolicy. Patrzyłem na tropy jeleni, dzików, żubrów i lisów. Nagle hen daleko na końcu drogi coś się poruszyło. „To na pewno dziki – uwielbiają ryć przy takich drogach" – tak myśląc, jechałem w kierunku sylwetek. Z każdym szusem czułem jednak, że coś tu jest nie tak. Te dziki poruszały się jakoś tak niedziczo. W lesie często tak jest. Jeszcze nie widzisz zwierzęcia dokładnie, nic nie możesz powiedzieć o jego wielkości i sylwetce, ale dużo po sposobie poruszania się. Dziki nie przebiegałyby co sekunda z jednej strony drogi na drugą – powinny się zatrzymać na chwilkę, by poryć. Te zwierzęta nie ryły. „Kurczę, coś wielkości dzika, ruchliwe i idą w grupie. Na pewno nie jelenie, a tym bardziej żubry" – zbierałem myśli. W końcu do mnie dotarło: „To są wilki!!!".

Pobiłem rekord świata w zdejmowaniu plecaka i ustawianiu aparatu na statywie. Niestety, wilki ruszyły w przeciwnym kierunku. Pogoń za nimi nie miała sensu. Był tylko jeden sposób na to, by zawróciły. Po prostu zawyłem.

Widziałem, jak obracają się w moją stronę. Ekstra!!! To niesamowite uczucie, gdy sześć pięknych wilków gna prosto w twoim kierunku. Sześć to typowa białowieska wataha. Tylu wilkom łatwo upolować jelenia, a mięsa starczy dla każdego. Tam, gdzie ofiary są większe, na przykład łosie, watahy są liczniejsze.

Wilki były coraz bliżej i wyraźnie można było odróżnić szerokie pyski starych od delikatniejszych pyszczków młodych. Czy się bałem? Otóż nie. Zdrowe wilki, nieskrzyżowane z psami, nie atakują ludzi. A mieszańce zdarzają się tam, gdzie zwierzęta te się tępi. Po rozbiciu watahy wilki szybko zaprzyjaźniają się z psami. Gdy wataha jest nieruszona, jej członkowie prędzej zjedzą psa, niż się z nim zwiążą.

Poza tym nie pierwszy raz udało mi się wyciem przywabić wilki. Za to pierwszy raz miałem aparat gotowy do robienia zdjęć.

Wiedziałem, że jeżeli chcę je blisko przywabić, nie mogę dać im sekundy na przemyślenie sytuacji, zastanowienie się, czym jest skulony kształt na drodze przed nimi. Nie mogę im pozwolić na zatrzymanie się i powęszenie. Dlatego gdy przystawały, wyłem, a one znów ruszały biegiem. W końcu, gdy dzieliło nas około 70 m, wilki chyba poczuły, że coś tu śmierdzi człowiekiem, i z drogi weszły do lasu.

Dalej byłem skulony, nie mogłem wykonać za wielu ruchów – znałem ich plan. Teraz wilczym zwyczajem obejdą mnie i pojawią się znacznie bliżej z innej strony. Takiej, która pozwoli im się przyjrzeć i dobrze mnie poczuć. Obróciłem aparat. Znów zobaczyłem szare grzbiety. Bliżej, ale schowane za pniami i gałązkami. Z jednej strony bały się podejść, z drugiej – ciekawość pchała je do przodu. Jeden zaskomlał. Ja też tak zrobiłem. To je trochę poruszyło i nieco się zbliżyły. Ale wtedy już się zorientowały, kim jestem. Popatrzyły jeszcze na mnie sekundę i najpierw stare, a potem młode, ruszyły powoli w las. Odeszły cichutko, jak duchy. Nasze spotkanie trwało około 10 min.

Wiem, że wielu czytelników chciałoby się teraz dowiedzieć, na czym polega trik. Jak wyć, by przywabić wilki, bo nie każde wycie jest dobre. Nie mogę tego zdradzić. Wilki w Polsce są pod ochroną, nie mamy ich dużo, może 600-800, w puszczy może 20–30. Niestety, są tacy, co dybią na ich życie. Wiem, że wilki są zabijane w wielu miejscach. Bezkarnie, bez sensu, dla głupiej przyjemności. Niewiele dziś z tym możemy zrobić, więc przynajmniej wolałbym tego nie ułatwiać.

NIEGŁUPIE TE SÓWECZKI

Są moim oczkiem w głowie. Od lat się nimi interesuję, świetnie wiem, co te najmniejsze sowy europejskie robią wiosną, latem i jesienią, ale ich zimowe życie było dotąd dla mnie zagadką.

Owszem, przypuszczałem, że toczą zażartą walkę o przetrwanie, próbują sobie jakoś radzić z mrozem i ze śniegiem. Wiedziałem,

że nie mają łatwo, bo sóweczka z samej swojej natury nie pasuje do zimy. Jest mała, waży tylko 60 g, wielkością przypomina szpaka. A jak jesteś małym zwierzakiem, to szybciej się wychładzasz. Żeby nie zamarznąć, musisz oczywiście jeść, ale o tej porze roku trudno zapełnić żołądek. Po pierwsze, dzień jest krótki, a sóweczki, choć to sowy, słabo widzą w ciemnościach, więc późną jesienią oraz zimą mają naprawdę mało czasu na polowanie.

Kolejnym problemem jest śnieg, który znakomicie chroni główne ofiary sóweczki nornice – to m.in. od grubości pokrywy śnieżnej zależy, ile z nich przetrwa zimę. Nornica rzadko wyściubia nosek spod śnieżnej pokrywy. Niektóre sowy potrafią zlokalizować gryzonia nawet pod śniegiem i sprawnie go chwycić, na przykład znakomicie robi to puszczyk mszarny. Ale on ma asymetryczne uszy, które pozwalają mu wychwytywać dźwięki w różnych płaszczyznach i lokalizować obiekt ataku niemal wyłącznie na słuch.

Tymczasem uszy sóweczek są symetryczne i ptaszki te, tropiąc ofiarę, muszą polegać głównie na wzroku. Poza tym lekka sóweczka, uderzając z powietrza, nie przebije grubej warstwy śnieżnej i nie dosięgnie ukrywającego się pod nią gryzonia. Co prawda sóweczki mogą polować jeszcze na ptaki, ale tych w zimowym lesie jest o wiele mniej niż wiosną.

Jak więc sobie radzą te sympatyczne ptaszki? Byłem przekonany, że raczej marnie i głód zbiera wśród nich olbrzymie śmiertelne żniwo. Przecież żeby poradzić sobie w takich warunkach i z takimi wyzwaniami, trzeba być zapobiegliwym i mądrym. A sóweczki, których większość mózgoczaszki zajmują oczy, wbrew ludzkim mitom o ich inteligencji wcale zbyt bystre nie są.

Okazuje się, że się myliłem. Sóweczki jak najbardziej są przewidujące. Dowodzą tego badania skandynawskich naukowców, na które niedawno natrafiłem. Otóż sóweczki polują zawsze, gdy

nadarzy się okazja – nie bacząc na to, że są drapieżnikami i powinny polować tylko wtedy, gdy są głodne. Naukowcy już od dawna wiedzieli, że zabijają one w ciągu dnia znacznie więcej, niż mogą zjeść. To zrozumiałe, jeśli wychowują młode, ale okazuje się, że one tak robią stale. Jesienią, tuż przed pojawieniem się śniegu i gdy tylko temperatura spadnie nieco poniżej zera, sóweczki wciąż polują, ile wlezie, a swoje ofiary chowają w miejscu, które moglibyśmy nazwać spiżarnią. Gdy zrobi się naprawdę zimno, spiżarnia zamienia się w zamrażarkę. To zwykle dziuple, a w Skandynawii – budki lęgowe.

Właśnie dzięki temu, że norweskie i fińskie sóweczki często trzymają zapasy w budkach, do których łatwo zajrzeć, naukowcom udało się podejrzeć, co tam chowają. Wyniki były dość zaskakujące. Jedna sóweczka może mieć kilka takich spiżarni, w nich upchanych nawet po 90 ofiar. Rekordzistka miała ponad 200 w jednej tylko budce!

Gdy więc napada naprawdę dużo śniegu i ciężko jest polować, sóweczki zjadają zapasy. Ofiary są przy tym odpowiednio ułożone – prawowity właściciel szybko się orientuje, czy ktoś mu nie podkrada jedzenia. Naukowcy zauważyli, że sóweczki przenoszą pożywienie w bezpieczne miejsce, gdy podejrzewają, że ktoś chce im je podwędzić.

Pozostała jeszcze jedna zagadka: wciąż nie byłem sobie w stanie wyobrazić, w jaki sposób sóweczki, które są dość delikatne, dobierają się do zamarzniętych na kość gryzoni. W literaturze niczego nie wyszperałem, ale znawca tych sów dr Romuald Mikusek wszystko mi wyjaśnił: – Oprócz spiżarni mają też specjalne miejsca do rozmrażania ofiar. Wyjmują nornicę, przelatują do pustej budki lub dziupli, ogrzewają jedzenie własnym ciałem, a potem zabierają się do uczty.

STYCZEŃ

WKURZONY JAK MAZUREK

Do mojego karmnika przylatują różni goście. Sikorki: bogatki, ubogie, sosnówki, modre. Żółto-zielonkawe dzwońce i żółto-rude trznadle. Grubodzioby, co wyglądają jak egzotyczni przybysze. Jery, które przylatują z Rosji i ze Skandynawii. Są też dzięcioły – średni

z czerwoną czapeczką i zielonosiwy. Ale najbardziej lubię patrzyć na najpospolitsze wróble i mazurki.

Właściwie to nie wiem, dlaczego mazurki trzymają z wróblami. Choć blisko spokrewnione, różnią się bardzo. Wróble łatwo poznać. Samiczka szara, pan wróbel ma więcej brązów, a pod dziobkiem czarny krawat. Im bardziej ten krawat czarny, tym pan wróbel bardziej dominujący i łatwiej wdający się w bójki.

A u mazurków pełna równość. Każda płeć ma swój czarny krawacik. I pan, i pani „noszą" brązową czapeczkę i śmieszne plamki na policzkach. Nie sposób odróżnić, kto jest kto. Mało tego, mazurki, zupełnie inaczej niż wróble, są bardzo pokojowe. Nie wszczynają awantur i – słowo daję – nigdy nie widziałem, żeby się tłukły, co u wróbli jest nagminne.

Mazurki przypominają nieco hipisów. Nie chodzi tylko o to, że zimą łączą się w całkiem pokaźne stada, często zresztą mieszane z wróblami. One tworzą coś w rodzaju komun. Już na jesieni znajdują sobie przytulny kąt. U nas w ogrodzie są to albo budki lęgowe, albo ulepione pod okapem gniazda jaskółek, których prawowici właściciele przebywają już w ciepłych krajach. Mazurki przejmują takie opuszczone domostwa i przygotowują je do zbliżającej się zimy. Znoszą do nich wszystko, co suche i ciepłe. Trawki, liście, no i oczywiście wszelakie piórka. I tu uwaga – w jednej budce nie śpi wyłącznie parka, ale nawet kilkanaście mazurków! Wróble nigdy by nie wytrzymały w takim ścisku i na pewno doszłoby do awantury. Mazurki zaś są tolerancyjne.

A przy tym tak niepozorne. W kalendarzach przyrodniczych, także w tym wydawanym przez „Gazetę", są zawsze wilki, niedźwiedzie, żubry, czyli wielkie, efektowne i rzadkie zwierzęta. Ale to, co napędza naszą planetę, co jest podstawą ekosystemów, to gatunki pospolite. To one sprawiają, że materia krąży i cała machina

przyrody działa. Ale ponieważ te duże i rzadkie bardziej się rzucają w oczy, to tych małych i pospolitych często nie zauważamy. A to błąd! Najgroźniejsze jest wymieranie właśnie gatunków pospolitych.

Mazurek nadaje się świetnie na symbol licznego i – niestety – zagrożonego gatunku. U nas się trzyma, ale w Wielkiej Brytanii jego populacja spadła o 95 proc. Dlaczego? Zapewne przez zmiany w środowisku, niezbyt nawet spektakularne, na przykład intensyfikację rolnictwa, znikanie chwastów, owadów i odpowiednich kryjówek.

I kolejny powód, dla którego uwielbiam mazurki. Być może to złudzenie, być może tylko sobie wmawiam, ale one potrafią stroić różne miny. Że niby robienie min to tylko u ssaków, i do tego naczelnych? Nieprawda. Często przyglądam się mazurkom i widzę, gdy są zafrasowane i zamyślone, gdy coś kombinują, kiedy jest im dobrze i wesoło, kiedy są obrażone.

Co do miny tego, który jest w kalendarzu, nie można mieć wątpliwości. Ten mazurek jest po prostu wkurzony! A to dlatego, że podszedłem do karmnika i przerwałem mu posiłek. Musiał odlecieć na płot, z którego potem patrzył na mnie z wyrzutem.

No cóż, trudno się dziwić.

Wszystkim życzę, żeby w nowym roku jak najmniej się wkurzali, a jeśli już, to żeby im zaraz przechodziło.

MĄDRY JELEŃ NIE BIEGA?

Jak co roku przecieram oczy ze zdumienia. Codziennie na podwórku państwa Wiącków mieszkających w leśniczówce obok Teremisek odbywa się ten sam spektakl. Gdy z wybiegu zejdą konie, natychmiast pojawiają się na nim jelenie.

I to nie tylko łanie z cielakami, lecz także byki o wspaniałych porożach. Można odnieść wrażenie, że są zupełnie oswojone. Gdy pan Darek Wiącek zawoła: „Bysiu, bysiu!", i pojawi się przy stajni z wiaderkiem zboża, z krzaków wychodzą byki o wieńcach, o jakich marzy każdy białowieski myśliwy. Idą z wyciągniętymi pyskami, jakby nie były dzikimi jeleniami, tylko maskotkami.

Te dzikie jelenie nie uznały jednak, że człowiek przestał być dla nich zagrożeniem. Owszem, do smakołyków wysypywanych pod leśniczówką przychodzą chętnie, ale do tych pod niedaleką myśliwską amboną jakoś już nie. Tolerują tylko ludzi podchodzących z Darkiem Wiąckiem od strony leśniczówki, jakby były w zoo.

Mała zmiana w otoczeniu powoduje, że natychmiast znikają. Gdy tylko przy pobliskiej drodze pojawili się robotnicy wycinający zakrzaczenia, jelenie natychmiast przestały się pojawiać. O podejściu ich od strony lasu nawet nie ma co marzyć. Trzask złamanej gałązki, chrzęst śniegu powodują, że natychmiast zwiewają.

Pytanie tylko, czy ucieczka jest dla jeleni najlepszą strategią, by ocalić życie. Owszem, działa znakomicie, gdy chcą uniknąć ataku wilków czy rysia. Działała, gdy człowiek był uzbrojony w łuk czy dzidę i żeby zabić, musiał naprawdę blisko podejść. Ale czy taka strategia jest opłacalna, gdy „drapieżnikiem" jest myśliwy uzbrojony w sztucer z lunetą?

Naukowcy z Kanady i Irlandii postanowili sprawdzić, które z jeleni wapiti żyjących w kanadyjskiej prowincji Alberta przeżywają sezon polowań. Zaopatrzyli je w obroże z odbiornikami GPS.

Okazało się, że jelenie mają różne osobowości. Wśród byków są takie, które lubią biegać i penetrować okolicę. Te naukowcy nazwali biegaczami. Ale są też byki dość skryte, które mało biegają i raczej

unikają terenów otwartych. Z kolei łanie lubią pobiegać tylko wtedy, kiedy są młode. Te starsze tracą zapał.

Które jelenie są łatwiejszym celem dla dzisiejszych myśliwych – ruchliwe czy te spokojniejsze?

Strategia polegająca na udawaniu, że „mnie nie ma", ma mały sens w starciu z rysiem czy wilkami, bo te drapieżniki wykorzystują w polowaniu węch. Okazuje się jednak skuteczna w obronie przed człowiekiem ze sztucerem. Bo myśliwy musi zobaczyć jelenia, żeby go zabić. Dla niego łatwiejszym celem są więc zwierzęta ruchliwe. Ucieczka przed kulą jest w końcu trudna.

Dlatego to właśnie biegacze i młode łanie najczęściej giną od kul. Sezon polowań największe szanse mają przetrwać te zwierzęta, które są ciche i jak najmniej się ruszają.

Czyżby w wypadku jeleni sprawdzało się stare rosyjskie powiedzonko: „Tisze jediesz, dalsze budiesz"? Niekoniecznie. Naukowcy konkludują, że bardzo silna presja ze strony myśliwych na zmianę zachowania tych zwierząt nie musi być dla nich korzystna. Przede wszystkim nie ma nic wspólnego z naturalną selekcją i może się dla jeleni okazać zgubna, gdy znów będą musiały stawić czoło innym drapieżnikom, przed którymi jak najbardziej opłaca się uciekać ile sił w nogach.

ZWIERZAKI NA SANKACH

Wiele zachowań zwierząt potrafię racjonalnie wytłumaczyć, ale dlaczego niektóre zwierzęta cieszą się ze śniegu i bawią się w nim?

Nareszcie mam go tyle, że jazda na nartach śladowych to czysta przyjemność. A na dodatek silny mróz ułatwia podchodzenie zwierząt. Nie tylko dlatego, że można je łatwo wytropić. Przede

wszystkim zwierzaki nie uciekają, bo muszą oszczędzać energię. Dotyczy to zarówno małych ptaków, takich jak sikorki czy kowaliki, jak i polujących na nie drapieżników, jak krogulce czy sóweczki, a także zwierząt całkiem dużych – jeleni, żubrów czy dzików. Te ostatnie muszą do pokarmu przebijać się przez śnieg i zmarzniętą glebę. Na dodatek niezbyt daleko mogą w tym śniegu łazić, bo na krótkich nóżkach musiałyby się naprawdę męczyć. Nawet dla żubrów, które są dokarmiane i – wydawałoby się – żadna zima im niestraszna, to czas sprawdzianu kondycji. Właśnie zimą te olbrzymy najczęściej padają.

Po świeżym opadzie śniegu – w lesie cisza. Wszystko zastygło w bezruchu. Dopiero po wielu godzinach pojawiły się pierwsze nieśmiałe tropy.

Czy zwierzęta z tego śniegu korzystają? Wilkom łatwiej jest polować, szczególnie wtedy, gdy śnieg z wierzchu zamarznie. Jelenie się w nim zapadają, a wilki nie. W grubej pokrywie coś w rodzaju jamki mogą zrobić sobie kuraki. Cietrzewiom takie igloo pozwala przetrwać mrozy. Śnieg chroni też gryzonie, ale tylko gdy buszują pod nim. Na powierzchni są widoczne jak na dłoni.

Poza tymi przykładami nie potrafię wskazać zwierzaka, któremu śnieg przynosiłby jakieś korzyści. Widywałem za to zwierzęta, które ze śniegu się cieszą. Właściciele psów wiedzą, o czym mówię.

Wydry potrafią saneczkować na brzuchu. Na niektórych brzegach rzek widuję oblodzone zjeżdżalnie, z których wydry się ześlizgują.

Zjeżdżanie to też ulubiona zabawa kozic. Opowiadał mi o tym dr Tomasz Zwijacz-Kozica z Tatrzańskiego Parku Narodowego: – Niektóre potrafią podbiegać pod górę tylko po to, by zjechać na zadzie. Czasami nawet dziesięć razy!

Po tropach można poznać harce rysi, wilków lub lisów, co da się jednak wytłumaczyć ich porą godową przypadającą właśnie

na zimę.

Godami nie da się jednak wyjaśnić czegoś, co widziałem wiele lat temu. Obserwowałem kruki przy padlinie, które w pewnym momencie przeniosły się na pobliską górkę. Tam jeden z nich przewrócił się na plecy i z nogami wyciągniętymi do góry zjechał na dół. Potem to powtórzył, a za nim jego towarzysz. Gębę miałem otwartą, bo kruki wyraźnie miały radochę ze śniegu.

Może ze zwierzętami jest jak z ludźmi? Śnieg to problemy, ale mimo to nic tak nie cieszy jak świat przykryty białym puchem.

I cóż, że to radość zupełnie irracjonalna.

NIEBIESKA CZAPECZKA, ŻÓŁTY DZIÓB

Zima jeszcze trzyma i w karmniku się po prostu kłębi. Przylatują niepozornie ubarwione mazurki, kolorowe gile i czarne jak węgiel kosy z pomarańczowymi dziobami.

Do tego dzięcioły zielonosiwe, u których samce poza kolorami, od których bierze się ich nazwa, mają też intensywnie czerwoną

czapeczkę. Na białym śniegu jest kolorowo, że aż kręci się w głowie. Być może barw jest więcej, tylko ja po prostu tego nie widzę.

Ludzie sądzą, że nikt nie widzi świata tak doskonale jak my. Szczególnie jeśli chodzi o kolory. Wiemy, że większość ssaków, w tym towarzyszące nam psy i koty, postrzega mniej barw, i jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić. To tak, jakbyśmy patrzyli w ekran, w którym jest wyświetlany czarno-biały obraz albo taki, w którym kolory zostały przygaszone.

Ale jak sobie wyobrazić, że ktoś widzi kolory lepiej od nas? To jest bardzo trudne, więc przyjmijmy do wiadomości, że tak jest. Świat widziany przez ptaki jest bardziej kolorowy. Świadczy o tym budowa ich oka.

Podobnie jak w ludzkim narządzie za kolorowe widzenie odpowiedzialne są czopki, czyli receptory reagujące na określone rodzaje światła. Oko ma trzy rodzaje czopków: reagujące na światło czerwone, zielone i niebieskie. U dużej części ptaków, szczególnie dziennych, dochodzi jeszcze jeden – odpowiedzialny za widzenie światła ultrafioletowego. Jakby tego było mało, czopki ptasie mają kropelkę specjalnego oleju, który działa jak filtr w aparacie. Po co ptakom takie możliwości widzenia świata?

Choćby po to, żeby ocenić kondycję partnera lub potencjalnego przeciwnika. Chyba najlepiej przebadane pod tym kątem są modraszki. O ich rozpustnym zachowaniu przeczytacie kilka słów w kolejnym rozdziale. Te małe sikorki mają żółte brzuszki i piersi, niebieskie pióra ogona i lotki w skrzydłach oraz bardzo niebieską czapeczkę. Modraszki są śliczne i na ogół pojawiają się w karmniku dwójkami, ale konia z rzędem temu, kto potrafi powiedzieć, kto w takiej parze jest panem, a kto panią. Na nasze oko ptaki wyglądają identycznie.

Jednak same modraszki bez najmniejszego kłopotu potrafią określić płeć po wyglądzie. To dlatego samiec na czapeczce ma więcej piórek odbijających światło ultrafioletowe. Wiele badań sugeruje, że to, jak mocno „świeci" główka samca, może być sygnałem dla samic, którego partnera wybrać. Oczywiście im bardziej odbija ultrafiolet, tym lepiej. Samice będące w parze z takim supersamcem rzadziej decydują się na zdrady, które u modraszek są dość powszechne.

Powierzchnia, która odbija ten rodzaj światła, zmniejsza się wraz z wysiadywaniem jaj i wychowywaniem młodych, ale nawet poza okresem godowym i lęgowym jest wciąż na tyle duża, by dawać sygnał, kto tu jest silniejszy. Często się widzi, jak jedna sikorka przegania drugą, choć na ludzkie oko niczym się one od siebie nie różnią.

Z kolei u samców kosów, czyli ptaków z naszego punktu widzenia jednolicie czarnych o żółtym lub pomarańczowym dziobie, samice cenią sobie świecący w ultrafiolecie dziób właśnie. Interesuje je to bardziej niż intensywność żółtej barwy.

Ptaki widzą gamę barw, której ludziom nigdy nie będzie dane zobaczyć, a nasze postrzeganie świata z ptasiego punktu widzenia jest równie mało atrakcyjne jak dla nas psie lub kocie.

ŁASICA NA KRAWĘDZI

Gapiliśmy się z przyjaciółmi na żubry, gdy nagle coś kazało mi się odwrócić. Spojrzałem za siebie i aż krzyknąłem z radości. My gapiliśmy się na żubry, a na nas z ciekawością patrzyła biała łasica.

Oczywiście nie ma nic niezwykłego w tym, że po łące buszują łasice. Nic też dziwnego, że zimą robią się całe białe. To ich sposób

na maskowanie się przed drapieżnikami. Łasica, choć jest znakomitym łowcą gryzoni i jednym z najbardziej efektywnych drapieżników, musi na siebie uważać. Dla myszołowa czy puszczyka ważących nie więcej niż 150 g (a zwykle nawet kilkakrotnie mniej) drapieżnik będzie takim samym kąskiem jak nornik. Jednym ze sposobów na uniknięcie takiej niespodzianki jest maskowanie się. A jak lepiej zamaskować się na białym śniegu niż przez całkowite zbielenie?

Łasice z naszego regionu Europy robią się na zimę całe białe. Niestety, ostatnio, gdy zimy są coraz łagodniejsze, z długimi bezśnieżnymi okresami, takie białe maskowanie, zamiast chronić, może być przyczyną zguby. Biały zwierzak na ciemnym odwilżowym błocku jest przecież widoczny jak na dłoni.

Biała łasica, którą zobaczyliśmy, dała mi szansę na zrobienie wymarzonego zdjęcia. Po pierwsze, nigdy nie udało mi się sfotografować łasicy na wolności. Nie dlatego, żeby były płochliwe, bo nie są. Po prostu są dla mnie za szybkie. Nawet gdy fotografowałem oswojone łasice zajmującego się tymi zwierzętami dr. Karola Zuba z Instytutu Biologii Ssaków PAN, ledwo udawało mi się zrobić jakieś dobre zdjęcie. O tych zwierzętach można bowiem spokojnie powiedzieć, że śmigają niczym błyskawica.

Po drugie, biały zwierzak na białym śniegu wygląda pięknie i egzotycznie. Obraz białej łasicy otoczonej bielą śniegu tkwił mi w głowie od lat. A tu proszę – miałem go przed sobą. Mało tego, łasica niewiele sobie robiła z naszej obecności. Mogłem spokojnie ustawić sprzęt i pstrykać. Białe zwierzątko miało ważniejsze zajęcie – musiało się skupić na polowaniu. Nieudane polowanie to dla łasicy większy problem niż dla innego drapieżnika, a to dlatego, że bilans energetyczny ledwo jej się dopina. Pokazują to wyniki bardzo ciekawych badań naukowców z IBS PAN.

Jak wiadomo, łasice są wyspecjalizowane w polowaniu na gryzonie. Widać to zresztą po ich kształcie. Są jak kiełbaska – długie, cienkie – i mają krótkie łapki. To pozwala im znakomicie penetrować gryzoniowe nory, ale ma też poważne wady. – Takie proporcje ciała powodują, że na bieganie łasice muszą zużywać więcej energii niż inne zwierzęta podobnej wielkości. Do tego ogranicza je bardzo temperatura. Przy niskiej temperaturze takie ciało bardzo szybko traci ciepło, bo ma niekorzystny stosunek objętości do powierzchni. Aby zrównoważyć straty ciepła, łasice muszą wytwarzać dwa razy więcej energii niż inne ssaki o takich samych rozmiarach. A gdy śpią, muszą to robić w dobrze izolowanych podziemnych gniazdach zwinięte w kłębek, bo taka pozycja zmniejsza nieco straty ciepła – wyjaśnia mi Karol.

Ale to nie koniec. Konsekwencje szybkiego metabolizmu łasic są takie, że nawet kiedy nic nie robią, i tak zużywają dwa razy więcej energii niż na przykład gryzonie o takiej samej masie ciała. To oznacza, że muszą tę energię zdobyć, polując, a kiedy polują, zużywają znów więcej energii niż inne ssaki tej wielkości. Jakby tego było mało, polować za długo nie mogą, szczególnie gdy jest zimno, ale też gdy jest za gorąco. Wysoka przemiana materii oznacza bowiem, że w gorące dni mogą się łatwo przegrzać. – W bardzo zimne zimowe dni, podobnie jak w letnie – gorące, są aktywne przez jakieś dwie godziny na dobę i to im musi wystarczyć, aby coś upolować i zapewnić sobie bilans energetyczny – mówi Karol. Są to więc zwierzaki żyjące dosłownie na krawędzi.

LUTY

INŻYNIER Z RYJEM!

Wiem, dziki są już naprawdę pospolite. Aby je zobaczyć, nie trzeba wyjeżdżać do lasu. Wystarczy zaczaić się w niektórych miastach przy śmietniku lub trawniku, by zobaczyć ryjące stadko.

Wiem, ale co z tego, skoro przynajmniej te nasze białowieskie zwierzaki są szalenie ciekawe? Przede wszystkim z wyglądu –

puszczańskie dziki ze swoją gęstą szczeciną wyglądają jakoś tak godniej niż ich miejscy kuzyni. Tutejsze dziki szczególnie zimą przypominają raczej puchatego miśka niż nagą świnię. Zima zresztą jest dla nich krytyczną porą roku. Jest to również czas ich miłości, czyli tzw. huczki, która tu, w puszczy, trwa przez grudzień i styczeń. Cztery miesiące po huczce właśnie przychodzą na świat gdzieś pod jakimś wykrotem pasiaste warchlaczki.

O huczce nie sposób nie wiedzieć, bo dziki przeraźliwie przy tym kwiczą. Dlatego nie wiem, czy nie właściwiej byłoby nazywać ten czas kwiczką. Czasami to kwiczenie brzmi tak, jakby je ktoś mordował, ale widać tak wyznają sobie miłość. Do tego dochodzą gonitwy i przepychanki, które mogą wyglądać nieco brutalnie, ale nie mam wątpliwości, że dziki nie robią sobie przy tym krzywdy. Za to na pewno tracą głowę i są mniej ostrożne. Zimowy termin dziczych godów jest oczywiście spowodowany czasem trwania ciąży i tym, aby „wycelować" z przyjściem na świat młodych na wiosnę. Ale może być też jeszcze jeden powód. Zimą lochy łatwiej mogą się zorientować, czy kandydat na ojca jest odpowiedni – o tej porze roku dzikom jest najciężej i to okres, którego słabeusze mogą nie przetrwać. Nie tylko dlatego, że z ich krótkimi kończynami i niskim zawieszeniem trudniej jest im brnąć w głębokim śniegu, lecz także ze względu na sposób zdobywania pokarmu.

Dziki, jak wiadomo, słyną z rycia. Jednak wiosną, latem i wczesną jesienią, zamiast ryć, mogą zupełnie swobodnie paść się na zielonych częściach roślin i uzupełniać tę dietę wyrytymi z gleby owadzimi pędrakami lub gryzoniami. Gdy nadchodzi pora zimowa, dziki nie mogą tak jak sarny czy jelenie przerzucić się na korę i pędy, ale po prostu muszą więcej i głębiej ryć w poszukiwaniu korzonków, zimujących owadów, podziemnych spiżarni gryzoni lub znajdujących się pod śniegiem żołędzi. Takie rycie, szczególnie gdy

śnieg i gleba są zmarznięte na kamień, wymaga nie lada wysiłku. Podziwiam te dziki, które dają sobie z tym radę i potrafią przetrwać do wiosny.

Oczywiście domyślam się, Drodzy Czytelnicy, co sobie teraz myślą ci z Was, którym dziki poryły ogródki, trawniki lub pola, i to czasami tak głęboko, że trzeba używać specjalnych maszyn, by je doprowadzić do stanu używalności. Myślicie, że przesadzam, i to bardzo, z tym zachwytem. Być może, ale nie jestem jedyny. Właśnie przejrzałem sobie prace szkockich naukowców równie zachwyconych tym, co robią dziki. Na Wyspach Brytyjskich dziki zostały wybite w XIII w., potem, około XVII w., sprowadzono je znów, po czym znów wybito. Wreszcie w XX w. tyle ich uciekło z hodowli, że brytyjska populacja zaczęła się odtwarzać. I podobnie jak w innych miejscach mało kto je lubi. Ludzie boją się spacerować w lasach, a rolnicy oraz właściciele słynnych trawników klną na rycie. Dlaczego więc kilku szkockim naukowcom tak się to podoba? Otóż jak dowodzą, rycie wspomaga odnowienie w lasach i przywraca im naturalny charakter. Szczególnie tam, gdzie nadmiernie rozpanoszyły się niektóre gatunki paproci rosnące tak gęsto, że nic się przez nie nie przebije. Aby je usunąć albo przynajmniej rozrzedzić, trzeba by stosować środki chemiczne. Tymczasem dziki właśnie w czasie zimowego rycia rozprawiają się z podziemnymi częściami pleniących się paproci. Do tego ich rycie jest czymś w rodzaju naturalnego zaburzenia, które nie pozwala, aby dno lasu zamieniło się w jednorodne środowisko. Dlatego naukowcy rycie przyrównują do inżynierii środowiskowej, a same dziki – do doskonałych inżynierów.

TE NORKI TO KATASTROFA

Czuję się nieco nieswojo, ale muszę to napisać, bo się niepokoję. Otóż od pewnego czasu wszędzie widzę norki. Tylko proszę się nie martwić o moje zdrowie psychiczne. To nie są białe norki, nie robią też dziwnych rzeczy. Wyglądają normalnie, tak jak przystało

na dzikie norki, czyli są albo tak brunatne, że niemal czarne, albo brązowe. Ale oczywiście mają klasyczną białą bródkę.

Robią też to, co norki powinny robić, czyli polują na ryby i zimujące płazy. A stale je widzę zapewne z tego powodu, że wciąż jest sporo lodu i śniegu, więc nie ma ciekawszych miejsc do przyrodniczych wycieczek niż brzegi rzek i rzeczek. Spotykam tam bobra, czasami wydrę, no i norkę.

Dlaczego to norki budzą mój niepokój? Co jest takiego w tym ślicznym pysiu z oczkami jak paciorki, który powinien budzić zachwyt, a jednak we mnie i większości przyrodników budzi przerażenie?

Bo to norki amerykańskie, których w ogóle nie powinno być na naszym kontynencie. Są znacznie większe od naszego rodzimego gatunku, czyli norki europejskiej, która w Polsce wyginęła, zanim pojawiła się norka amerykańska, a tam, gdzie jeszcze przetrwała, na przykład na Białorusi, jest dziś wypierana przez amerykańską kuzynkę.

Problem w tym, że wiele zwierząt europejskich, które przez setki tysięcy lat nauczyły się żyć w towarzystwie mniejszej norki europejskiej, dziś nie za bardzo daje sobie radę z bardziej żarłocznym przybyszem zza oceanu. To jedna z głównych przyczyn nawet dwudziestokrotnego spadku liczebności łyski, czarnego chruściela o białej lub żółtej narośli na czole. Dostaje się też perkozom oraz gęsiom. Oczywiście, norka jako małe zwierzątko rzadko zabija dorosłe ptaki. Głównym celem jej ataków są gniazda z jajami. Ponieważ świetnie pływa i nurkuje, nawet gniazda na wodzie są dla niej dostępne.

Ptaki próbują sobie jakoś radzić. Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Zoologii PAN oraz Instytutu Biologii Ssaków pokazali, że lęgną się coraz częściej w koloniach i coraz bliżej

ludzkich siedzib, bo ludzi jeszcze norki unikają. Zapewne jednak i to się zmienia, bo większość norek, które spotkałem, nic sobie z mojej obecności nie robiła.

I to jest drugi powód do niepokoju. Silne populacje norki amerykańskiej mamy w Polsce od lat 80. ubiegłego wieku. Ale nigdy, jak długo mieszkam w puszczy, nie widziałem aż tylu norek. Są przy rzekach przecinających łąki i strugach płynących przez las. Gdziekolwiek spojrzę, widzę małą ciemną błyskawicę, która skokami przemierza brzegi albo staje słupka i mi się przygląda. Nawet tam, gdzie ich nigdy nie było. Z dr. Karolem Zubem z Instytutu Biologii Ssaków PAN fotografowaliśmy norkę wyglądającą z norki, a po chwili – niemal dosłownie w tym samym miejscu – norkę, która zupełnie nie przejmując się nami, pałaszowała wyciągnięte z mułu zimujące żaby. Byliśmy przekonani, że to ta sama, dopóki Karol nie porównał zdjęć, na których było widać, że ta, co wyglądała z norki, ma o wiele większą białą bródkę.

Jedne są więc dzikie i ostrożne, a inne – wyluzowane, można do nich podejść i z bliska obserwować, jak wycierają w śniegu futerko albo coś sobie jedzą. – Może to dlatego, że właśnie jest czas rui – wyjaśnia zajmujący się tymi zwierzakami dr Andrzej Zalewski z IBS PAN. – A może jest ich dużo z powodu braku chorób, dużej ilości pokarmu lub innych czynników, których jeszcze nie znamy. W puszczy norka daje się we znaki ptakom, ale przede wszystkim karczownikowi, średniej wielkości wodnemu gryzoniowi. Niegdyś pospolite karczowniki stały się dziś naprawdę rzadkością.

Norki przywieziono do Europy, by robić biznes na ich futrach, a teraz stały się przyczyną gigantycznej katastrofy ekologicznej, która dotyka cały kontynent. Możemy ograniczać ich szkodliwe działanie, zamykając farmy, które są źródłem zasilającym dzikie

populacje, lub chroniąc ptaki i ich gniazda, ale nigdy się ich nie pozbędziemy. Potraktujmy je więc jak gorzką lekcję, czego nie należy robić. Niech przypominają, że niewinna nawet z pozoru ingerencja w środowisko lub próba jego „ulepszenia" zwykle kończy się źle.

ATAK KRWIOŻERCZYCH SIKOREK

„Ti-ti-tu, ti-ti-tu” – właśnie usłyszałem wiosenny śpiew bogatek, który nawet gdy leży śnieg, niechybnie zwiastuje nadejście cieplejszej pory roku.

Bardzo zrobiło mi się miło i od razu przypomniałem sobie o mało znanych i mrożących krew w żyłach wyczynach sikorek. Na tym

zdaniu wszyscy, którzy uważają, że sikorki jedzące słonecznik i orzeszki w naszych karmnikach to słodkie ptaszki z bajki, powinni zakończyć lekturę tego tekstu. Niestety, przyroda bywa niezbyt sympatyczna.

Jak wszyscy wiedzą, sikorki poza słonecznikiem i orzeszkami zajadają się też słoniną. I to już powinno nam dać do myślenia i wskazywać na prawdziwą naturę sikorek. Ich przysmaki to przede wszystkim owady, larwy i jaja. Słonina wskazywałaby też na to, że sikorki nie gardzą większymi zwierzętami kręgowymi.

Sikorki bogatki żyjące w Puszczy Białowieskiej są jednymi z pierwszych padlinożerców odnajdujących ofiary wilków czy rysi. Wiele razy widziałem, jak korzystając z nieobecności kruków czy bielików, obdziobują resztki mięsa z różnych gnatów.

Ornitolodzy od dawna wiedzą też, że bogatki potrafią zabijać inne ptaki w walce o dziuple. Ale czy słyszeliście o przypadku, żeby sikorka polowała jak jastrząb albo krogulec?

Ornitologiczno-internetowym światem wstrząsnęły ostatnio obserwacje fińskiego przyrodnika Lassiego Kujali, który był świadkiem ataku bogatek na czeczotki. Te sympatyczne małe ptaszki ze śmieszną czerwoną kropką na głowie przylatywały do wysypanego im słonecznika. Przy słoneczniku czatowały też bogatki. Ale nie na pestki. Na zamieszczonym w internecie filmiku widać, jak sikorka spada na czeczotkę niczym błyskawica, wczepia się w nią pazurami i wali dziobem w głowę. Z zabitej wyjada mózg.

Tak podobno w ciągu tygodnia życie straciło blisko 20 czeczotek. Przypadek? Jakaś szalona krwiożercza sikorka, która jest czarną owcą swojego gatunku? Nic z tych rzeczy.

Kiedy zobaczyłem ten filmik, przypomniałem sobie o atakach sikorek na zimujące nietoperze. Dwa lata temu węgierscy i niemieccy badacze opisali swoje obserwacje pokaźnego stada

bogatek koczujących w pobliżu jaskiń w węgierskich Górach Bukowych. Sikorki dybały tam na życie zimujących w jaskiniach nietoperzy.

Pierwsze doniesienia o podziobanych nietoperzach, które najczęściej miały wyjedzony mózg, pojawiły się w połowie lat 90. W latach 2004-2005 naukowcy w ciągu trwających ledwie 45 godzin obserwacji widzieli aż 18 ataków bogatek na nietoperze. Sikorki wlatywały do jaskini i latając powoli wzdłuż ścian, przeszukiwały ją. Zaatakowanego nietoperza albo rozdziobywały na dnie jaskini, zaczynając oczywiście od głowy i mózgu, albo wynosiły na zewnątrz i tam konsumowały.

O tym, że polowanie na nietoperze jest jak najbardziej zamierzone i sikorki specjalnie poszukują jaskiń, które są miejscami zimowania tych ssaków, naukowcy przekonali się za pomocą bardzo prostego eksperymentu. Odtwarzali bogatkom nagrane infradźwięki wydawane przez budzące się nietoperze. 45 na 56 znajdujących się w okolicy sikorek natychmiast reagowało i rozpoczynało poszukiwania potencjalnej ofiary.

Jeśli myślicie, że tak krwiożercze są tylko sikorki na Węgrzech i w Finlandii, to się mylicie. Jedne z pierwszych doniesień o sikorkach pożerających nietoperze pochodziły z Polski. Tyle że u nas nikt ich nie złapał na gorącym uczynku.

TAJEMNICA RUDZIELCA

– I co tam ciekawego? – zapytałem Marka Kosińskiego, znanego fotografa przyrody i organizatora przyrodniczych fotosafari w puszczy. – Pod ukrycie przylatuje orzechówka, ale kiedy posadziłem w nim Anglików, to największe wrażenie zrobiło na nich zupełnie coś innego – powiedział Marek. – Co? – zapytałem

z nadzieją, że dowiem się o możliwości sfotografowania jakiegoś superrzadkiego zwierzaka. – Wiewiórka! – wypalił.

Widzę ten Wasz uśmiech, Drodzy Czytelnicy, i politowanie na twarzach. Ja zareagowałem tak samo. Ach, ci Anglicy! Co oni wiedzą o prawdziwej dzikiej przyrodzie, skoro zwykła ruda Basia, którą można spotkać w parku i nakarmić orzeszkami, robi na nich takie wrażenie? Poczucie przyrodniczej wyższości nad mieszkańcami Wysp jednak dość szybko mi minęło. Powody są dwa.

Po pierwsze, choć tak powszechne, wiewiórki są mało znane. Na pytanie, ile mamy w Polsce gatunków tych gryzoni, każdy odpowie, że jeden, właśnie tę rudą. Tymczasem nasza największa wiewiórka to świstak. Wiewiórkami są też susły, których mamy w kraju dwa gatunki: moręgowatego na zachodzie i perełkowanego na wschodzie. Uważamy, że wiewiórki żyją wyłącznie w dziuplach, choć tak naprawdę najczęściej ich domami są gniazda nieco tylko przypominające te ptasie. Takich gniazd wiewiórka ma zwykle kilka i sypia w nich na przemian, bo to jedyny sposób, by zmylić polujące na nie kuny.

Gniazda są budowane z łyka młodych lip. Zmasakrowane i obdarte drzewka nieraz widywałem w puszczy i słowo daję, że raczej posądzałem o takie zniszczenia wycierające poroża jelenie, a nie małe wiewiórki. To jednak ich robota.

Drugi powód, dla którego piszę o tych gryzoniach, jest taki, że Brytyjczycy patrzą na wiewiórkę trochę jak my na żubra. Jeżeli jakiś ssak może być symbolem zażartej walki o jego ocalenie, to dla Brytyjczyków jest to właśnie ruda wiewiórka. Miała się ona na Wyspach całkiem nieźle, dopóki bankier Thomas Brocklehurst nie przywiózł tam i nie wypuścił w 1878 r. pary szarych wiewiórek przywiezionych z biznesowej wycieczki do USA.

Dziś tych gryzoni jest około 20 mln i mniej niż 150 tys. europejskich rudzielców. Naukowcy przewidują, że za 20 lat znikną one całkowicie z Brytanii. Powstają więc specjalne fundacje, w których udzielają się członkowie rodziny królewskiej. Miliony funtów przeznaczane są na eliminowanie szarych i poprawę bytu rudych wiewiórek, ale sytuacja wciąż jest fatalna.

Dlaczego szara wiewiórka tak przeszkadza rudej? Powodów jest wiele. Wirusowe choroby, które przywlokły amerykańskie gryzonie, okazały się zabójcze dla europejskich. Zadziałał, tylko w drugą stronę, ten sam mechanizm, który Europejczykom pomógł podbić Amerykę. Poza tym wiewiórka szara lepiej przyswaja substancje odżywcze z żołędzi.

Najbardziej ciekawe dla mnie jest to, że prawdziwą przewagę szarym przybyszom dał inny sposób wykorzystywania przestrzeni. Europejskie wiewiórki około 70 proc. czasu spędzają na drzewach, a tylko 30 proc. na ziemi. Szare wiewiórki odwrotnie. Głównie penetrują dno lasów lub parków, a to właśnie na ziemi lub raczej nieco pod nią rude Basie robią swoje zapasy. Są oczywiście haniebnie okradane, a ich szanse na przetrwanie zimy drastycznie maleją.

Jakie wnioski płyną dla nas z brytyjskiej lekcji? Pierwszy to taki, że nawet najbardziej niewinna manipulacja w środowisku może się skończyć źle. Drugi, że nawet bardzo pospolite gatunki mogą stać się bardzo rzadkie.

WYDRA W SUPERMARKECIE

Wszystkie zwierzaki wodno-lądowe, takie jak bobry czy norki, po wyjściu z wody błyszczą się w słońcu. Wiadomo, mają po prostu mokre futro. Ale tylko wydry aż się skrzą, szczególnie ich szary podbródek i pierś, które mokre i w słońcu wyglądają, jakby były z najczystszego srebra.

Dlatego gdy tylko zobaczyłem coś skrzącego się i bardzo ruchliwego, choć było bardzo, bardzo daleko, nie miałem wątpliwości, kogo mam przed sobą.

Wydry nic sobie nie robiły z tego, że się do nich zbliżam. Zajęte były posiłkiem z przerwami na zabawę. Posiłek był zupełnie standardowy jak na Puszczę Białowieską z jej niewielkimi w sumie rzekami oraz tę porę roku, czyli ani zimę, ani wiosnę. Co chwila któraś z wydr wyłaziła na lód z żabą, którą chrupała, zaczynając od głowy, a kończąc na nogach. Potem zwierzęta się trochę bawiły, pływając obok siebie, żeby znów zanurkować i wypłynąć z kolejną żabą.

Widać trafiły na pokłady zimujących żab. Już wyjaśniam, o co chodzi. W tutejszych rzeczkach, które są płytkie i przy ostrych zimach mogą przemarzać nawet do dna, nie ma zbyt wielu ryb. Szczupaki czy płocie wchodzą tu wiosną na tarło, zimą ich nie ma. Miętusy i piskorze lub im podobne ryby nie są zbyt liczne, podobnie minogi.

Nie oznacza to, że wydry cierpią zimą głód. Wręcz przeciwnie, mają jedzenia pod dostatkiem, bo właśnie w mule zbiorników wodnych i wolno płynących rzeczek zimują żaby trawne.

Na wschodzie Polski to prawdopodobnie jeden z najliczniejszych – jeżeli nie najliczniejszy – płazów. Oczywiście żaby nie śpią w mule rozrzucone równomiernie po całym dnie, są miejsca, gdzie jest ich więcej, czasem całe setki. Gdy wydry trafią na takie żabie pokłady, korzystają z nich, ile wlezie. – No właśnie, to samo robią w naszych stawach – powiedzą oburzeni właściciele stawów rybnych – wybierają wszystko, i to jak najszybciej się da.

Zapewne chcieliby, żeby wydry przychodziły, zjadały jedną rybkę, a po kolejną zjawiały się dopiero za jakiś czas niczym karny wędkarz. Tymczasem jest inaczej, coś każe im zabijać i się objadać.

Czasami nawet nie dojedzą całej ryby, tylko to, co w niej najwartościowsze, czyli głowę, i już gonią po następną. Z naszego punktu widzenia może to wyglądać na zachowanie nieracjonalne, ale dla wydry takie postępowanie ma głęboki sens. Większość zasobów, z których mogą korzystać zwierzęta i z których do niedawna korzystali ludzie, miało charakter pulsujący. Bardzo rzadko w naturze się zdarza, aby coś miało stałą niezmienną ilość i dostępność. Raczej jest tak, że raptem jest czegoś nadmiar, a później tego czegoś nie ma. Co sześć-siedem lat las wysypuje żołędziami, z których korzystają gryzonie i dziki, co kilka lat pojawiają się masowo gąsienice, które pozwalają ptakom śpiewającym lepiej wykarmić młode. Do najbardziej spektakularnych należą olbrzymie pojawienia się cykad zdarzające się w amerykańskich lasach raz na kilkanaście lat.

W ciągu roku też wszystko pulsuje. Każdy chyba widział na filmach przyrodniczych, jaką rozpasaną ucztę mają niedźwiedzie, gdy do alaskich rzek wpływają na tarło łososie. Trawa robi się smaczna i zielona tylko na jakiś czas, pojawiają się i znikają owoce, najpierw w rzece pełno jest żab, a potem jest przerwa, dopóki nie pojawią się ryby.

Najprostsza i najbardziej sensowna strategia w takich sytuacjach to korzystać z zasobów, ile wlezie, kiedy one są. Jak nie skorzystasz teraz, to będziesz miał mniejszą szansę na przetrwanie, poza tym na pewno skorzysta ktoś inny.

Dlatego wydra, która znajdzie staw, w którym jest mnóstwo ryb i nie mają one gdzie uciec ani gdzie się schować, będzie polować dopóty, dopóki nie złapie ostatniej. Podobnie zrobi lis w kurniku albo wilk, który wpadnie w stado owiec. Wariactwo? Owszem, ale ani wydry, ani lisa, ani wilka. Raczej ludzkie, bo w naturze nie

istnieją kurniki, w których stale mieszkają kury, albo stawy obfite w ryby.

Zresztą ludzie do niedawna podlegali dokładnie tym samym regułom. Dziś mieszkańcy szczególnie bogatych krajów zupełnie od tego odwykli. Dzięki paliwom kopalnym mamy stały dostęp do energii i dzięki temu stały dostęp do zasobów. Jak nie mamy ziemniaka z Polski, to sobie go przywieziemy z Włoch lub Izraela. Nie musimy gonić za nim jak wydra za żabą lub rybą. Choć nie do końca. Na zakupach w hipermarketach, szczególnie w czasie promocji, zachowujemy się często bardzo podobnie jak wydra w stawie – łapiemy, co się da. A stawy trzeba zabezpieczać, na przykład elektrycznym pastuchem, bez tego dla wydry są tym samym, czym dla nas byłby sklep, w którym nie trzeba przy kasie płacić.

SMACZNY SEN ORZESZNICY

Tym razem to nie był list od nieznanego czytelnika, ale telefon od mojej dobrej koleżanki Agnieszki Tarasiuk: – Znajomi wykopali w trocinach bardzo dziwną rudą myszkę z owłosionym ogonem. Co mam z nią zrobić?

Opis nie pasował mi do żadnej myszki. No i rzeczywiście – gdy dostałem jej zdjęcia, od razu rozpoznałem orzesznicę. Jest to nasz najmniejszy, mający do 30 g, pilchowaty. Poza orzesznicą mamy też popielicę, koszatkę i żołędnicę. Ta ciekawa grupa gryzoni na pierwszy rzut oka przypominających wiewiórki charakteryzuje się dość długim puszystym ogonem. To oczywiście wiąże się z tym, że pilchowate są znakomitymi wspinaczami, a ogon stanowi punkt oparcia oraz ułatwia złapanie równowagi, gdy trzeba balansować na cienkich gałązkach.

Orzesznica jest dość rozpowszechniona, wystarczą jej gęste zarośla, chociażby leszczyn, ale ponieważ jest zwierzakiem nocnym i bardzo płochliwym, mało kto ją widział. Czasami natrafiamy tylko na jej kuliste gniazda z traw i liści. Orzesznice budują dwa rodzaje takich gniazd: mniejsze, służące do odpoczynku, i większe, w których przychodzi na świat potomstwo. Pomimo że mają wejście umieszczone z boku, myślę, że w większości wypadków bierzemy je za ptasie konstrukcje.

Orzesznica u Agnieszki smacznie spała w akwarium zwinięta w kłębuszek. Po przebudzeniu spowodowanym wykopaniem jej z trocin zjadła nieco ziaren słonecznika, po czym się zawinęła i ponownie zasnęła. Sen okazał się na tyle głęboki, że Agnieszka była przekonana o tym, że orzesznica wyzionęła ducha.

Cechą wszystkich pilchowatych jest to, że zapadają w głęboki sen zimowy. Podczas hibernacji temperatura ich ciała zbliża się do temperatury otoczenia (zwykle jest to tylko kilka stopni powyżej zera), liczba oddechów i uderzeń serca znacznie spada. Jak wyjaśnił mi dr Mirosław Juszczyn z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, nie jest to sen nieprzerwany. Pilchowate śpiochy potrafią się budzić, na przykład by się załatwić. Dziwiło mnie co innego: dlaczego orzesznica zasnęła w domu, gdzie panuje temperatura dość wysoka jak na zimę? Wygląda na to, że to, czy zwierzak zasypia, czy nie, regulowane jest nie tylko temperaturą. Naukowcy sądzą, że przede wszystkim działa tu wewnętrzny zegar biologiczny. Całkowita pobudka nie następuje, gdy zrobi się wyłącznie cieplej, lecz dopiero gdy zadziała wiele różnych czynników. W sumie to logiczne – przy tak gwałtownych zmianach pogody orzesznice i inne śpiące zwierzaki mogłyby się srodze zawieść, gdyby tylko polegały na temperaturze.

MARZEC

MODRE ROZPUSTNICE

Zrobiło się tak ciepło, że porzuciłem standardowe dokarmianie słonecznikiem i słoniną. Zostały tylko jabłka, które nadziewam na gałązki. Gdy jest tak ciepło, dokarmianie nie ma sensu. Można tylko ptakom zaszkodzić. Jedzenie szybko się psuje, a poza tym sami wiemy, z naszych ludzkich doświadczeń, że przy takiej pogodzie

nietrudno o infekcję tam, gdzie tłok. Po co więc zachęcać ptaki do zbierania się w jednym miejscu?

Ale jabłka nie szkodzą, bo są w miarę naturalnym pokarmem i nie ma na nie zbyt wielu amatorów poza sikorami modrymi. Sikory ubogie uwielbiają słonecznik, bogatki – słoninę i słonecznik, a modre – słoninę i właśnie jabłka. Nie wiem dlaczego. Być może to nie cecha gatunku, ale akurat tych ptaków. Spora część populacji białowieskich sikorek modrych zachowuje się bowiem w sposób, który – stosując purytańskie standardy – nazwać można rozwiązłym. Pisałem już o tym kilka razy i dziś do tego wrócę, bo dzięki naukowcom z warszawskiej SGGW, Muzeum i Instytutu Zoologii PAN i Uniwersytetu Wrocławskiego wiemy coraz więcej o tym niezwykle zajmującym zjawisku. Z badań prowadzonych na świecie wiadomo, że rozwiązłość modraszek (tak je nazywają ornitolodzy) ma podobne przyczyny jak u ludzi. Znacznie szybciej zdrady dopuszczają się samice mające niezbyt atrakcyjnych i słabych partnerów. Mało tego, udaje się im skok w bok, choć samce poświęcają dużo czasu i uwagi pilnowaniu partnerek. Zwykle dzieje się to o świcie i jest jedną z pierwszych rzeczy, na jaką samice pozwalają sobie po pobudce. Co ciekawe, mocne samce nie poświęcają zbyt wiele uwagi pilnowaniu samiczek, ale one raczej na zdrady sobie nie pozwalają.

Inne badania pokazują, że sikorki modre stosują dewizę rockandrollowego pokolenia – żyj krótko, ale intensywnie. Żyją krócej od sikor ubogich i kowalików, ale statystycznie zdradzają częściej niż te dwa gatunki. U kowalików do zdrad dochodzi w zaledwie co piątej parze, a u sikor modrych – nawet w ponad połowie.

A co wnieśli do wiedzy o seksualnym życiu modraszek polscy naukowcy prowadzący badania w Puszczy Białowieskiej? Wykazali,

że liczba zdrad nie zależy od zagęszczenia ptaków, co byłoby logiczne. Przecież sikora, która ma więcej pokus w postaci atrakcyjnych samców, powinna też zdradzać częściej. Ale okazuje się, że tak nie jest. Okazja nie rodzi zdrad. Nawet przeciwnie. Przy większym zagęszczeniu ptaków zdrad było mniej. A gdy przyszedł rok, kiedy sikor modrych było mniej, odsetek niewiernych samic wzrósł. Przelatywały nawet kilkaset metrów, by się oddać jakiemuś atrakcyjnemu modraszkowi. To oznacza, że zdrada jest wpisana w strategię przetrwania tego gatunku, czyli inaczej mówiąc, sikory modre mają ją we krwi.

BOCIAN POLARNIK

Co robić? Bociany przyleciały, a w Polsce mróz i śnieg! Co chwila dzwonią do mnie ludzie z prośbą o interwencję. – Najlepiej nic nie robić – odpowiadam. Bociany świetnie dadzą sobie radę. Mało kto chce w to jednak wierzyć.

A przecież jeszcze nie tak dawno zima w marcu i jej ostatnie podrygi w kwietniu to była norma. I bociany jakoś sobie radziły. Od co najmniej kilkuset tysięcy lat przylatują na lęgowiska wczesną wiosną, która dość często oznacza zimę.

Ta przesadna troska o bociany dopadała w przeszłości także mnie. Kilka razy próbowałem je złapać i uratować. Gdy są w kiepskiej kondycji, nie jest to zbyt trudne. Ale kiedy są w formie, to można im najwyżej soli na ogon nasypać.

Kilka lat temu w styczniu w Teremiskach pojawił się bocian. Miał lekko uszkodzone skrzydło i krzywo latał. Pewnie z powodu kontuzji nie wybrał się w podróż w cieplejsze strony świata. Śniegu było wtedy po kolana, za dnia słupek rtęci nie skakał powyżej minus 20 st. I co, myślicie, że bocian był wykończony? Próbowałem go złapać. W życiu się tyle nie napociłem.

Oczywiście na próżno. Bo on pomocy nie potrzebował! Nawet jedzenia nie chciał. Potem widziano go kilkanaście kilometrów od nas. Chyba przeżył do wiosny, bo mniej więcej do tego czasu odbierałem telefony z prośbą o pomoc zimującemu bocianowi.

Nie oznacza to oczywiście, że boćki lubią zimę – ta obecna, która się przedłuża, może mieć zły wpływ na ich lęgi. Przecież to ptaki, które potrzebują dużo czasu, żeby wychować młode.

No i gdy do nas wracają, mają właściwie zerowe zapasy tłuszczu. Zresztą kiedy wyruszają do Afryki, też go mają mało. Dopiero w październiku, już na miejscu, zaczynają gwałtownie tyć. Najtłustsze są na Gwiazdkę.

Na pierwszy rzut oka wygląda to bez sensu – chude na podróż i grube, kiedy mają już ciepło? Ale to dobra strategia. Bociania podróż do Afryki i z powrotem polega na wzbijaniu się wysoko dzięki ciepłym prądom wznoszącym i opadaniu lotem szybowcowym. Przy takiej technice najlepiej być lekkim jak piórko.

Za to w Afryce, gdzie bociany mogą dopaść długie okresy głodu spowodowane suszą, lepiej się najeść na zapas.

Ale jak radzą sobie u nas przy takiej zimowej wiośnie? Tu bardziej liczy się to, co mają w głowach, niż zapasy tłuszczu. Bociany wyszukują miejsca osłonięte od wiatru i cieplejsze. Kiedyś mogły to być oparzeliska, gdzie gnijące szczątki roślin wydzielają ciepło, a dzisiaj – kominy i wysypiska śmieci.

Na wysypiskach łatwiej o jedzenie i choć nam wydaje się to mało estetyczne, bocian buszujący wśród śmieci – nie tylko zimą! – to będzie coraz częstszy widok.

– Tak stoją, biedaki – załamują nad nimi ręce ludzie, według których bocian powinien chodzić po łące. Tylko po co ma chodzić, jeśli w okolicy nie ma nic do zjedzenia? Po co ten niepotrzebny wysiłek i utrata energii? W takim wypadku naprawdę lepiej się nie ruszać.

Kiedy patrzę na nieruchome boćki, przypominają mi się polarne wyprawy z Wojtkiem Moskalem. Jeśli tylko dochodziło do załamania pogody, rozbijaliśmy namiot i właziliśmy do śpiworów. Nie ruszaliśmy się i nie jedliśmy, bo jedzenie potrzebne jest wtedy, gdy wędrujemy, przy wysiłku. I tak czasami leżeliśmy nawet parę dni.

JELENIE CIĄGLE MOCNO ŚPIĄ

Niby wiosna, a zima wciąż walczy. W lesie pełno śniegu i może dlatego coraz częściej jelenie i dziki można spotkać na otwartych przestrzeniach. Na przykład przed moim domem chodzi dzik.

Z daleka wygląda jak gigantyczny leśny potwór z najbardziej niesamowitych myśliwskich opowieści o szarżujących odyńcach.

Poszedłem zrobić mu zdjęcie i gdy tylko się zbliżyłem, zrezygnowałem. Wydawał się wielki, bo grzbiet miał wygięty w łuk, ale gdy odwrócił się do mnie przodem, okazało się, że jest cienki jak kartka papieru. Trudno powiedzieć, czy to efekt głodu – sporo dzików widziałem tej zimy w dobrej kondycji – czy też jakiejś choroby. Teraz, na przednówku, to właśnie choroby są największym zagrożeniem. Dałem mu spokój. Powoli odszedłem. Niech sobie ryje. Może uda mu się dotrwać do odwilży.

Dla saren i jeleni to też krytyczny okres. I tu ciekawostka. Poza tym, że zimą jelenie wyraźnie przestawiają się na pokarm, którego nie przykrył śnieg, czyli korę drzew i pędy, mają jeszcze jeden sposób na głód. Przede wszystkim mniej wędrują, a więcej czasu poświęcają na jedzenie. To dlatego widuje się je ciągle w miejscach, gdzie jest pokarm. Przepłoszone odchodzą na chwilę i od razu wracają.

Co ciekawe, jelenie potrafią też spowolnić przemianę materii. U zwierząt to całkiem powszechne, bo pozwala oszczędzić zapasy tłuszczu albo tlenu w ekstremalnych sytuacjach. Robią tak na przykład gęsi. A pingwiny obniżają temperaturę ciała i zmniejszają liczbę uderzeń serca, by dłużej nurkować.

Natomiast jelenie w zimowe poranki zapadają w bardzo głęboki sen – torpor. Temperatura ciała spada im wtedy z trzydziestu kilku do ledwie dwudziestu kilku stopni. Bardzo obniża się też tętno. Taki prawie zahibernowany jeleń powraca do „świata żywych" dopiero wtedy, gdy wzejdzie słońce.

Czasem owe oszczędności są jednak przypłacane życiem. Jak mówi dr Karol Zub z Instytutu Biologii Ssaków PAN, duża część jeleni jest zabijana przez wilki właśnie nad ranem.

I tu mam do was wielką prośbę. Szczególnie teraz ograniczmy spacery z psami tam, gdzie żyją jelenie i sarny. Pogryzione, nie tylko

poranione, lecz także osłabione szokiem, są w większości wypadków nie do odratowania. Do lasu czy na łąkę nie chodźmy nawet z psami na smyczy! Pozostawione przez nie zapachy wywołają niepokój u dzikich zwierząt. Zmuszą je do wędrówki. A każda odrobina energii jest ważna, by mogły doczekać wiosny.

Z DZIĘCIOŁA ŻADEN LEKARZ

Coraz częściej przekonuję się, że nasze powszechne opinie o zwierzętach nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Ot, chociażby przekonanie, że dzięcioł to lekarz drzew.

Jednak zanim zdemaskuję prawdziwe oblicze dzięcioła, chciałbym odpowiedzieć na pytanie jednego z czytelników. Obserwowane

przez niego czarne jak węgiel ptaki z białą obwódką wokół oka to zwykłe kosy z albinotyczną cechą. To się zdarza. Czasami białe nie są całe ptaki, ale tylko część ich upierzenia, nawet bardzo drobne plamki. Czy możliwe, aby takich ptaków było więcej? W przyrodzie wszystko jest możliwe, mogły to być ptaki spokrewnione. Kiedyś dr Andrzej Kruszewicz opowiadał mi o białych sowach. Mało kto w nie wierzył, bo doniesienia o tych sowach pochodziły od pacjentów szpitala psychiatrycznego. W końcu ktoś sprawdził i się okazało, że w przyszpitalnym ogrodzie mieszka sobie rodzina puszczyków albinosów.

Wróćmy do dzięcioła. Alpejski podgatunek mieszkający też w Tatrach robi charakterystyczne pierścienie, skuwając korę w poszukiwaniu owadów oraz soku drzew. Nie robią tego dzięcioły na nizinach, na przykład w Puszczy Białowieskiej. Te okorowują drzewa bez wyraźnego wzoru. Wyjaśnienia, skąd ta różnica, nie znalazłem, ale kiedy zajrzałem do prac jednego z najlepszych znawców tego gatunku Petera Pechaceka, trafiłem na coś równie ciekawego. Ku mojemu zaskoczeniu przeczytałem, że istnieje prawdopodobieństwo, że dzięcioł trójpalczasty umyślnie kaleczy drzewa, aby drzewo łatwiej zostało zainfekowane grzybami. To pomaga mu przygotować sobie miejsce pod dziuplę, bo grzyby rozmiękczają drewno. Według Pechaceka dzięcioły te robią dziuple w drzewach, w których już wcześniej kuły.

Tą odkrywczą wiedzą podzieliłem się z nieocenionym dr. Przemysławem Chylareckim z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, który mi uświadomił, że badacze amerykańscy już dawno doszli do podobnych wniosków. Stwierdzili, że istnieje symbioza między niektórymi gatunkami dzięciołów i grzybów, które wykonują za ptaka część pracy. Dzięcioły nie tylko ranią drzewa, aby ułatwić ich infekcję przenoszonym przez wiatr zarodnikom grzybów, lecz

najczęściej także do tej infekcji doprowadzają, bo zarodniki mają na dziobie i piórach.

Czy to jest niebezpieczne dla samego drzewa? Nie zawsze. Amerykańskie dzięcioły przenoszą tylko te gatunki lub rodzaje grzybów, które działają selektywnie. Atakują twarde części pnia, a zostawiają warstwy odpowiedzialne za przewodzenie wody i soków. Drzewo więc żyje dalej, co jest w interesie ptaka. Spróchniałe mogłoby paść razem z gniazdem i już więcej nie służyłoby gościną.

Choć więc dzięcioły rzeczywiście usuwają z drzew owady, które nazywamy szkodnikami, to nazywanie ich lekarzami drzew jest chyba jednak przesadą.

GAWRON JAK SZYMPANS

Ten tekst powinienem napisać już dawno. Nie zrobiłem tego, bo o gawronach myślałem takimi samymi stereotypami jak większość ludzi. Cóż ciekawego może być w czarnym ptaszysku, które grzebie się w śmieciach, dłubie w trawnikach, okropnie kracze i nie ma specjalnie mądrego wyrazu dzioba?

Gawron nie ma tego błysku w oku, który mają inne krukowate: kruki, wrony, sroki, a nawet kawki.

– Jak to nie ma?! Oczywiście, że ma. Większość z nas tak ignoruje te ptaki, że nie patrzy im w oczy – protestuje dr Zbigniew Kasprzykowski z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach.

Zrobiło mi się głupio. Może rzeczywiście nie przyglądałem się gawronom z należytą uwagą?

Pierwszą rzeczą, która przychodzi na myśl o gawronach, to ich kolonie. Poza kawkami, które gnieżdżą się w przewodach wentylacyjnych, w kominach i dziuplach, przez co są ukryte, tylko gawrony tworzą takie zbiorowiska. Zaczyna się od kilku przypominających nieregularne kupy chrustu gniazd założonych na terenie parku miejskiego, w małym lasku, a nawet na niewielkim skwerku. Jeżeli w pobliżu jest wystarczająco dużo jedzenia, z kilku gniazd bardzo szybko może zrobić się kilkaset.

W kolonii nic nie jest przypadkowe. Panuje określona hierarchia. Prawdopodobnie na wierzchołkach drzew gniazda budują ptaki najstarsze i najbardziej doświadczone. Wszystko przez wiewiórki, które plądrują gawronie domostwa.

– Wiewiórka potrafi przemierzyć pola i łąki, czyli niezbyt przyjazne jej środowisko, tylko po to, by dostać się do kolonii gawronów. Dzieje się to zwykle w ostatniej fazie ciąży tych gryzoni, kiedy potrzebują zwierzęcego białka – mówi dr Kasprzykowski. Gawrony mogą się skutecznie bronić, tylko atakując wroga z powietrza, czyli właśnie na czubkach drzew.

Kolonia to też społeczność, dzięki której gawrony zdobywają informacje, gdzie jest jedzenie. Zapewne ptaki obserwują, kto z sąsiadów wraca najedzony, i lecą jego śladem. Zresztą poszukiwania jedzenia też mogą polegać na współpracy.

– One przez łąki idą wręcz tyralierą. Gdy jeden wypłoszy pasikonika, ten wpada pod dziób drugiego – opowiada dr Kasprzykowski.

W 2006 r. naukowcy z uniwersytetu w Cambridge opublikowali wyniki eksperymentu przeprowadzonego na siedmiu gawronach za pomocą tzw. tub pułapek. To specjalne tuby z przezroczystego tworzywa, w których znajduje się coś pysznego. Żeby jednak dostać się do smakołyku, należy za pomocą narzędzia dokonać jednej lub

kilku manipulacji. Tuby to dość standardowe narzędzie w badaniu inteligencji. Okazało się, że na podstawowym poziomie wszystkie gawrony przeszły testy z patyczkiem. Nie miały kłopotów z doborem narzędzi i oceną sytuacji.

Trzy następne poziomy, wymagające wręcz ludzkiej wyobraźni, pokonała jedna samica. Zatem jeśli chodzi o pomysłowość, to gawrony osiągnęły co najmniej wynik szympansów.

W innym eksperymencie dowiedziono, że gawrony potrafią wybrać kamyk o odpowiedniej wielkości i wadze, by po wrzuceniu go do tuby uwolnić smakołyk. Ptaki, na których przeprowadzano testy, były wychowane przez ludzi. Nie mogły więc nauczyć się niczego od rodziców – ich zmysł obserwacji i umiejętność wyciągania wniosków były wrodzone.

Wielka inteligencja tych ptaków to wystarczający powód, by zacząć patrzeć na nie z sympatią. Inny to taki, że wbrew pozorom gawronów jest u nas coraz mniej. Wielkie stada zimą to przybysze ze wschodu i północy. Tych, co wychowują u nas młode, ubywa. W niektórych miejscach w zastraszającym tempie. Przyczyną są zmiany w rolnictwie, ale też brak sympatii do tych ptaków. Niszczymy ich kolonie, płoszymy z noclegowisk. Może pora z tym skończyć? Dlatego bardzo dobrze, że miłośnicy tych ptaków z Polskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków złożyli wniosek o objęcie gawrona pełną ochroną.

Mam nadzieję, że się uda!

KWIECIEŃ

KUPĄ, MOŚCI ŻURAWIE

Gdyby kilkanaście lat temu ktoś mi powiedział, że będę miał taki widok z okna, to postukałbym się w głowę.

Na łące przed domem chodzą sobie dwa bociany i para żurawi. Pal licho bociany, ale nigdy bym nie przypuszczał, że tak blisko zabudowań podejdą żurawie, które mają opinię szczególnie

ostrożnych i skrytych. Gdy próbowałem podchodzić je jesienią w pobliżu Parku Narodowego „Ujście Warty", zwiewały, kiedy byłem 100-200 m od nich.

Teraz, zachęcony odwagą „moich" żurawi, postawiłem na łące fotograficzne ukrycie. Ptaszyska, owszem, zwiały, ale po dwóch godzinach były już z powrotem i spokojnie skubały wschodzące rośliny albo penetrowały błoto w poszukiwaniu bezkręgowców. Jedzą, ile wlezie, bo zaraz przyjdzie pora wysiadywania jaj.

Trudno chyba znaleźć inny gatunek dużego ptaka, którego liczebność przez ostatnie kilkanaście lat tak gwałtownie wzrasta – może poza łabędziem niemym. Według danych z Monitoringu Flagowych Gatunków Ptaków, który jest prowadzony na zlecenie Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska, w Polsce żyje obecnie od 15 do 17 tys. par lęgowych żurawi. W 2000 r. było ich 10-11 tys., a w latach 90. – 5-6 tys.

Naukowcy szacują, że żurawi przybywa nam w tempie 7 proc. rocznie. Jak dotąd nikt nie wyjaśnił dlaczego. Sprzyjają im łagodne zimy. Nie muszą podejmować długich i ryzykownych wędrówek i mogą zimować na przykład w zachodniej Polsce. Poza tym mają w bród jedzenia na olbrzymich uprawach kukurydzy. Z drugiej strony ocieplanie się klimatu powinno im przeszkadzać. Żurawie zakładają gniazda na ziemi, a raczej na bagnach. To jedyna ochrona przed dzikami, które potrafią niszczyć lęgi tych ptaków. Teraz bagienka wysychają na potęgę. A dzików przybywa.

Ekspansja żurawi wyjaśnia za to, dlaczego coraz mniej boją się one ludzi. Zawsze, gdy jakiegoś gatunku przybywa, jego strach przed człowiekiem zanika. Nie wiadomo tylko, co tu jest przyczyną, a co skutkiem.

Ciekawe, czy kiedyś doczekamy się żurawi w parkach miejskich. Dlaczego miałyby się tam nie pojawić, skoro już niemal

we wszystkich większych miastach Europy Zachodniej żyją dzikie gęsi, które też były kiedyś bardzo płochliwe?

MIEJSKIE ŚPIEWANIE

Miejskie ptaki bywają tak głośne, że potrafią terroryzować okolicznych mieszkańców. Najczęściej to nie one są winne, ale my, a w zasadzie hałas, jaki wytwarzamy.

„Mieszkam w Warszawie, ale w bardzo zielonej okolicy. Od kilku dobrych dni, a właściwie nocy, nie możemy spać, bo ptaki późnym

wieczorem zaczynają przeraźliwie skrzeczeć. To nie jest zwykły śpiew ptaków, to brzmi, jakby się o coś awanturowały. Od kilku dni z sąsiadami rozmawiamy tylko o tym" – pisze Dorota.

Nie wiem, jakie to ptaki. Podejrzewam, że są to kawki i gawrony, które po prostu układają się do snu. A ponieważ wiąże się to z kłótniami o miejsce do siedzenia, jest głośno. Ale hałas może mieć też inną przyczynę.

Nie od dziś wiadomo, że miejskie środowisko bardzo zmienia śpiew ptaków.

W Wielkiej Brytanii naukowcy przyjrzeli się kosom, których samce wręcz terroryzowały sąsiedztwo głośnym śpiewem. Nie był to jednak normalny śpiew kosa, ale szalona pieśń, w którą ptak wplatał dźwięki klaksonów i syren alarmowych. Śpiew samca wzbogacony o zasłyszane kawałki pozwala samicy stwierdzić, na ile samiec jest doświadczony i dojrzały – im starszy, tym miał więcej czasu na naukę.

Wpływ środowiska na śpiew ptaków najlepiej pokazał dr Hans Slabbekoorn z Uniwersytetu w Lejdzie (Holandia). Zanim zajął się ptakami miejskimi, badał te żyjące w dżungli Kamerunu. Tam zaobserwował, że ptaki z gęstego lasu śpiewają w znacznie niższych tonacjach niż te z otwartych terenów, bo głos o takiej tonacji znacznie lepiej rozchodzi się w gęstwinie.

Slabbekoorn porównał też głos sikorki bogatki żyjącej w mieście i na prowincji. Samce miejskich sikorek, by być wyraźnie słyszane na tle niskich tonów miasta, śpiewały w wysokich tonacjach.

Badania nad berlińskimi słowikami prowadzone przez naukowców z Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego pokazały, że próbują one przekrzyczeć miejski hałas i śpiewają znacznie głośniej niż ich wiejscy kuzyni. Przy czym w poranki dni

powszednich, gdy miasto huczy, ich śpiew jest głośniejszy niż w weekendy, gdy jest nieco ciszej.

No dobrze, ale są ptaki małe, które nie są w stanie przebić się ze swoim słabiutkim głosikiem przez miejski zgiełk. Co one mogą zrobić? Muszą po prostu zmienić porę śpiewania. Richard Fuller z Uniwersytetu w Sheffield pokazał, że miejskie rudziki z tych części miast, w których hałas za dnia przekracza 60 dB, śpiewają w nocy. Tam, gdzie nie przekracza poziomu 55 dB, śpiewają za dnia.

O tym, że miejskie ptaki są głośniejsze i śpiewają o nieprzyzwoitych porach, wie też doskonale moja żona Nuria, która dość często wraca ze swojej rodzinnej Sewilli niewyspana. Dzieje się tak za sprawą przebogatego życia towarzyskiego tego miasta oraz pewnego kosa, który przez całą noc drze się straszliwie pod oknami jej domu.

Czy coś z takimi ptakami można zrobić? Niestety, nic – trzeba się do nich przyzwyczaić.

100 MLN OD BOBRA

Nie ma co ukrywać, budżet państwa traci miliony złotych przez bobry. To największe nasze gryzonie, mogą ważyć nawet do 30 kg, i jedyne istoty poza człowiekiem, które regularnie ścinają drzewa. Budują tamy, podnoszą poziom wody, by wejścia do nor i żeremi,

w których mieszkają, były cały czas zalane (dla własnego bezpieczeństwa).

Bobrza tama to nie byle co. Pewne bobry kanadyjskie postawiły zaporę o długości blisko kilometra i wysokości 5 m! Inna rodzinka, rodzice oraz para młodych, wybudowała i utrzymywała w Beskidzie Niskim aż 25 tam na długości kilometra rzeki. Tak – utrzymywała! Bo bobry, jak coś wybudują, to o to dbają, przecieki natychmiast są łatane.

Nic dziwnego, że gdy ze swoimi pracami ziemnymi wkroczą na czyjś teren, właściciel rzadko jest zachwycony. A ponieważ są zwierzętami chronionymi, to za ich działania – zalane pola, podkopy, ścięte drzewa – odpowiada skarb państwa i to państwo wypłaca odszkodowania. Spore. W latach 2008-2010 budżet zapłacił za straty wyrządzone przez wszystkie zwierzęta chronione – wilki, żubry, niedźwiedzie, rysie i bobry – ponad 17 mln zł. Z tego 15 mln zł wydano z winy bobrów.

Urzędnicy postanowili coś z tym zrobić. I przyszło im do głowy najprostsze rozwiązanie – ułatwić polowanie na bobry. Dotychczas, żeby zabić bobra – jak wyjaśnił mi Paweł Pawlaczyk z Klubu Przyrodników – trzeba było udowodnić, że nie ma innego wyjścia. Że nie można uniknąć szkód, na przykład zabezpieczając wały przeciwpowodziowe siatką, by bobry nie kopały w nich nor. Na Zachodzie to standard, u nas rzadkość.

Widocznie jednak w czasach kryzysu, gdy minister finansów każe liczyć każdy grosz, takie pokojowe rozwiązania nie są popularne, bo na stole ministra środowiska leży już zmiana rozporządzenia o gatunkach chronionych.

Nie miałem pomysłu, jak tu przyjść z pomocą bobrom, które naprawdę lubię, dopóki nie przeszedłem się po suchej jak nigdy Puszczy Białowieskiej. Wszystko wyschło na wiór wszędzie tam,

gdzie nie działają bobry. Owszem, są spiętrzenia wybudowane za wiele tysięcy złotych przez leśników i pewną organizację przyrodniczą, ale przynajmniej w okolicach mojego domu te ludzkie budowle spełniają swoją funkcję, pod warunkiem że zajęły się nimi też bobry.

Naukowcy, zarówno przyrodnicy, jak i ekonomiści, wiedzą, że środowisko, ekosystemy, a nawet pojedyncze gatunki wykonują dla nas liczne usługi. Zapylanie kwiatów, oczyszczanie plaży przez małe żyjątka mieszkające między ziarenkami piasku – można to przeliczyć na pieniądze.

To ile musielibyśmy zapłacić bobrom, gdyby nagle wystawiły nam rachunek? Wyliczył to znawca tych zwierząt dr Andrzej Czech: – W całym kraju mamy około 25 tys. ha rozlewisk bobrowych, które zatrzymują wodę. Zabezpiecza to nas przed gwałtownymi wezbraniami i powodziami oraz suszą, bo bobrowe zbiorniki oddają wodę powoli. Do tego działają jak oczyszczalnia, a poniżej tam woda jest natleniana. Zyski z rozlewiska wyceniam na od 1 do 10 tys. euro z hektara, średnio 5 tys. euro.

A to oznacza, że rocznie bobry wykonują dla nas pracę wartą 100 mln euro! Przy tym do rachunku nie wliczyliśmy renaturalizacji rzek czy ochrony rzadkich gatunków. Bo tam, gdzie są bobry, lepiej żyje się bocianom czarnym, dzięciołom czy nietoperzom, które lubią przerzedzony przez bobry las.

Urzędnicy, zlitujcie się! Potraktujcie wypłaty odszkodowań jako wkład w inwestycję, na której nieźle wychodzimy!

ŻUBRY TO MAJĄ SZCZĘŚCIE

Widuję je codziennie, gdy tylko trawa przed domem się zazieleni. Ale co z tego?! Wciąż mnie zachwycają. Stojąc naprzeciwko tych olbrzymów, z których największe mogą ważyć tonę, czuję, jakbym cofnął się w czasie. Po tym gdy w 1627 r. padł w Puszczy Jaktorowskiej ostatni tur i po skrzyżowaniu z domowym koniem

ostatniego dzikiego tarpana z wielkich zwierząt, które tysiące lat temu biegały po Europie, zostały nam tylko żubry.

Ich podglądanie jest dla mnie zawsze wielkim wyzwaniem i przygodą. Możecie nie wierzyć, ale w Puszczy Białowieskiej, gdzie gęste korony drzew odcinają dopływ światła, gdzie jest masa zwalonych pni i wykrotów, dostrzeżenie żubrów wcale nie jest łatwe. Mają ciemną sierść, a gdy się położą, po prostu nie sposób ich odróżnić od wykrotu. Mimo że są wielkie i ciężkie, potrafią stąpać cichutko niczym koty. To niesamowite, gdy przed tobą defiluje stado tych olbrzymich zwierząt, a ty nie słyszysz nic. Żadnego szelestu, żadnego trzaśnięcia gałęzi. Zupełnie, jakby przez puszczę płynęły duchy lub cienie.

To gatunek, który ma też niezwykłe szczęście w nieszczęściu. W XVIII w., gdy zabito ostatniego żubra w Prusach, poza puszczą zostały one jeszcze tylko na dalekim Kaukazie. Od tego momentu białowieskie żubry były ostatnimi żyjącymi w Europie. Wybito je do reszty podczas I wojny światowej i krótko po jej zakończeniu. Te, które dzisiaj podziwiamy w dzikim lesie, pochodzą od zwierząt z hodowli.

Do odtworzenia gatunku naukowcy wybrali w latach 20. ubiegłego wieku potomków ledwie siedmiu zwierząt. Jednak 90 proc. dzisiejszej puli genetycznej żubrów żyjących w Puszczy Białowieskiej pochodzi od pary – byka Plebejera i krowy Planty. Co więcej, trzy z czterech samczych linii genetycznych zupełnie wygasły i wszystkie współczesne samce mają chromosom Y wyłącznie od Plebejera. To wszystko oznacza bardzo wysoki stopień tzw. chowu wsobnego, czyli sytuacji, w której potomstwo dziedziczy po blisko spokrewnionych rodzicach.

Jak mówi dr Małgorzata Tokarska z Instytutu Biologii Ssaków PAN, białowieskie żubry są tak do siebie podobne, że przy

standardowych badaniach DNA wyglądają niczym klony. To bardzo źle. Zaraz wyjaśnię dlaczego.

Przeskoczmy na chwilę za ocean i przyjrzyjmy się wyspie Royale położonej na jeziorze Superior na pograniczu Kanady i USA. Przez przypadek stała się ona niezwykłym laboratorium naukowym. Sto lat temu dotarły do niej po lodzie łosie, a pół wieku później – samica i dwa samce wilka. Przez kilkadziesiąt lat uczeni mieli więc niezwykłą okazję obserwowania, jak na zupełnie odciętym od świata terenie waha się liczebność roślinożerców i polujących na nie drapieżników.

Mimo że w latach 80. wilków było już 50 oraz że w 1995 r. na wyspę udało się przedostać samcowi z Kanady, zaczęło się z nimi dziać coś złego. Najpierw zdziesiątkowała je psia parwowiroza, potem zaczęły im doskwierać problemy z układem kostnym. W 2012 r. na Isle Royale zostało już tylko dziewięć wilków, w tym ledwie jedna lub dwie samice. Prawdopodobnie zbliża się ich koniec – wraz z ocieplaniem się klimatu szansa na to, że powstanie most lodowy, po którym nowe sztuki trafią na wyspę, jest mała.

I teraz wróćmy do puszczy, do żubrów. O dziwo, mają się one nieźle! Owszem, miewają choroby, ale większość wygląda zdrowo, a co najważniejsze – ciągle ich przybywa.

– Jak dotąd nic złego się z nimi nie dzieje, choć od ich „wskrzeszenia" mija już 80 lat – cieszy się dr Tokarska. – Mogę to tłumaczyć tylko tym, że para założycielska miała bardzo dobre geny.

No, mają te nasze żubry fart. Tym bardziej że w czasach, gdy wybierano „parę założycielską" białowieskiej populacji, genetyka dopiero raczkowała.

ŻABY JAK MALOWANE

Niebieskie żaby moczarowe i trochę mniej niebieskie trawne to jeden z cudów wiosny, który – jak wynika z waszych listów – zachwyca was coraz bardziej.

O niebieskich żabach piszę niemal co roku. Robię to, bo gody tych płazów, krótkie i intensywne, to coś przepięknego. Z daleka słychać

głos samców, który przypomina bulgotanie wody, tak jakby się gotowała. Żeby je zobaczyć, trzeba trochę cierpliwości. Trudno je podejść, bo są niezwykle czujne. Momentalnie chowają się pod wodę, gdy tylko zobaczą naszą sylwetkę lub poczują drgania ziemi pod naszymi stopami. Ale gdy posiedzi się przez chwilę w spokoju na brzegu płytkiego bajorka, wystawiają głowy i zaczynają bulgotanie. To niesamowity widok. Niebieska żabia głowa przy niebieskiej żabiej głowie. Czasami jest tak tłoczno, że tworzą się niebieskie plamy. Kiedy do bajorka wejdzie samica, zapominają zupełnie o naszej obecności i wszystkie rzucają się, bulgocząc, w jej stronę. Swoją drogą to niesamowite, jak potrafią poznać, że do wody wskoczyła właśnie żabia niewiasta.

Niebieścieją oczywiście samce; samice zawsze pozostają brązowe. Tę niebieskość samce zawdzięczają limfie zbierającej się pod skórą. Im bardziej podniecony samiec, tym bardziej niebieski. Ale wystarczy chwila zdenerwowania i z niebieskiego może stać się najpierw szarostalowy, a potem – na powrót brązowy. Zresztą same gody w zależności od miejsca nie trwają dłużej niż tydzień. Wystarczy parę słonecznych dni i w bajorku zostaje tylko skrzek.

Tej wiosny musiałem się naprawdę natrudzić, by zobaczyć niebieskie żaby moczarowe. To już kolejny taki rok, a jeszcze dziesięć lat temu mogłem je znaleźć bez trudu. Teraz, nawet jak się je znajdzie, to już nie są to gigantyczne niebieskie plamy liczące tysiące osobników, ale zgrupowania kilkudziesięciu samców.

Podobnie jest z innym gatunkiem, a mianowicie z żabą trawną. Obydwie żaby należą do naszych najpospolitszych gatunków. Dawniej występowały masowo, ale dziś ubywa ich w zastraszającym tempie. Zanieczyszczenie środowiska, zwiększone promieniowanie UV, ocieplenie się klimatu, osuszanie terenów i degradacja środowiska powodują, że płazy są najbardziej

zagrożoną grupą zwierząt. To one są najdelikatniejsze. 32 proc. z prawie 6 tys. gatunków płazów żyjących na świecie jest zagrożonych wymarciem, podczas gdy ptaków – tylko 12 proc., a ssaków – 23 proc. Dlaczego jednak tak mało się o tym słyszy? Dlaczego nikt nie bije tak głośno na alarm jak na przykład w wypadku dużych drapieżników, choć to właśnie płazy są podstawą prawidłowego funkcjonowania wielu ekosystemów? Może dlatego, że nam, ludziom, jest bardzo trudno spojrzeć na świat z perspektywy żaby. Choć jest nadzieja, bo sądząc po listach, jakie dostaję, miłośników niebieskich żab przybywa.

„W starym korycie Wisłoka co roku podziwiam – zazwyczaj w okolicach Wielkanocy – ten spektakl. Gotująca się woda i tłumy kotłujących się niebieskich żabek wydających niepowtarzalne odgłosy... Cudo!" – pisze pani Anna. Widzicie też zagrożenia.

„Ulica Makolągwy w Warszawie jest małą drogą osiedlową, przez którą samochody nie powinny przejeżdżać szybciej niż 50 km na godzinę. Wiosną cała jest zasłana trupami rozjechanych żab. Czy istnieje możliwość zatrzymania ruchu na tej ulicy w okresie migracji żab? Za kilka lat nie będzie ani jednej w okolicy" – denerwuje się pan Paweł.

A pan Michał, też z Warszawy, opisuje, jak zostało zniszczone pewne bajorko na Kabatach zwane Rzekotkowym Stawem. „Cały zbiornik został zrujnowany, a teren wokół niego przekopany za pomocą ciężkich maszyn i niemal całkowicie pozbawiony roślinności. Stało się to tej wiosny. Tuż przed godami płazów" – żali się.

Pomimo tych smutnych listów nie tracę nadziei, że w końcu urzędnicy, którzy mogliby i zatrzymywać ruch na czas migracji płazów na niektórych odcinkach dróg (lub przynajmniej nakazywać zwalnianie), i nie niszczyć takich miejsc jak Rzekotkowy Staw

na Kabatach, zrozumieją, że tu nie chodzi tylko o „głupią żabę”. Ta „głupia żaba” jest ważną i zachwycającą częścią ekosystemu.